

Handwritten: *Handwritten*
Anthony F. Szwedowski

Arthur R. R.

Wash.

Wash.

HENRYK SIENKIEWICZ

BEZ DOGMATU

POWIEŚĆ

TOM II

WYDANIE CZWARTE

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW



WARSZAWA

GEBETHNER I WOLFF

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1906

Anthony T. Brownlow

Anthony G. Lewandowski.

St. Hyacinth College and Seminary
Granby, Massachusetts

Paryż, 2 Kwietnia.

Nie pisałem dziennika przeszło dziesięć miesięcy, choć tak już przywykłem do tej roboty, że mi tego brakło. Ale mówiłem sobie: po co? Miałem to gnębiące uczucie, że chociażbym spisywał myśli godne Pascala, głębsze od głębin oceanu, wyższe od Alp, nie odrobinę tego jednego prostego faktu, że ona poszła zamaż. Wobec tego opadały mi ręce. Życie skupia się czasem w jednym celu, przedmiotowo małym, a gdy go zabraknie, człowiek nie wie, dlaczego spełnia najprostsze czynności. Aż dziwnie i śmiesznie pomyśleć, ale byłem długo w takim stanie, że gdym się ubierał, wychodził na miasto, do teatru lub do klubu, nie mogłem się nigdy obronić pierwszemu wrażeniu: po co? — i potrzebowałem nieraz długiej chwili, by się opamiętać, że przecie jadałem obiady, strzygłem brodę i załatwiałem podobne czynności jeszcze przed jej poznaniem. W pierwszych miesiącach dużo po-

dróżowałem; zabląkałem się aż do Islandyi; otóż na widok jezior szwedzkich, norweskich fiordów, islandzkich gejzerów, nie miałem własnych bezpośrednich wrażeń, tylko starałem się wyobrazić sobie, coby Anielka na taki lub owaki widok odczuła i jakby się wyraziła — słowem: widziałem jej oczyma, myślałem jej myślą, czułem jej sercem. A gdym następnie przypomniał sobie, że ona nazywa się pani Kromicka, siadałem coprędzej do wagonu lub na statek i jechałem dalej, bo to, com widział, przestawało budzić we mnie zajęcie. Co mnie to mogło obchodzić, że to jest jeden z takich zwykłych, ośmieszonych nawet dramatów, przez który tysiące głupców przeszło przedemną! Przez śmierć przechodzą także wszyscy, a każdemu konającemu wydaje się, że świat zapada się z nim razem. I istotnie się zapada!

Nie wiem i nie wdaję się w to, czy uczucia moje były w pierwszych miesiącach mniej lub więcej bezdenną rozpaczą. To wszystko jest względne. Wiem tylko, że istota moja była przez tę kobietę pochłonięta i że po raz pierwszy zrozumiałem pustkę, jaką może spowodować śmierć osoby bardzo kochanej.

Ale zwolna przyzwyczajenia — nie ponęty —

życiowe odzyskiwały we mnie zwykłą moc. Zdaje mi się, że jestto zjawisko dość powszechne. Znałem ludzi, wewnątrz ogromnie smutnych, którzy nie mając ni ziarna makowego wesołości w duszy, zachowywali jednak pewną zewnętrzną wesołość dlatego tylko, że niegdyś byli weseli i że przywykli do tej formy. Musiał przecie nadejść i dla mnie czas, w którym, na przykład, ból zębów przestałem odczuwać tylko przez przykrość, jakaby taki ból mógł sprawić Anielce. Prócz tego, krótko mówiąc: odrętwiałem, a wreszcie znalazłem lekarstwo w samej truciźnie. Czytałem niegdyś w podróży Fariniego, że Kafrowie leczą się od ukąszenia skorpiona, pozwalając mu ukłuć drugi raz w to samo miejsce. Takim skorpionem, takim antydotem w samejże truciźnie, było dla mnie, jak zresztą jest w ogóle dla ludzi, słowo: stało się.

Stało się, więc cierpię — stało się, więc przestaję cierpieć. W tem poczuciu, że niema już rady, leży pewne ukojenie. Zawsze przychodzi mi na myśl ów Indyanin, który, porwany przez prąd Niagary, walczył z początku z całym wysileniem, na jakie zdobyć się może rozpacz, a następnie, spostrzegłszy, że niema rady, rzucił wiosła, położył się na dnie łodzi i począł śpiewać.

Ja obecnie gotówem także śpiewać. Prąd Niagara ma zresztą tę dobrą stronę, że kogo porwie, to go zmiele na otręby; ale są inne, które wyrzucają człowieka na ławice piaszczyste, puste, bezwodne i jałowe. To właśnie przytrafiło się mnie.

Zły duch mego życia nie przewidział tylko jednej rzeczy. Oto, człowiek bardzo przyciśnięty i bardzo nieszczęśliwy, daleko mniej sobie robi ze siebie, niż człowiek szczęśliwy. Wobec tego zawistny los staje się do pewnego stopnia bezbronny. Byłem i jestem w takim usposobieniu, że gdyby, na przykład zagniewana Fortuna przyszła do mnie we własnej osobie i powiedziała mi: «Pal cię lichu!» — odpowiedziałbym jej: «Dobrze! pal mnie lichu!» I powiedziałbym to wcale nie z powodu rozpaczyny po Anielce, ale z powodu tej głębokiej obojętności dla wszystkiego, co jest we mnie i koło mnie.

Jestto swego rodzaju zbroja hartowna, która nie tylko ochrania człowieka, ale czyni go niebezpiecznym. Jasna rzecz, że kto gotów nie oszczędzać siebie, ten nie będzie oszczędzał i drugich. Nawet przykazanie Boskie nie każe kochać bliźniego więcej, niż siebie samego.

Nie idzie za tem, żebym miał zamiar po-

derżnąć komu w tych dniach gardło. To, com powiedział, ma znaczenie przeważnie teoretyczne; w praktyce życiowej nikt wielkiej szkody z tego nie ponosi, jeśli bowiem taka obojętność zmniejsza altruizm, to zupełnie o tyle samo zmniejsza i egoizm. Gdyby mi przyszło spać z bliźnim pod jednym płaszczem, nie oddałbym mu go całego, ale też nie zabrałbym całego dla siebie. Niebezpiecznym, może nawet bardzo niebezpiecznym, bywa taki człowiek tylko wówczas, gdy ludzie mącą mu ten spokój, polegający na ograniczeniu własnego ja — i zmuszają go do natężonej czynności. Wówczas ma on pewność ruchów, a zarazem bezlitośną siłę maszyny.

Tę jakąś mechaniczną pewność siebie zyskałem. Od niejakiego czasu spostrzegłem, że swój sposób myślenia i swoją wolę wrażam ludziom daleko silniej, niż dawniej, chociaż zupełnie się o to nie staram. Niewyczerpanem źródłem wahania się i słabości jest miłość własna, próżność i kokieteria względem innych. Człowiek bezwiednie prawie pragnie się podobać, pragnie się wkupić w sympatyę, więc szukając do tego dróg, czyni tysiące ustępstw z własnej prawdy. Obecnie, kokieteria owa, jeśli nie znikła we

mnie zupełnie, to zmniejszyła się niezmiernie — i obojętność na to, czy się podobam lub nie, daje mi jakąś wyższość nad innymi. Spostrzegłem to w czasie podróży, a zwłaszcza teraz w Paryżu. Było tu wielu ludzi, którzy mieli nademną przewagę; teraz ja mam nad nimi przewagę, właśnie dlatego, że mi mniej od nich o to chodzi.

Wogóle robię sobie wrażenie człowieka, który mógłby być energiczny, ale nie chce, albowiem wola jest w prostym stosunku do namiętności, moje zaś są przedewszystkiem ujemne. Ponieważ został mi dawny nałóg zdawania sobie sprawy ze wszystkiego, więc objaśniam to w ten sposób, że w pewnych warunkach można również zawzięcie nie pragnąć życia, jak w innych go pragnąć. Prawdopodobnie też moja obojętność jest skupioną zawziętością przeciw życiu. Stąd tak mało podobny jestem do Davisa.

Niewątpliwie stałem się człowiekiem bez porównania więcej bezwzględny, niż byłem dawniej i mógłbym powtórzyć za Hamletem, że jest we mnie coś niebezpiecznego. Na szczęście, nikt mi nie wchodzi w drogę. Wszyscy są dla mnie tak doskonale obcy i obojętni, jak ja dla nich. Jedna ciotka kocha mnie tam po staremu

w Warszawie, ale przypuszczam, że i jej miłość straciła charakter czynny, przynajmniej o tyle, że mi w przyszłości nie grożą swaty.

3 Kwietnia.

Niestety, moja obojętność, którą przyrównywałem do czystej wody bez smaku i barwy, jest pozornie tylko bezbarwną. Przypatrując się jej dokładniej, spostrzegam, że pływają po niej pewne obłoczki, które mącą jej przezroczystość. Są to idyosynkrazye. Nic mi nie pozostało, a to pozostało. Nie kocham nikogo i nie mam do nikogo czynnej nienawiści, ale jestem pełen wstrętów do rozmaitych ludzi. Do takich należy na przykład Kromicki. Nie o to mi już chodzi, że mi zabrał Anielkę, ale o to, że ma ogromnie długie nogi, a grube wiązania kolan, że jest długi, jak tyczka i że głos jego przypomina mielenie kawy w młynku. Zawsze zresztą odrzucało mnie od niego i jeśli teraz o tem wspominać, to głównie dlatego, że owe wstręty mają obecnie we mnie jakąś dziwną żywotność. Ciągłe myślę o ludziach, od których mnie nerwowo odrzuca. Gdyby chodziło tylko o Kromickiego i panią Celinę, byłoby to jeszcze zrozumiałe, mógłbym bowiem przypuszczać, że moje

uczucia dla nich są zamaskowaną wstrętem nienawiścią; ale obok nich stoją mi równie uparcie w pamięci różne inne figury, które kiedykolwiek w życiu budziły we mnie niechęć lub obrzydzenie. Nie mogę tego tłómaczyć stanem mego zdrowia — jestem zdrow, jak nigdy — więc tłómaczę to w sposób następujący: ludzie zabrali mi miłość, czas wysuszył nienawiść; że zaś człowiek, żyjąc, musi czuć — czuję przeto, jak uniem, żyję tem, co mi zostało. Muszę także wyznać, że nie przesyci się szczęściem, kto tak czuje i żyje...

Ochłodłem niemal zupełnie dla dawniejszych sympatyj. Do Śniatyńskiego mam wprost niechęć, której rozumowania nie mogą potłumić. Śniatyński posiada niezaprzeczenie wysokie przymioty, ale też się sobie podoba i przez to staje się często — mówiąc językiem malarzy — zmanierowany. Przypuszczam, że jest rzeczą niesłychanie rzadką, by człowiek, który spostrzega, że jego sposób postępowania, jego cechy indywidualne i oryginalności, podobają się ludziom, nie rozmiłował się w swym typie i nie począł w końcu sam siebie przesadzać. Śniatyński nadto chce być zawsze i wszędzie Śniatyńskim, skutkiem czego staje się sztuczny i dla pozy po-

święca swoją wrodzoną delikatność. Mniejsza już o ową szorstką depeszę, którą mi przysłał do Krakowa po niepomysłnem poselstwie do Anielki, o owo: «ruszaj w świat!» — które było zbyteczne, bo byłbym ruszył w świat i bez jego rady; ale odebrałem list od niego w Chrystyannie, zaraz po zamążpójściu Anielki, pisany niby z serca, ale równie szorstki i pelen maniery. Da się on streścić mniej więcej tak: «Panna Anielka już panią Kromicką — stało się — żal mi cię — ściskam cię serdecznie — nie myśl, że będzie dziura w niebie — są rzeczy na świecie ważniejsze — niech mnie dyabeł porwie — pyszna musi być Norwegia — wracaj i bierz się do roboty — bądź zdrow etc.» Nie przytaczam dosłownie, ale taki był ton listu. Był on mi nieprzyjemny, bo naprzód nie prosiłem Śniatyńskiego, by mi pożyczał łokcia do mierzenia mego nieszczęścia; powtóre, miałem go za mądrzejszego i przypuszczałem, że zrozumie, iż te jego «rzeczy ważniejsze» wtedy tylko nie są pustem słowem, kiedy oznaczają uczucia, które się uprzednio ma. Chciałem mu na razie odpisać, by mnie wypuścił ze swej duchowej opieki, rozmyśliwszy się jednak, nie odpisałem wcale —

i mniemam, że to jest najmniej utrudzający sposób rozwiązania stosunku.

Zstępując jednak w siebie głębiej, spostrzegam, że powodem zaniku mej przyjaźni dla Śniatyńskiego były nietylko jego depesze i listy. Właściwie mówiąc, nie mogę mu darować tego, za co powinienem mu być wdzięczny, to jest jego pośrednictwa pomiędzy mną i Anielką. Sam go o nie błagałem, ale właśnie dlatego, że go błagałem, że powierzyłem mu moje losy i ster mojej łodzi, że się przyznał do mej słabości i zrobiłem go niejako mym opiekunem, że nakoniec to upokorzenie i nieszczęście, jakie mnie spotkało, przeszło naprzód przez jego ręce, została mi na dnie w sercu uraza. Jest we mnie gniew na siebie samego, ale zarazem i na Śniatyńskiego za to, że brał we wszystkim udział. Wiem, że to jest niesłuszne, ale nie mogę na to poradzić, że przyjaźń moja wypaliła się, jak świeca.

Zresztą, nie byłem nigdy zbyt pochopny do uczuć przyjaźni. Żyłem w bliższych stosunkach ze Śniatyńskim może właśnie dlatego, żeśmy żyli na dwóch końcach Europy. Innych przyjaciół nie miałem. W ogóle należę do istot, które zowią pojedynkami. Przypominam sobie, że nieraz myślał o tem z pewną chelpliwością, bio-

rac to za dowód siły. Istotnie, w świecie naprzykład zwierzęcym, skupiają się tylko istoty słabe, te zaś, którym natura dała potężne kły i pazury, chodzą samotnie, bo sobie wystarczają. Zasada ta jednak wyjątkowo tylko może stosować się do ludzi. Niezdolność do przyjaźni dowodzi w człowieku najczęściej nie siły, ale oschłości serca. We mnie była obok tego niesłychana nieśmiałość i wrażliwość. Miałem serce podobne do mimozy, która zamyka się za każdym dotknięciem. Że nigdy nie zawarłem przyjaźni z żadną kobietą, to znowu inna rzecz. Miałem ochotę przyjaźnić się tylko z takimi, od których chciało mi się czegoś więcej, więc nie mogła to być przyjaźń rzetelna. Udawałem ją natomiast wielokrotnie, tak, jak naprzykład lis udaje nieżywego, aby uspić czujność wron i tem pewniej którą capnąć. Nie idzie za tem, żebym nie wierzył w możliwość przyjaźni męzczyzny z kobietą. Przedewszystkiem nie jestem głupcem, który mierzy świat własną miarą, ani szuja, która zawsze podejrzewa, a następnie, liczne spostrzeżenia dowiodły mi, że podobna przyjaźń zupełnie jest możliwa. Skoro w rzeczywistości istnieją takie uczucia i stosunki, jak brata i siostry, to mogą mieć one zawsze miej-

sce, gdy dwie istoty, choćby obce, poczuja się bratem i siostrą. Powiem nawet więcej, że zdolnością do tego rodzaju uczuć odznaczają się dusze wyborowe, mające wrodzony pociąg do platońskich biesiad, zatem dusze poetów, artystów, filozofów i w ogóle istot, przechodzących zwykłą krawiecką miarę. Jeśli to jest dowód, że nie było we mnie materiału ani na poetę, ani na artystę, ani na znakomitego człowieka — to tem gorzej dla mnie. Prawdopodobnie nie było, skoro nie zostałem niczem więcej, jak Leonem Płoszowskim.

Miałem w swoim czasie poczucie, że gdyby Anielka została moją żoną, toby nie była tylko żoną lub kochanką, ale i przyjacielem. Lecz wolę o tem nie myśleć. Tego rodzaju widma nawiedzają mnie i tak aż nazbyt często i myśle, że naprawdę nie pierwaj będę zupełnie spokojny, aż zdołam je raz na zawsze odpędzić.

4 Kwietnia.

Spotykam tu dość często Davisową, bywam nawet u niej. I nic! Sporo nielubienia i trochę pogardy pod grubą warstwą popiołu — zresztą zwykły towarzyski stosunek. Jest zawsze zbyt piękna, by ją można umieścić w grupie idyo-

synkrazyi — kochać jej nie mogę, a nienawicią nie chcę się trudzić. Ona zrozumiała to odrazu i zastosowała się do położenia. Swoją drogą trochę ją drażni moja większa pewność siebie, moja samodzielność, ale właśnie dlatego liczy się ze mną. Jest istotnie zdumiewającą rzeczą ta łatwość, z jaką kobiety wracają od stosunków bardzo bliskich do poprzedniej, zwykłej znajomości. My z Laurą jesteśmy nietylko przy ludziach tak, jakby między nami nic nie było, ale nawet i wówczas, gdy zdarza nam się zostać sam na sam. Nie kosztuje ją to nic; nie widać po niej najmniejszego przymusu: jest grzeczna, jest w miarę chłodna, w miarę uprzejma, a ten nastrój udziela się i mnie w tym stopniu, że poprostu nie przychodzi mi do głowy, iż mógłbym np. nazwać ją po imieniu.

Neapolitański jej kuzyn, Maleschi, który z początku przewracał oczy na mój widok tak groźnie, że aż czułem się w obowiązku zapytać go, dlaczego je sobie tak nadwiera, obecnie uspokoił się, widząc, jak nasze stosunki układają się równo i jest moim przyjacielem. Odbył on tu już pojedynkę z powodu Laury, w którym, wbrew opinii tchórza, jaką mu zrobiono we Włoszech, zachowywał się bardzo popra-

wnie. Biedny Davis przeszedł już od kilku miesięcy do nirwany — i sądzę, że po wyjściu żaloby, Laura wyjdzie za Maleschiego. Będzie to najpiękniejsza w świecie para. Ten Włoch ma tors i głowę Antinousa, z dodatkiem złotawej cery, czarnych, jak kruk, włosów i oczu koloru morza Śródziemnego. Być może, iż Laura go kocha, ale, dla jakichś niewiadomych mi przyczyn, czasem wyrażnie nim pomiata. Kilkakrotnie obeszła się z nim, przy mnie, tak niegrzecznie, że aż mnie zdziwiła, bom nie przypuszczał, żeby jej estetyczna natura była zdolną do takich porywów. Widocznie, obok Aspazyi, siedzi w niej Ksantypa. Nieraz to spostrzegłem, że kobieta tylko piękna, bez innych przymiotów duszy, którą ludzie mają za gwiazdę, bywa często czemś więcej, niż gwiazdą, bo całą konstelacją, a nawet dwiema naraz, mianowicie: *Wielką niedźwiedzicą* dla otoczenia, a *Krzyżem* dla męża. To pewna, że Laura była krzyżem dla Davisa, a jest wielką niedźwiedzicą dla Maleschiego. Byłaby nią może i dla mnie, gdyby nie to, że się czuje nieco obcą w świecie paryskim i że spostrzegła, iż lepiej mieć tu we mnie sprzymierzeńca, niż nieprzyjaciela. Dziwna rzecz, ona się mniej podoba w Paryżu, niż we

Włoszech, lub w ogóle nad brzegami morza Śródziemnego. Jest poprostu za klasyczna i za piękna na Paryż, gdzie smak jest do pewnego stopnia chorobliwy, co się daje także widzieć w literaturze i sztuce i gdzie charakterystyczna brzydota silniej podnieca stępiełe nerwy, niż prosta piękność. Każdy może z łatwością zauważyć, że najsłynniejsze gwiazdy półświata są raczej brzydkie, niż piękne. Co do Laury, istnieje jeszcze jedna przyczyna jej stosunkowo niewielkiego powodzenia nad Sekwaną. Oto, umysł jej jest wprawdzie niepospolity, ale także zbyt prostolinijny na tutejsze stosunki, a zwłaszcza za mało rzutki. Tu mnóstwo jest ludzi, którzy ogromnie poważnie i szeroko myślą, ale w stosunkach towarzyskich szczery poklask znajduje przede wszystkim taki umysł, który się umie zawiesić na każdym przedmiocie, jak małpa zawiesza się ogonem na gałęzi — i wywracać koziolki. Im bardziej owe koziolki będą cudaczne i nagle a niespodziewane, tem powodzenie będzie pewniejsze. Laura to rozumie, ale zarazem czuje, że jestto dla niej takim samem niepodobieństwem, jakiem byłoby np. chodzenie po linie. Mnie uważa za bieglejszego w tej umysłowej gimnastyce i dlatego jestem jej potrzebny.

Chcąc powiększyć «the attraction» swego salonu, uczyniła z niego przybytek muzyki. Sama śpiewa, jak syrena i rzeczywiście ściąga tem ludzi. Widuję też często u niej fortepianistkę, Klarę Hilst, młodą i hożą Niemkę, ogromnego wzrostu, którą jeden z malarzy tutejszych określił w ten sposób: «C'est beau, mais c'est deux fois grandeur naturelle!» Miała ona tu w ostatnich czasach, mimo swego niemieckiego pochodzenia, wielkie powodzenie. Co do mnie, należę widocznie do starej szkoły, bo nie umiem się poznać na dzisiejszej grze, polegającej na sile, to jest na wybijaniu zębów fortepianom. Słuchając ostatnim razem Hilstówny u Laury, pomyślałem sobie w duchu, że gdyby fortepian był człowiekiem, który uwiódł jej siostrę, nie mogłaby go walić zawzięciej. Grywa ona także na fis-harmonii. Utwory jej mają wielkie powodzenie w tutejszym świecie muzycznym i uchodzą za głębokie, prawdopodobnie dlatego, że gdy się je słyszy raz dziesiąty, człowiek mówi sobie: może za jedenastym coś zrozumiem. Przyznaję, że te uwagi moje są złośliwe, a nawet zuchwałe, gdyż nie jestem znawcą. Przychodzi mi jednak do głowy pytanie, czy muzyka, dla której zrozumienia trzeba być profesorem kon-

serwatoryum, do której nie mają klucza, już nietylko prostaczkowie, ale nawet ludzie rozwinięci i poniekąd muzycznie wykształceni — jest tem, czem być powinna? Obawiam się, aby idąc tą drogą, muzycy nie wytworzyli z czasem kasty egipskich kapłanów, przechowujących wiedzę i piękność wyłącznie dla siebie.

Mówię to dlatego, że zauważyłem, iż od czasów Wagnera muzyka, w porównaniu naprzykład z malarstwem, idzie wprost przeciwną drogą. Nowsze malarstwo zacieśnia dobrowolnie granice swej kompetencyi, wyzbywa się idei literackich i filozoficznych: nie kusi się na oddawanie mów, kazań, zdarzeń historycznych, potrzebujących komentarzy, nawet alegoryi, nie tłumaczących się od pierwszego rzutu oka, słowem, ogranicza się z zupełną świadomością tego, co robi, do odtwarzania kształtów i plam barwnych. Muzyka, od czasów Wagnera, wprost przeciwnie: usiłuje być nietylko harmonią tonów, ale zarazem filozofią tej harmonii. Sądzę, że wkrótce przyjdzie jaki wielki geniusz muzyczny, który powie, jak w swoim czasie Hegel: «Tylko jeden mnie rozumiał — a i ten mnie nie zrozumiał».

Hilstówna należy do kategorii filozofujących

w muzyce, co jest tem dziwniejsze, że dusza jej jest pełna prostoty. Ta karyatyda posiada jasne, naiwne oczy dziecka, jak również jego szczerłość i dobroć.

Wielu ludzi zabiega tu koło niej, bo nęci ich zarówno jej piękność, jak i ów nimbus, otaczający każdą kobietę, na której głowie spoczęła ręka sztuki; a jednak najmniejszy cień nie padł nigdy na jej opinię. Mówią o niej dobrze nawet kobiety, bo je rozbraja swoją rzeczywiście niezwykłą dobrocią, prostotą i wesołością. Wesoła jest, jak ulicznik i nieraz widziałem ją śmiejącą się, jak śmieją się pensyonarki — do łez, co gorszyłoby ludzi, gdyby nie to, że Klarze, jako artystce, wszystko uchodzi. Jestto w ogóle piękny moralnie, lubo, po za artyzmem, może niezbyt bogato uposażony typ. Laura, która w gruncie rzeczy jej nie lubi, dawała mi kilka razy do zrozumienia, że «Karyatyda» kocha się we mnie. Przypuszczam, że tak nie jest, ale że mogłoby tak być, gdybym się o to postarał. To pewna, że Klara lubi mnie bardzo i że poczuła dla mnie sympatyę od pierwszego spotkania. Ja płacę jej wzajemnością, nie myślę jednak czynić żadnych zabiegów na jej zgubę. Gdy widzę jakąś kobietę po raz pierwszy, spoglądam

na nią, z mocy dawnych przyzwyczajęń, jak na przyszłą możliwą zdobycz — ale są to raczej odruchy myślowe. Druga następna myśl już jest inna. W ogóle mam dla kobiet uczucie tego rodzaju, jakie może mieć jubiler, wycofany z interesu, dla drogich kamieni. Ujrzawszy jakiś cenny klejnot, powiadam sobie: warto się o niego postarać, następnie przypominam sobie, że już zlikwidowałem — i idę dalej.

Mimo tego, poczęłem ją kiedyś pólżartem namawiać, by przyjechała z koncertem do Warszawy; obiecywałem jej, że pojedę z nią razem, jako honorowy impresario. Nie powiem, żeby taka podróż, gdyby kiedykolwiek przyszła do skutku, nie miała dla mnie pewnego powabu.

Do kraju wybieram się rzeczywiście. Ciotka oddała mi swój dom w Warszawie i wzywa mnie do uregulowania tytułu własności. Bywam zresztą zawsze w Warszawie w czasie wyścigów. Ktoby pomyślał, że ciotka, kobieta tak poważna, oddana gospodarstwu, modlitwom, dobrym uczynkom, ma jedną światową słabość — sport wyścigowy. Jestto jej namiętność. Może jej odziedziczone rycerskie instynkta, które kobiety dziedziczą równie dobrze, jak mężczyźni, znajdują sobie w ten sposób ujście. Konie nasze biegają

od Bóg wie ilu lat — i stale są bite. Ciotka nigdy nie opuszcza wyścigów, zapala się; w czasie biegów naszych koni staje oparta na lasce na tylnym siedzeniu powozu, z kapeluszem na bakier, śledzi namiętnie gonitwę, poczem wpada w nieopisany gniew i przez całe miesiące zatrzuwa życie panu Chwastowskiemu. Obecnie dochowała się podobno jakiegoś nadzwyczajnego konia i wzywa mnie, bym przyjechał widzieć tryumf barwy czarno-żółtej. Pojadę.

Pojadę i dla wielu innych przyczyn. Powiedziałem już, że jestem względnie spokojny, niczego nie żądam, niczego się nie spodziewam i ograniczam wedle sił własne «ja», słowem, zgadzam się na pewnego rodzaju duchowy paraliż, zanim przyjdzie fizyczny i porwie mnie, jak porwał mego ojca. Ale nie mogłem przecie zapomnieć, skutkiem czego paraliż mój nie jest ani doskonały, ani zupełny. Ta jedyna istota, którą w życiu kochałem, rozdzieliła się obecnie we mnie na dwie odrębne. Jedna z nich zowie się pani Kromicka, druga Anielka. Dla pani Kromickiej jestem obojętny i obcy, ale Anielka nawiedza mnie i przynosi mi w darze poczucie mojej winy, mojej głupoty, duchowego niedołęstwa, bólu, goryczy, zawodu i zatury. Hojny

i dobroczynny duch! Byłoby mi naprawdę dobrze dopiero wówczas, gdyby mi wycięto ten zwój mózgowy, w którym siedzi pamięć. Można wprowadzić i tak żyć, ale takie życie jest niesłychanie lichy, bo człowiek ma ciągłą świadomość tego, że jest wozem bez kół. Staram się za każdym razem przepędzić za dziesiątą granicę myśl o tem, coby być mogło, gdyby wszystko złożyło się inaczej — i nie zawsze umiem tego dokazać. Mój hojny i dobroczynny anioł wraca i znów wysypuje mi na głowę róg obfitości. Więc oto przypuszczam chwilami, że pani Kromicka zabije we mnie Anielkę — i dlatego chcę jechać, przypatrzeć się jej szczęściu, jej pożyciu i wszystkim tym koniecznym zmianom, które musiały w niej zajść i uczynić ją całkiem niepodobną do Anielki. A być może, że zobaczę panią Kromicką w Płoszowie. Niepodobna przecie, by mając tam chorą matkę, nie odwiedziła jej po dziesięciomiesięcznej rozłące.

Przypuszczam, że się pod tym względem nie oszukuję i nie ludzę — i że «ceci tuera cela». Liczę w tem głównie na moje nerwy, które lada co razi. Pamiętam przecie, że gdym poznał Anielkę i że gdy jej urok zaczął mnie ogarniać z nieprzepartą siłą, sama myśl o tem, że jakiś

Kromicki zbliżał się do niej, odstręczała mnie od niej i czyniła mi ją mniej drogą. Cóż dopiero teraz, gdy ona jest żoną jakiegoś Kromickiego, gdy nosi w sobie poczucie przynależności do niego i gdy jest jego ciałem i duchem. Prawie napewno mogę powiedzieć, że mnie będzie razila, odstręczała na każdym kroku i że «ceci tuera cela».

A wreszcie, gdyby i nie? Gdyby się stało inaczej — co właściwie mam do stracenia? Zysków nie pożądam, ale gdyby nawet wypadki złożyły się w taki sposób, iżby z nich wykazało się, że wina nie jest tylko po mojej stronie, że nie ja sam jestem odpowiedzialny za to, co się stało i że ciężar trzeba jednak rozłożyć na dwoje pleców — może dałoby mi to pewne zadowolenie. Powiadam: może, bo nie ręczę. Myśl jakowejś zemsty jest odemnie daleka. Za zawody uczuciowe mszczą się ludzie tylko na scenie. W życiu realnem odwracają się z niesmakiem — i na tem koniec. Przedewszystkiem, ażeby dowieść dzisiejszej pani Kromickiej, że źle postąpiła, wzgardziwszy mą skruczą, musiałbym sam w to niezachwianie uwierzyć, a ja mam i takie chwile, w których, dalibóg, niczego nie jestem pewny.

5 *Kwietnia.*

Już wiem napewno, że panią Kromicką zobaczę, albowiem dowiaduję się z listu ciotki, że mąż jej sprzedał majątek na Wołyniu, sam zaś wyjechał w interesie swych spekulacyi na daleki Wschód, nie pozostało więc jej nic innego, jak wrócić do matki, do Płoszowa. Wiadomość tę przyjąłem w pierwszej chwili, jeśli nie obojętnie, to z zupełną równowagą umysłu, uważam jednak, że wrażenie coraz więcej potęguje się we mnie. Jestto zresztą właściwość mego ustroju duchowego. Obecnie nie mogę już myśleć o czem innem; wypadek to niezmiernej doniosłości dla obydwóch tych kobiet. Sprzedał po upływie dziesięciu miesięcy te majątki w nieporównanej ziemi, które rodzina Anielki od czterystu lat miała w ręku i dla utrzymania których pani Celina poświęciła całe życie. A ów pan Kromicki przyszedł i sprzedał z lekkim sercem, dlatego tylko, że mu za nie dobrze zapłacono i że w ten sposób mógł zapewnić powodzenie swym dostawom.

Przypuszczam, że zrobi na nich miliony, ale co to za cios dla obydwóch tych kobiet — i co one mogą teraz o nim myśleć? Ciotka pisze mi, że siedzi teraz koło łóżka pani Celiny, która,

otrzymawszy tę wiadomość w Płoszowie, zachorowała dwakroć mocniej. Jestem zupełnie pewny, że Anielka, podpisując plenipotencję dla męża do sprzedaży, nie wiedziała, co robi. Broni go jednak wobec ludzi; ciotka cytuje mi w liście następujące jej słowa: «Stało się nieszczęście, ale nieszczęście nieuniknione, za które Karola nie można obwiniać». Broń go, broń, wierna, lojalna małżonko; nie zabronisz mi jednak myśleć, że cię zranił podwójnie i że w duszy musisz nim najserdeczniej pogardzać. Jego objęcia i pieszczoty nie wymażą ci z pamięci jednego wyrazu: *sprzedał!* A ta pani Celina, jego protektorka, która sądziła, że pierwszym jego czynem po ślubie będzie oczyszczenie, za pomocą swych milionów, majątku Anielki!... Ja — moje panie — człowiek bez «obywatelskich» frazesów — nie byłbym sprzedał, jeśli nie z innych powodów, to przez delikatność uczuć, to przez przywiązanie do was, to przez obawę zadania wam ciosu. Ale przy spekulacjach potrzebna jest gotówka — i poparcie. Nie przesądzam, czasem jednak te miliony wydają mi się znakiem zapytania. Może być, że Kromicki je zdobędzie, może sprzedaż owa posłuży mu do tego, ale gdyby je poprzednio miał, nie byłby ranił

tak boleśnie żony i nie byłby pozbawiał jej dachu nad głową. Ciotka pisze mi, że zaraz po sprzedaży wyjechał do Baku, a następnie do Turkestanu. Anielka, zbyt młoda, żeby sama mogła mieszkać, będzie przez cały czas przy matce, matka zaś siedzi w Płoszowie, raz dlatego, że się nie może ruszyć z powodu choroby, powtóre, że ciotka jej nie puszcza, ona zaś nie chce sobie narazić ciotki. Poznałem Anielkę zbyt dobrze, bym ją miał posądzać o jakie wyrachowanie. Jest ona ostatnim wyrazem bezinteresowności. Ale matka, któraby chciała zagarnąć świat cały dla swej jedynaczki, rachuje na to, że ciotka nie zapomni o niej w testamencie. Zresztą, rachuje słusznie. Ciotka, która nigdy nie wierzyła zbyt mocno w miliony Kromickiego, dawała mi to kilka razy do zrozumienia, z niepokojem i prawie z pokorą, uważa bowiem, że wszystko, co ma, należy do Płoszowskich, więc obawia się, bym na jej zamiar nie patrzył, jak na krzywdę rodu. Jak ona mnie nie zna! Gdyby dziś jeszcze Anielka została bez trzewików i gdyby za parę ich trzeba oddać Płoszów wraz z resztą mego majątku — tobym oddał. Może wypłynęłoby to ze złośliwej chęci przeciwsta-

wienia się Kromickiemu, lecz oddałbym niechybnie.

Obecnie mniejsza jednak o to. Bez ustanku myślę, że te panie mieszkają już w Płoszowie i że pozostaną tam dopóty, dopóki potrwa podróż Kromickiego, to jest Bóg wie, jak długo. Będę widywał codziennie panią Kromicką... Na tę myśl ogarnia mnie pewien niepokój, w którym jest i ciekawość, w jaki sposób ułożą się nasze stosunki — i widzenie różnych zdarzeń, któreby mogły nastąpić, gdyby usposobienia i uczucia moje dla niej były inne. Ja sam siebie nie okłamuję nigdy; powtarzam raz jeszcze, że jadę się leczyć, że pani Kromickiej nie kocham i nie będę kochał, że owszem, mam nadzieję, iż jej widok wyprze z mego serca dawną Anielkę lepiej od wszystkich fiordów i gejzerów; ale nie byłbym sobą, nie byłbym człowiekiem, który dużo żył i dużo myślał, gdybym nie widział tych niebezpieczeństw, jakie we wszelkich innych warunkach mogłoby wytworzyć podobne położenie.

Gdybym się bowiem chciał mścić — gdyby samo to nazwisko: pani Kromicka, nie odpychało mnie, jak odpycha — coby zdołało mi przeszkodzić i co wstrzymać? Wszakże w tym

cichym, odsuniętym od miasta Płoszowie, byłoby tylko nas dwoje i te dwie starsze panie, naiwne, jak dzieci, w swej nieskalanej nigdy cnocie. Znam pod tym względem ciotkę i panią Celinę. W wyższych sferach naszego towarzystwa często można spotkać kobiety z gruntu zepsute, ale też, zwłaszcza między starszem pokoleniem, są i takie, które przechodzą przez życie w sposób, mówiąc najprościej: anielski, nie zabrudziwszy nigdy myśli pojęciem złego. W głowie takiej ciotki lub takiej pani Celiny nie postoi myśl, żeby Anielce mogło grozić jakieś niebezpieczeństwo, skoro raz za mąż poszła. Anielka sama także należy do takich kobiet. Ona nie odrzuciłaby ostatniej mojej prośby, gdyby nie to, że pan Kromicki już miał jej słowo. Ale ten gatunek Polek woli złamać serce, niż słowo. Na myśl o tem porywa mnie złość. Tłumię w sobie tę potrzebę, którą odczuwa każdy człowiek — potrzebę dowiedzenia się własnej prawdy; nie chcę niczego dowodzić pani Kromickiej, ale gdyby się znalazł ktoś taki, ktoby wykazał tego rodzaju kobiecie, że praw natury, praw serca, bezkarnie się nie depce, że te prawa są silniejsze od sztucznych etycznych doktryn, że podobne postęпки się mszczą — byłbym bardzo

szczęśliwy. Prawda, żem względem Anielki zawinił ciężko, ale chciałem szczerze wszystko naprawić — i ona wiedziała o tem, a jednak odtrąciła mnie... Odtrąciła zapewne dlatego, by módz sobie powiedzieć: «Ja nie jestem Leonem Płoszowskim; dałam słowo, więc go dotrzymam». To nie cnota, to oschłość serca; to nie bohaterstwo tylko głupstwo; to nie prawość sumienia, tylko jego próżność. Nie mogę i nie mogę zapomnieć!...

Ale pomoże mi do tego sama pani Kromicka. Gdy ją ujrzę zadowoloną ze swego bohaterstwa, chłodną, zakochaną lub udającą miłość do męża, śledzącą z ciekawością, czy też bieda, która mnie gniecie, gniecie mnie dostatecznie — tedy mi ta cnotliwa, syta szczęścia i własnej cnoty małżonka tak obrzydnie, że może znów pojedę sobie gdzie do reniferów. Ale już wówczas nie polecą za mną wspomnienie Anielki, tak jak mewa leci za okrętem.

Być może także, iż pani Kromicka będzie grała trochę przedemną rolę mej ofiary i że całe jej postępowanie będzie mi mówiło mniej więcej wyraźnie: «Twoja wina!» Dobrze! Widziałem i takie rzeczy na świecie. Jak sztuczne kwiaty mają tę wadę, że nie pachną, tak sztuczne cierniowe wieńce mają tę zaletę, że nie kolą,

nosi się je więc na głowie chętnie, jak kapelusz, w którym do twarzy. Ilekroć widziałem taką ofiarę, która poszła za mąż niby z rozpaczy, tylekroć miałem jej ochotę powiedzieć: «Kłamiesz! byłaś może ofiarą, a przynajmniej w dobrej wierze, póki on, ów twój wybrany, nie zbliżył się do ciebie po raz pierwszy w pantoflach. Od tej chwili przestałaś być patetyczna, jesteś tylko śmieszna i płaska, a to tem bardziej, im bardziej udajesz ofiarę».

6 Kwietnia.

Jakie to piękne i rozumne słowo greckie: «Ananke». Było gdzieś zapisane, że przez tę kobietę nie zaznam spokoju nawet wówczas, gdy przestanę o nią dbać. Wzburzyła mnie jednak ogromnie myśl o tej sprzedaży i o przyjeździe jej do Płoszowa. Źle spałem zeszłej nocy; rozmaite pytania cisnęły mi się do głowy i szukałem na nie odpowiedzi. Staralem się rozwiązać zagadnienie, czy też miałbym na przykład prawo sprowadzić panią Kromicką z drogi obowiązku na manowce — czy nie? Nie chcę tego i nie uczynię, bo mnie pani Kromicka nie nęci — ale czy miałbym prawo? Zapelniam sobie życie podobnemi «to be or not to be?» — bo

nie mam czem innem żyć. Nie należą zresztą takie rozmyślania do najwyższych, znanych w świecie rozkoszy, bo najczęściej bywają podobne do gonitwy psa za własnym ogonem: nic nie złapię, niczego nie dowiodę i zmęczone się — ale mam tę pociechę, że upłynął jeden więcej dzień, lub jedna więcej noc. Zauważyłem zarazem, że przy całym swym sceptycyzmie posiadam zdolność odczuwania skrupułów, doprawdy godnych ploszowskiego wikarego. Nowożytny człowiek złożony jest z tylu nici, że gdy się chce rozplątać, zwikła się jeszcze bardziej. Próżnom dziś w nocy powtarzał sobie, że to przecie jest czysta teoria, ale, że takie prawo mam. Jakiś głos z parafialnej kruchty mówił mi bez przerwy: nie! nie! nie! Trzeba jednak podobne skrupuły wiać za uszy, bo to jest dla mnie kwestya równowagi umysłowej. Jestem o tej wieczornej godzinie w odpowiednim do tego usposobieniu. Dziś po południu, w domu znajomego malarza słyszałem, jak pani Davisowa dowodziła dwom literatom francuskim, że kobieta powinna zostać całe życie niedostępna, choćby tylko: «pour la netteté du plumage!» — Maleschi powtarzał: «Oui! oui!... du plumaze!» — ja zaś wyobrażałem sobie, że wszystkie kraby

morza Śródziemnego wywróciły się na wznak i wyciągnęły szczypce do góry, z prośbą do Jowisza o grzmot. Mówiąc nawiasem, Davisowa pożyczyła tego wyrażenia odemnie, ja zaś pożyczyłem od Feuilleta. Zachowałem się jednak z całą powagą, nie pozwoliłem sobie nawet na uśmiech, ale popadłem w jakieś wesole i cyniczne usposobienie, którego odbłask jeszcze w tej chwili jest we mnie, a które jest zawsze najlepszą bronią przeciw skrupułom.

Więc dalej! Czy miałbym prawo rozkochać w sobie panią Kromicką i w razie powodzenia sprowadzić ją z drogi obowiązku? Patrząc naprzód na to ze stanowiska honoru, tak, jak go w ogóle pojmują ludzie, którzy siebie samych mają za gentlemanów i których cały świat ma za takowych. Otóż nie znajduję ani jednego paragrafu, któryby mi zabraniał tak postąpić. Swoją drogą, na pierwszy rzut oka, jestto najdziwaczniejszy z kodeksów, jakie kiedykolwiek istniały pod słońcem. Bo jeśli komuś ukradnę pieniądze, tedy, według pojęć światowych o honorze, hańba spada na mnie, jako na złodzieja, okradziony zaś wychodzi ze sprawy czysto; ale jeśli komuś ukradnę żonę, tedy ja, złodziej, wychodzę czysto, a hańba spada na okradzionego.

Co to jest? Czy proste zboczenie zmysłu moralnego, czy też między kradzieżą portmonetki a żoną zachodzą tak wielkie różnice, że podobnych postępków zestawiać nawet nie wolno? Zastanawiałem się nad tem nieraz i doszedłem do przekonania, że to nie jest to samo. Istota ludzka nie może być taką własnością, jak rzecz — i kradzież żony jest aktem dwustronnej woli. Dlaczego miałbym uznawać prawa męża, jeżeli tego prawa nie uznaje sama żona? Co on mnie obchodzi? Widzę oto istotę, która chce należeć do mnie i biore ją. Jej mąż dla mnie nie istnieje, a jej przysięgi to nie moja rzecz. Co więc ma mnie powstrzymać, czy szacunek dla instytucyi małżeńskiej? Ale oto, gdybym kochał, gdybym mógł kochać panią Kromicką, to krzyczałbym z głębi wnętrza: protestuję przeciw jej małżeństwu, protestuję przeciw jej obowiązkom dla Kromickiego; jam jest robak, którego to małżeństwo rozgniała nogą, który się wije z bólu — i mnie, który w otatniem tchnieniu pragnąłbym ukąsić tę stopę, każą ją szanować! Za co? dlaczego? Co mnie obchodzi taki układ społeczny, który wyciska ze mnie wszystką krew, wszystką ochotę do życia? Zapewne, iż to jest porządek

natury, że ludzie żywią się rybami, ale kaźcież szanować taki porządek rybnie, którą żywcem skrobιά, zanim ją włożą do garnka. Protestuję i kęsam! — oto moja odpowiedź. Spencerowski ideał rozwiniętego ostatecznie człowieka, w którym indywidualne popędy znajdują się w zupełnej harmonii z układem społecznym — jest tylko postulatem. Wiem, wiem doskonale, że taki Śniatyński pobili by mnie jednym pytaniem: «Więc jesteś za wolną miłością?» Nie! nie jestem! Jestem tylko za sobą samym. I am for myself! Nie chcę zresztą nic wiedzieć o waszych teoriach. Jeśli ty pokochasz inną kobietę, albo twoja żona innego mężczyznę, zobaczymy na co ci się przydadzą wasze przepisy, paragrafy uszanowania dla układu społecznego. W najgorszym razie jestem niekonsekwentny. Tak samo niekonsekwentny byłem, gdym ja, sceptyk, dał na mszę na intencję Leona i Anieli i gdym się modlił, jak dziecko, a łykał łzy, jak głupiec. Na przyszłość obiecuję sobie być zawsze niekonsekwentnym, ilekroć będzie mi z tem lepiej, dogodniej, szczęśliwiej. Na świecie istnieje tylko jedna logika — logika namiętności. Rozum do czasu tylko przestrzega, a następnie, gdy konie rwą się niepowstrzymanie do biegu, siada na

koziół i pilnuje tylko tego, by się wóz nie potrzaskał. Serce ludzkie nie może się zabezpieczyć przeciw miłości, a miłość to jest żywioł, to taka siła, jak przypływ i odpływ morza. Kobiety zakochanej w mężu bramy piekielne nie przemogą, bo przysięga ślubna jest tylko uświęceniem miłości — ale gdy jest tylko zobowiązaniem, wówczas pierwszy lepszy przypływ wyrzuca ją na piasek, jak śniętą rybę. Nie mogę się zobowiązywać do tego, że mi broda nie będzie rosła, albo że się nie będę starzał — a ilekroć to uczynię, prawa życiowe przejadą po mnie i po moich zobowiązaniach.

Dziwna rzecz; wszystko to, co piszę, jest, jak już powiedziałem, czystą teorią. Nie mam żadnych takich zamiarów, które potrzebowalbym przed sobą usprawiedliwiać, a jednak rozmyślania podobne wzbudzają mnie i teraz wzburzyły do tego stopnia, że musiałem przerwać pisanie. Mój spokój jest jednak dyabło sztuczny... Chodziłem przeszło godzinę po pokoju i w końcu doszedłem, co mnie tak podnieciło... Oto już jest bardzo późno. Z okien moich widać kopułę Inwalidów, która błyszczy w księżycu, jak błyszczał w swoim czasie Sw. Piotr, gdy przepełniony nadzieją chodził po Pincio i myślał

o Anielce. Mimowoli oddałem się tym wspomnieniom. Niech sobie będzie, jak chce i jak jest, to pewna jednak, że mogłem być szczęśliwy, i że ona także mogła być dziesięć, sto razy szczęśliwsza. Ja jeszcze dziś, gdybym miał nawet jakie ukryte zamiary, gdyby ona była nie wiem jaką dla mnie pokusą, cofnąłbym się przed jej nieszczęściem. Za nic tego nie chcę, za nic. Sama myśl o tem odejmowałaby mi przedsiębiorczość i stanowczość. Miałem w sobie całe góry tkliwości dla niej.

Ale to są dawne rzeczy. Sceptyk, siedzący we mnie, podsuwa mi inne w swoim rodzaju pytanie: czy w danym wypadku ona byłaby istotnie tak nieszczęśliwa? Sprawdziłem niejednokrotnie w życiu, że kobiety póty są tylko nieszczęśliwe, póki walczą. Gdy raz walka się rozstrzygnie, następuje, bez względu na jej rezultat, okres spokoju, słodczy, szczęścia... Znalazłem tu kiedyś w Paryżu kobietę, która przez trzy lata toczyła ze sobą bój w największej mecie, a potem, gdy serce wzięło górę, został jej jeden tylko wieczny wyrzut, mianowicie, że opierała się tak długo.

Ale na co się przyda stawianie tych wszystkich pytań i rozwiązywanie zagadnień? Wiem,

że każdej zasady można dowieść, a o każdym dowodzie zwątpić. Te dobre czasy, w których ludzie wątpili o wszystkim, z wyjątkiem o zdolności rozumu do rozeznawania prawdy od fałszu, dobra od zła — minęły. Obecnie naokoło manowce, manowce i manowce. Lepiej mi myśleć o blizkiej podróży... A ten Kromicki sprzedał jednak majątek żony i zranił ją tak głęboko... Musiałem to sobie napisać czarno na białem, bo inaczej nie chciałoby mi się w to wierzyć...

10 Kwietnia.

Byłem wieczorem z pożegnaniem u Davisowej i trafiłem na prawdziwy koncert. Zdaje się, że Laura naprawdę rozmiłowała się w muzyce. Hilstówna grała na fis-harmonii. Rad ją zawsze widzę, ale przede wszystkim lubię ją, gdy zasiada do melodykonu i biorąc pierwsze akordy, trzyma oczy spuszczone na klawiaturę. Jest w niej jakaś powaga, skupienie, a przytem nadzwyczajny spokój. Przypomina mi wówczas świętą Cecylię, która mi jest najsympatyczniejszą ze świętych i w której kochałbym się, gdybym był jej współczesnym. Szkoda, że Klara jest tak duża, ale jednak, gdy się ją widzi gra

jąca, zapomina się o tem. Od czasu do czasu spuszczone jej powieki podnoszą się ku górze, jakby chciała sobie przypomnieć jakąś nutę, zasłyszana gdzieś na wysokościach, w chwili natchnienia — i sama wygląda wtedy, jak natchniona. Słusznie nosi imię: Klara, bo przeźroczystszej duszy trudno spotkać. Powiedziałem, że lubię ją widzieć, nie zaś słyszeć; muzyki jej, niestety, jak zawsze, nie rozumiem, a przynajmniej chwytam jej myśl z trudnością. Sądzę jednak, że wbrew moim złośliwym i zuchwałym uwagom, ma ona niezwykły talent.

Gdy skończyła grać, zbliżyłem się do niej i pół-żartem oświadczyłem, że nadeszła chwila wyjazdu do Warszawy i że na mocy naszych dawnych układów, zapowiadam jej, żeby była gotowa. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że bierze moje słowa poważnie. Odpowiedziała mi, że do Warszawy naprawdę dawno się już wybiera, a co do gotowości, to jest kwestya zabrania starej krewnej, która towarzyszy jej wszędzie, i głuchej klawiatury, na której grywa gamy nawet w wagonie.

Cokolwiek mnie to przestraszyło. Jeżeli istotnie pojedzie, będę jej musiał choć cokolwiek pomagać w urządzeniu koncertu, a wolałbym

odrazu jechać do Płoszowa. W ostatnim razie oddam ją w ręce Śniatyńskiemu, który może jej być pożyteczniejszym odenmnie. Zresztą Hilstówna jest córką bogatego przemysłowca z Frakfurtu i powodzenie materyalne jest dla niej obojętne. Zastanawia mnie jednak skwapliwość, z jaką się zgodziła na tę podróż. W pierwszej chwili chciałem jej nawet powiedzieć, że zgadzam się na głuchą klawiaturę, ale myśl zabrania starej krewnej uważam za mniej szczęśliwą. My, mężczyźni, jesteśmy tak przyzwyczajeni do dybania zawsze i wszędzie na kobietę, że do młodej i przystojnej żaden z nas nie zbliża się nigdy bez ubocznej myśli. Kto twierdzi inaczej, ten chce właśnie okłamać kobietę, aby tem łatwiej wpadła w zasadzkę. Co do mnie, mam w tej chwili umysł pochłonięty czem innym, a jednak owa stara krewna zrobiła mi na razie wrażenie przeszkody, tembardziej, że prawdopodobnie moja osoba odgrywa jakąś rolę w tem pospiesznem postanowieniu. Paryż jest ostatecznie szerszem polem do popisów muzycznych, niż Warszawa, skoro zaś o zyski Klarze także nie może chodzić, więc dlaczego chce jechać? Laura, jak już wspomniałem, dawno dawała mi do zrozumienia, że Hilstówna ma dla mnie wię-

cej niż sympatyę... Dziwna kobieta ta Laura. Niewinność Klary budzi w niej zazdrość, ale tylko taką, jakaby budził naprzykład oryginalny klejnot, bogaty dyadem, jakaś przepyszna koronka... Zawsze kwestya ozdoby — nic więcej! Zapewne dlatego radaby popchnąć to ogromne dziecko w moje ramiona. O mnie Laurze nie chodzi, jestem bowiem ozdobą, którą już nosiła na szyi.

Ta kobieta uczyniła mi niechcący tyle złego, że powinienem ją nienawidzić — a nie mogę. Naprzód, sumienie mi mówi, że gdyby wcale nie była pojawiła się na drodze mego życia, byłbym wynalazł jakiś inny, równie skuteczny sposób przemarnowania szczęścia; powtóre, jak szatan jest upadłym aniołem, tak nienawiść jest wyrodzoną miłością, ja zaś Laury nie kochałem nigdy. Mam dla niej trochę pogardy, to inna rzecz, ale też i ona wypłaca mi pod tym względem wzajemnością. Przypuszczam nawet, że ona mi gorzej życzy, niż ja jej.

Co do uczuć Klary dla mnie, Laura może mieć jednak trochę słuszności. Dziś przedstawiło mi się to jaśniej, niż kiedykolwiek. Jeśli tak jest, jestem jej wdzięczny. Po raz pierwszy w życiu mam ochotę zawrzeć przyjaźń z ko-

biętą i nie zawieść jej ufności. Dusza tak nie-spokojna, jak moja, może w danym razie znaleźć ukojenie w podobnej przyjaźni.

Rozgadaliśmy się dziś z Klarą, jak para przyjaciół. Inteligencya jej nie jest nadto obszerna — ale natomiast jasna, dobrze odróżniająca to, co uważa za złe i szpetne, od tego, co uważa za dobre i piękne, i wskutek tego nie jest błędna, a zarazem bardzo pogodna. Jest w niej jakieś zdrowie duchowe, które zresztą często spotyka się u Niemców. Stykając się z nimi tu i owdzie, zauważyłem, że naprzykład tego rodzaju typów, do których należę ja, jest między nimi bardzo niewiele. Niemcy, jak również Anglicy, są to ludzie pozytywni, którzy wiedzą czego chcą. Zagłębiają się nieraz i oni w to bezbrzeżne morze zwątpień, ale czynią to metodycznie, jako uczeni, nie jako ludzie czujący i nie jako geniusze bez teki, skutkiem czego ich niedawna filozofia transcendentalna, ich obecny naukowy pesymizm, ich poetyczny weltszmerz, mają znaczenie tylko teoretyczne. W praktyce dostosowują się oni doskonale do warunków życia. Według Hartmana, im ludzkość potężniej i świadomiej żyje, tem jest nieszczęśliwsza, tenże sam zaś Hartman nawołuje w praktyce z całym

spokojem Niemca-kulturträgera, do spotęgowania niemieckiego życia kosztem Poznańczyków. Ale, pominąwszy ten wypadek, należący zresztą do kategorii nikczemności ludzkich, Niemcy nie biorą w ogóle do serca teorii, dlatego są spokojni i zdolni do czynu. Ten spokój ma i Klara. Wszystko to, co może przewrócić duszę ludzką do dna, musiało się jednak obijać o jej uszy, ale jakoś ześlizgiwało się po niej, nie przechodząc w krew, dzięki temu nie zwątpiła nigdy o swojej prawdzie, również jak o swojej muzyce. Jeśli ona żywi dla mnie więcej, niż sympatyę, prawdopodobnie jest to jakoweś uczucie nieświadome i nie żądające niczego. Z chwilą, gdyby takim przestało być, zacząłby się jej dramat, albowiem nie mógłbym odplacić jej wzajemnością; mógłbym tylko wyzyskać owo uczucie w sposób, przynoszący jej nieszczęście. Nie jestem zarozumiałcem, który sądzi, że mu się żadna w świecie kobieta oprzeć nie zdoła; jestem tylko zdania, że żadna w świecie kobieta nie zdoła się oprzeć człowiekowi, którego prawdziwie kocha. Określenie: «forteca obleżona, forteca zdobyta», należy wprowadzić do oklepanych i niezdolnych określeń, ale wspiera się na prawdzie, a jest jeszcze stokroć prawdziwsze, gdy

się stosuje do kobiety, która po za murami swej cnoty, nosi w piersiach takiego zdrajcę, jakim jest serce. Ale Klara może być spokojna. Pojeździemy w spokoju; ona, ja, stara krewna i głucha klawiatura.

16 Kwietnia.

Od trzech dni jestem w Warszawie, ale nie mogłem dotąd wyruszyć do Płoszowa, albowiem zaraz po przyjeździe dostałem bólu zębów i twarz mam opuchniętą. Nie chcę się tak przedstawiać tym paniom.

Widziałem już Sniatyńskiego, ciotka była także u mnie i witała mnie, jak marnotrawnego syna. Anielka przyjechała przed tygodniem. Matka jej jest tak chora, że lekarze, którzy początkowo chcieli wysłać ją do Wiesbadenu, uznali obecnie, że nie przeniosłaby żadnej podróży. Zostanie więc w Płoszowie aż do powrotu do zdrowia lub do śmierci — i Anielka z nią, o ile Kromicki nie załatwi prędko swych spraw i nie uzna za stosowne obrać gdziekolwiek stałej siedziby. Tymczasem z tego, co mi mówiła ciotka, wnoszę, że podróż jego potrwa kilka miesięcy. Staralem się wyciągnąć z ciotki jak najwięcej wiadomości o Anielce i poszło mi

to tem łatwiej, że ciotka mówi ze mną z całą swobodą. Ciotka wprost nie przypuszcza, żeby kobieta zameżna mogła zajmować kogoś inaczej, jak krewna, a raczej nie zastanawia się nawet nad podobnemi kwestyami. Mówiła więc ze mną otwarcie o tej sprzedaży, której i sama nie może Kromickiemu darować. W końcu wpadła w taki gniew, że aż zerwała łańcuszek, który nosi na szyi, skutkiem czego zegarek wyłeciał na podłogę.

— Do oczu mu powiem — mówiła — że to jest podwójna niegodziwość. Wolalabym była pożyczyć mu pieniędzy. Tylko na coby się to zdało! Te jego spekulacye — to przepaść! Nie wiem, co z niej wyjdzie, ale tymczasem wszystko w nią wchodzi. Niech mi się pokaże, powiem mu natychmiast: pan i Anielkę zaprzepaścisz i Celinę zaprzepaścisz i w końcu zbankrutujesz. Co tym kobietom po milionach, skoro każdy grosz muszą oplakać! Niegodziwość i nic więcej! Zawszem niecierpiała tego suszonego grzyba i miałam rację.

Spytałem ciotki, czy mówiła o tem otwarcie z Anielką.

— Z Anielką? — rzekła. — Dobrze, żeś przyjechał, bo się przynajmniej mogę wygadać. To

mi ulży. Z Anielką niema sposobu mówić o tem otwarcie. Raz nie wytrzymałam, raz zaczęłam, to się zaperzyła na mnie a potem w płacz. «Musiał, musiał, musiał!» — i tyle. Ona słowa na niego nie pozwoli powiedzieć, ona radaby wszystkie jego wady ukryć przed światem. Ale mnie starej nie zwiedzie: w duszy tak samo potępia tę sprzedaż, jak i ja.

— Więc ciotka myśli, że ona go nie kocha?

Ciotka spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Co? A kogóż będzie kochała? Właśnie dlatego się martwi, że go kocha. Ale kochać można swoją drogą, a widzieć zle strony swoją drogą.

Mam na tę sprawę nieco inny pogląd, ale wołałem przed ciotką o nim zamilczeć, tymczasem ona mówiła dalej:

— Najbardziej mam mu za złe, że to jest człowiek, który kłamie. Zapewnił Celinę i Anielkę, że za rok lub najdalej dwa będzie mógł odkupić te majątki. Powiedz, czy to jest możliwe? Mów! Ale te kobiety wmawiają same w siebie, że tak będzie.

— Podług mnie, jestto zupełnie niemożliwe. Będzie spekulował w dalszym ciągu.

— I on wie o tem, jeszcze lepiej, niż my, więc okłamuje umyślnie te kobiety.

— Może dlatego, żeby się nie martwiły zbytecznie.

Ciotka wpadła w gniew jeszcze większy.

— Co to nie martwiły! Nie byłyby się martwiły, żeby nie był sprzedal. Nie broń go na próżno! Każdy musi go za to potępić. Chwastowski nie posiadał się z oburzenia. Rozpatrzył się w tych interesach i powiada, że choćby grosza znikąd nie było, on w parę lat podjąłby się oczyścić te majątki, a pieniędzy ja pierwszabym dała — i tybyś dał. Dałbyś? Widzisz! A teraz wszystko przepadło!

Począłem następnie wypytywać o zdrowie Anielki. Dopytywałem z ukrytym, dziwnym, niewytłomaczonym niepokojem, bom się bał usłyszeć coś takiego, co by było zupełnie naturalne, co leżałoby w porządku rzeczy, a co jednak potargaloby, sam nie wiem dlaczego, moje nerwy ze szczętem. Jestem wielki nędzarz! Na szczęście, ciotka zrozumiała o co mi chodzi, odrzekła bowiem z taką, jak poprzednio, złością:

— Na nic się nie zanosz!... Majątek to potrafił sprzedać, a nie zanosz się na nic!

Zwróciłem zaraz rozmowę na inny przed-

miot. Powiedziałem ciotce, że przyjechała jednym pociągami ze mną największa współczesna fortepianistka, a zarazem osoba bardzo majątna, która niczego tak nie pragnie, jak dać parę koncertów na biednych. Usposobienie ciotki jest jednak osobliwsze. Przedewszystkiem zaczęła fukać na Hilstównę, że nie przyjechała w zimie, kiedy jest najlepszy czas na koncerty; następnie dopiero namyśliła się, że nie jest jeszcze całkiem zapóźno i w te pędy chciała biedzić do Klary. Ledwie mógł ciotce wytłómaczyć, że lepiej będzie, gdy uprzedzę Hilstównę o jej wizycie. Ciotka stoi na czele kilku stowarzyszeń dobroczynnych i uważa za punkt honoru złupić dla nich, kosztem innych towarzystw, co się tylko da — boi się więc, żeby jej kto nie podszedł.

Wychodząc, spytała mnie:

— Kiedy przeniesiesz się do Płoszowa?

Lecz ja odpowiedziałem, że się wcale nie przeniosę. W drodze namyśliłem się, że lepiej będzie, gdy zamieszkać w Warszawie. Płoszów leży o milę; pojedę więc tam każdego rana i zostanę aż do wieczora. Dla mnie jest to wszystko jedno, a nie dam w ten sposób ludziom powodu do przypuszczeń. Woleę, żeby i pani Kromicka

nie pomyślała, że mi może chodzić o mieszkanie z nią pod jednym dachem. Wspomniałem także w rozmowie ze Śniatyńskim, tak, jak gdybym mówił o rzeczy pobocznej i bez znaczenia, że nie myślę przenosić się do Płoszowa. Uważałem, że uznał to zupełnie i miał nawet ochotę obszerniej pomówić o Anielce. Śniatyński jestto człowiek stanowczo inteligentny, a jednak nie rozumiał, że odmienne warunki wytwarzają odmienny stosunek nawet między najbliższymi przyjaciółmi. Przyszedł do mnie tak, jakbym dotychczas był owym Leonem Płoszowskim, który, trzęsąc się jak liść, prosił go w Krakowie o ratunek; zbliżył się z tą samą szorstką otwartością i odrazu chciał zanurzyć rękę po łokieć pod moje żebra. Zahanowałem go w jednej chwili, skutkiem czego był nieco zły i zdziwiony. Później dopiero dostosował się do mojej nuty i poczęliśmy rozmawiać tak, jakby nasze ostatnie spotkanie nigdy nie miało miejsca. Wiedziałem jednak, że go interesuje mój obecny nastrój, nie mogąc bowiem wprost, począł mnie badać ubocznie, z tą całą niezręcznością pisarza-artysty, który jest głębokim psychologiem i bystrym analitykiem, gdy siedzi przy swoim

biurku, a naiwnym po studencku człowiekiem w praktycznem życiu.

Gdybym był miał pod ręką flet, mógłbym, jak ongi Hamlet, podać mu go i powiedzieć: «Proszę cię, zagraj, a jeśli mówisz, że nie umiesz, jakże możesz przypuszczać, ty, który z kawałka drzewa nie potrafisz wydobyć tonu, że zagrasz, jak ci się podoba, na mojej duszy?»

Wczoraj w nocy czytałem Hamleta, po raz nie wiem który w życiu i stąd przyszło mi to porównanie. Jestto dla mnie wprost rzecz nie do pojęcia, że dzisiejszy człowiek, w każdym położeniu, w każdym najbardziej nowożytnym i złożonym rozstroju duchowym, nie znajdzie w niczem tyle analogii ze sobą, ile w tym dramacie, opartym na grubej i krwistej legendzie Holinshaeda. Hamlet, to dusza ludzka, jaka była, jaka jest i jaka będzie. Podług mnie, Szekspir przeszedł w nim granice, zakreślone nawet geniuszom. Bo Homera lub Danta rozumiem na tle ich epoki. Pojmuję, że mogli zrobić to, co zrobili — ale jakim sposobem ten Anglik mógł w siedemnastym wieku przeczuć wszelkie psychozy, będące wytworem dziewiętnastego, to mimo wszelkich studyów o Hamlecie, pozostanie dla mnie wieczną zagadką.

Podawszy więc Śniatyńskiemu Hamletowski flet, poleciłem jego opiece Hilstównę; następnie począłem z nim mówić o jego dogmatach. Powiedziałem mu, że właśnie tęsknota do kraju i poczucie obowiązku jest powodem mego przyjazdu. Ale mówiłem to tonem tak niedbałym, że Śniatyński nie wiedział, czy trochę drwię, czy wypowiadam istotne swoje uczucia. I znów powtórzyło się zjawisko, o którym już wspomniałem w Paryżu. Owa przewaga moralna, którą Śniatyńskiemu dały nademną ostatnie wypadki, topniała z każdą chwilą. Nie wiedział sam, co ma myśleć; zrozumiał tylko jedną rzecz: oto, że starami kluczami mnie nie otworzy. Na odchodnem, gdym znów polecał Hilstównę, spojrział na mnie bystro i rzekł:

— Czy ci na tem bardzo zależy?

— Bardzo, bo to jest osoba, dla której mam wielką przyjaźń, a jeszcze większy szacunek.

W ten sposób promienie jego uwagi skupiłem na Hilstównę. Prawdopodobnie przypuszcza, że to jest nowa jakaś miłość. Odszedł zły. On nigdy nie umie nic ukryć. Drzwi zamknął za sobą trochę za mocno, a gdym, odprowadziwszy go na schody, wracał nazad do przedpokoju, słyszałem, jak schodził po cztery stopnie i gwi-

zdał bardzo głośno, co zawsze czyni, gdy jest z czego niekontent.

Zresztą powiedziałem mu prawdę, że mi chodzi o Ililstównę. Pisałem dziś do Klary, wyjaśniając, dlaczego nie odwiedziłem jej dotąd — i miałem zaraz odpowiedź. Klara zachwycona jest Warszawą, a zwłaszcza ludźmi. Wszyscy znakomici muzycy tutejsi złożyli jej w ciągu tych trzech dni wizyty, przesadzając się w grzecznościach i ofiarowaniu pomocy. Pisze, że tak uprzejmych ludzi nie spotkała w żadnym mieście. Przypuszczam, że gdyby chciała osiąść tu na stałe, może nie byłiby dla niej tak uprzejmi, choć zresztą ona ma dar jednania sobie wszędzie przyjaciół. Zwiedziła już trochę miasto i szczególnie podobały jej się Łazienki. Rad jestem z tych zachwyty Klary, tembardziej, że po przebyciu granicy, krajobraz zrobił na niej przynębiające wrażenie. Rzeczywiście, w tej pustej a płaskiej okolicy, oko niema na czem spocząć i trzeba się chyba tu urodzić, żeby znaleźć w niej jakikolwiek wdzięk. Klara, wyglądając przez okna wagonu, powtarzała ciągle: «Ach, teraz rozumiem Szopena!» Swoją drogą myli się, bo ani go rozumie, ani go odczuwa, również, jak nie umiała odczuć tego krajobrazu.

Ja, chociaż jestem duchowem dzieckiem zagranicy, posiadam przez jakiś atawizm dar odczuwania naszej natury i ze zdziwieniem stwierdziłem niejednokrotnie, że ilekroć na wiosnę wracam do kraju, nie mogę się nasycić jego widokiem. A właściwie mówiąc, co to jest za widok? Nieraz umyślnie starałem się sobie wyobrazić, że jestem cudzoziemcem — malarzem, że żadnego uczucia nie mam i patrzę obiektywnie, jak obcy. Wówczas ten krajobraz robił na mnie zupełnie takie wrażenie, jakby go rysowało dziecko, umiejące rysować tylko kreski, lub dziki człowiek. Te płaskie ugory, mokre łąki, chałupy o zarysach prostokątnych, dworskie toполе na krańcu widnokręgu, наконец przestrzeń polna, zakończona opaską lasu, owo «dziesięć mil niczego», jak mówią Niemcy, wszystko to przywodziło mi zawsze na myśl jakieś pierwociny krajobrazu z całym ubóstwem pomysłów i linii. Ściśle mówiąc, jestto zaledwie tło. Z chwilą jednak, gdy przestaję patrzeć, jak człowiek obcy, gdy poczynam odczuwać prostotę widoków, włączać się w tę ich niezmierną szerokość, w której wszelki określony kształt tak topnieje, jak dusza w nirwanie — mają one dla moich oczu nietylko artystyczny urok «prymi-

tywów», ale zarazem działają na mnie w sposób kojący. Mogę podziwiać na przykład Apenniny, ale duch mój nie umie wnikać w nie, zostaje na zewnątrz i obija się o nie łokciami. Wobec tego, prędzej, później, musi nastąpić znużenie. Człowiek wypoczywa naprawdę tylko w takim razie, jeśli się stapia z otoczeniem, a stopić się może jedynie wówczas, gdy jego dusza i dusza natury posiadają wspólną, odpowiadającą sobie organizację. Nostalgia pochodzi właśnie z wyłączania się duszy z ogółu otaczających ją rzeczy. Zdaje mi się, że ową zasadę psychicznego powinowactwa możnaby zastosować jeszcze szerzej. Może dziwnem się wyda, że ja, wychowany po za krajem i przesiąknięty kulturą tamtejszą, wypowiadam podobne poglądy, ale powiem więcej: oto nawet kobieta-cudzoziemka, choćby najpiękniejsza, pozostaje dla mnie w pewnym stopniu tylko okazem żeńskiego rodzaju, nie zaś duszą kobiecą.

Pamiętam, com swego czasu wypisywał na Polki. Lecz to jedno drugiemu nie przeszkadza. Mogę widzieć ich wady, a czuć się bliższy im, niż cudzoziemkom. Zresztą, większa część moich dawnych poglądów podarła mi się naksztalt starego ubrania.

Lecz dosyć o tem. Spostrzegłem ze wstydem i ze zdziwieniem, że to wszystko, com napisał, było zagadywaniem siebie samego. Tak jest! — tak! Rozprawiam o krajobrazach, nostalgii, a naprawdę wszystkie moje myśli są w Płoszowie. Nie chcę się do tego przyznać, ale trzeba! Siedzi we mnie niepokój, podobny do jakiegoś ściskania w piersiach. Być bardzo może, iż i przyjazd tam i pobyt będzie bez porównania lżejszy, łatwiejszy, niż to sobie teraz, w tym stanie oczekiwania, wyobrażam. Wszelka wigilia jest nieznosną. Będąc młodym chłopcem, miałem raz pojedynek i przypominam sobie, że niespokojny byłem tylko w wigilię. Staralem się także wówczas myśleć o czem innem i podobnie, jak dziś, napróżno. Myśli moje nie są wcale tkliwe. ani nawet przyjazne dla pani Kromickiej, są tylko jakoś dziwnie mrowiące się; opadają mnie, jak zaniepokojone pszczoły i niepodobna mi się od nich opędzić.

17 Kwietnia.

Byłem dziś, i zastałem wszystko zupełnie inaczej, niżem sobie wyobrażał. Wyjechałem z Warszawy dorożką o siódmej rano, wyliczywszy, że na ósmą mniej więcej będę w Płoszo-

wie. Ciotka mówiła mi, że te panie rano wstają. Owo nieprzyjemne uczucie ściskania pod sercem i mrowienia się myśli nie opuściło mnie ani na chwilę. Przyrzekłem sobie, że nie będę obmyślał żadnych planów powitania, ani postępowania w dalszym ciągu z Anielką. Niech tak będzie, jak musi być i jak wypadnie — oto wszystko, com postanowił. Nie mogłem jednak nie myśleć, jak to właśnie będzie, jak ona wygląda, jak mnie powita, co zechce dać mi do zrozumienia, w jaki sposób pokieruje nasze stosunki? Bo ponieważ sam nie miałem i nie chciałem mieć żadnych w tym względzie postanowień, byłem, nie wiem dlaczego, pewny, że ona je będzie miała. W przewidywaniu tego, wpadłem chwilami w usposobienie dla niej nieprzyjazne — to znów na myśl, że bądź co bądź i dla niej wyniknie z tego wielki przymus, czułem coś nakształt żalu nad nią. Wyobrażenia moja była jednak do tego stopnia nią zajęta, że ją widział, jak żywą. Przypomniałem sobie z niezmierną plastyką zarost jej kasztanowatych włosów nad czołem, jej długie rzęsy, oczy, jej twarz drobną i delikatną. Staralem się odgadnąć, jak będzie ubrana. Wracały mi też różne wspomnienia jej słów, poruszeń, wyrazów twarzy

ubrań. Z dziwną uporczywością przypominała mi się zwłaszcza ta chwila, w której ona wróciła raz z górnych pokojów do salonu, z twarzą, której wzruszenie usiłowała pokryć pudrem. Wreszcie wspomnienia owe spoteźniały tak bardzo, że stały się niemal widzeniem. Pomyślałem: oto znów mnie nawiedza! — i chcąc się od tego uwolnić, począłem rozmawiać z dorożkarzem. Pytałem go, czy jest żonaty, na co mi odpowiedział, że «bez baby nijak» — poczem jeszcze coś mówił, czego już nie słyszałem, bom naraz dojrzał w dali majaczące topole płoszkowskie. Anim się spostrzegł, kiedyśmy ujechali kilka wiorst od rogatek.

Na widok Płoszowa, uczucie wewnętrzznego niepokoju wzrosło we mnie, a myśli moje stały się jeszcze szybsze. Staralem się zwrócić uwagę na rzeczy zewnętrzne, na zmiany, jakie zaszły w czasie mej niebytności, na nowo pobudowane domy przydrożne. Mechanicznie powtarzałem sobie, że pogoda jest bardzo piękna, a wiosna wyjątkowo wczesna. Dzień rzeczywiście był przepyszny, w powietrzu rzeźwa poranna świeżość i pełno jasności; przy domach kwitły jabłonie, pod którymi leżał kwiat naksztalt śniegu; otaczał mnie jakby szereg obrazów nowej szkoły

malarskiej. Wszędy, gdzie spojrział, widziałem świetlisty i przeźroczysty «plein-air», w którego jasnej głębi poruszały się postacie ludzi, pracujących przy domach i w polu. Dziwna rzecz, że wszystko to widział, wszystko zauważył, ale nie zdołał się tem przejąć, ani się temu całkowicie oddać. Owe wrażenia straciły niejako swą wnikliwość, natomiast skupiały się i uświadamiały tylko na powierzchni mego mózgu, nie mogąc zasunąć się w głąb, gdzie kryły się inne myśli. W tym stanie rozdwojonej uwagi zbliżyłem się do Płoszowa. Nagle ogarnął mnie chłód lipowej alei, przez którą spoglądały zdala na świat okna pałacu. Rozproszone marne myślatka poczęły tłuc się we mnie jeszcze niespokojniej. Nie umiem dokładnie powiedzieć, dlaczego, zamiast wjechać na dziedziniec, zatrzymałem dożkarza przed bramą — i ścigany jego podziękowaniami, poszedłem piechotą do ganku.

W ogóle, nie umiem sobie również zdać sprawy, z jakich powodów byłem tak niespokojny: chyba dlatego, że w tym znanym domu oczekiwało mnie coś nieznanego, co jednak stało w takim, wprost tragicznym, związku z moją przeszłością. Idąc przez dziedziniec, doznałem tak silnego ściskania w piersiach, że chwilami robiło

mi się duszno. «Co u dyabła! co u dyabła!» — powtarzałem sobie w duchu. Ponieważ zostawiłem dorożkarza przed bramą, nikt nie wyszedł na moje spotkanie. Sień była pusta. Wszedłem do sali jadalnej i postanowiłem tam czekać, póki te panie nie zejdą.

Miało to niebawem nastąpić, stół bowiem był nakryty, zastawa gotowa, a samowar szeptał i mruczał, puszczając kłęby pary ku górze. Znów najmniejszy szczegół nie uszedł mojej uwagi. Zauważyłem, że w sali było chłodno i stosunkowo ciemno, bo okna jej wychodziły na północ. Przez jakąś chwilę skupiłem baczność na to, że od trzech okien odbijają się w ciemnej woskowanej podłodze trzy szlaki świetliste; potem zacząłem rozpatrywać, jakby coś nowego, kredens, który znałem od dziecinnych lat; następnie przypomniałem sobie rozmowę, jakąśmy mieli kiedyś w tej sali ze Sniatyńskim, gdyśmy spoglądali przez szyby na jego żonę i Anielkę, idące w berlaczach po śniegu do cieplarni.

Nakoniec chwyciło mnie uczucie pustki i smutku. Siadłem w oknie, by być bliżej światła i czynić nowe spostrzeżenia nad ogrodem. Ale wszystko to nie uwolniło mnie od owego rozdwojenia wewnętrznego, o którym już wspo-

Antoni G. Szwandorowski

mniałem, zupełnie bowiem jednocześnie myślałem, że wkrótce, może za parę minut, zobaczę ją, że muszę ją powitać, przemówić do niej i następnie widywać ją codzień, przez całe miesiące. Pytania: jak to będzie? co to będzie? — cisnęły mi się jedno przez drugie do głowy. Są ludzie, którzy ze strachu popełniają czyny szalonej odwagi, ze mną znów zdarza się często tak, że niepokój, brak postanowień i niewiedomość tego, co ma nastąpić, zmieniają się we mnie w jakiś wybuch wewnętrznego zniecierpliwienia i gniewu. Tak stało się i teraz. Różnica między dawną Anielką a dzisiejszą panią Kromicką ujawniła mi się z taką siłą, jak nigdy przedtem. «Choćbyś księżyc wzięła na głowę — pomyślałem sobie — choćbyś była stokroć piękniejsza, stokroć bardziej urocza, niż sobie mogę wystawić, będziesz dla mnie niczem, a raczej czemś tylko odpychającym». I gniew mój wzmógł się jeszcze, bom wyobraził sobie, nie wiadomo dlaczego, że ona po to tylko teraz przyjdzie i po to będzie mię widywała w przyszłości, by mi dowieść, że się mylę i że właśnie zostanie dla mnie na wieki pożądana i na wieki niedostępna. «Zobaczymy!» — odpowiedziałem jej w duchu, pod wrażeniem, że mnie czeka z tą kobietą ja-

kiś dziwny i nieokreślony pojedynek, jakaś walka, którą zarazem przegram i wygram, bo stracę wspomnienie, ale odzyskam spokój. Zdawało mi się w tej chwili, że mam dość sił i odwagi do odparcia każdego ataku.

Wtem drzwi się otworzyły po cichu i w sali ukazała się Anielka.

Na jej widok poczułem szum w głowie i zimno w końcach palców. Ta postać, którą miałem w tej chwili przed sobą, nosiła wprawdzie nazwisko pani Kromickiej, ale miała słodkie, stokroć ukochane rysy i niewysłowiony urok mojej dawnej Anielki. W tym chaosie, jaki ogarnął mą głowę, jeden głos wołał mocniej od innych: «Anielka! Anielka! Anielka!» A ona nie dostrzegła mnie lub wzięła za kogo innego, gdyż byłem odwrócony od światła. Dopiero gdym się do niej zbliżył, podniosła oczy, stanęła, jak wryta — i nie potrafię nawet opisać tego wyrazu zaleknięcia, zmieszania, wzruszenia i pokory, jaki odbił się na jej twarzy. Zbladła tak bardzo, że się przestraszyłem, czy nie zemdleje. Gdym uścisnął jej rękę, miałem uczucie, że ścisnęłam kawałek lodu. Wszystkiemu się spodziewałem, ale nie takiego powitania. Byłbym przed chwilą przysiągł, że witając się ze mną, da mi

w jakikolwiek sposób uczuć, że jest panią Kromicką. Tymczasem, nic z tego! Stała przedemną wzruszona, zalekniona — moja dawna Anielka. Ja oto uczynilem ją nieszczęśliwą, jam był winien, stokrotnie winien, a ona w tej chwili patrzyła na mnie tak, jakby sama chciała przebaczenia. Uczucie dawnej miłości, skruchy i politowania opanowało mnie z taką siłą, że zupełnie straciłem głowę. Zachowałem tylko tyle przytomności, żem nie pochwycił jej, nie przycisnął do piersi i nie zaczął uspokajać takimi słowami, jakimi się mówi do ukochanego stworzenia. Zresztą miałem ich pełne serce. I ja byłem tak wzburzony, tak zmieszany niespodzianem, nieprzypuszczalnym znalezieniem, nie pani Kromickiej, ale Anielki, że ścisnąłem tylko jej rękę, nie umiając słowa przemówić. A jednak trzeba było — więc zebrawszy resztki myśli, spytałem przytłumionym, jakby cudzym głosem:

— Czy ciotka ci nie mówiła o moim przyjeździe?

— Ciotka... mówiła... — odrzekła z wysileniem Anielka.

I znów umilkliśmy oboje. Czulem, że wypada mówić dalej, spytać jej o zdrowie matki i jej

własne, a niepodobna mi się było na to zdobyć. Pragnąłem z całej duszy, żeby ktokolwiek nadszedł i wybawił nas oboje. Jakoż nadeszła ciotka z młodym doktorem Chwastowskim, młodszym synem rządcy, który bawi od miesiąca przy pani Celinie. Anielka usunęła się zaraz do stołu dla nalewania herbaty, ja zaś począłem się witać i rozmawiać z ciotką. Przez ten czas oprzytomniałem zupełnie i zasiedliśmy do herbaty.

Począłem teraz wypytywać o zdrowie pani Celiny. Ciotka, w odpowiedziach swych, odwoływała się co chwila do młodego doktora, ten zaś zwracał się do mnie z tym pewnym odcieniem lekceważenia, z jakim świeżo patentowany uczoney traktuje laików, a zarazem, z jakim demokrata, czuwający nad swą godnością, nawet wówczas, gdy mu nikt nie chce ubliżyć, odpowiada człowiekowi, którego uważa za arystokratę. Wydał mi się bardzo zarozumiałym i koniec końcem ton mój w rozmowie z nim był grzeczniejszy, niż jego ze mną. Sprawiało mi to pewną rozrywkę i pozwalało przyjść do ostatecznego ładu z memi myślami, które mącił co chwila widok Anielki. Od czasu do czasu spoglądałem na nią przez zastawę stołową i z pewną desperacją powtarzałem sobie w duszy:

«To te same rysy, ta sama drobna twarz, z czołem ocienionem włosami; to ta sama Anielka, prawie dziewczynka! to samo kochanie, to samo szczęście, tylko już nie moje i na zawsze utraczone». Była w tem wrażeniu ogromna słodycz, pomieszana z równie wielkim bólem. Anielka opanowała już mniej więcej wzruszenie, ale była jeszcze jakby zalekniona. Odważyłem się kilkakrotnie zwrócić do niej z zapytaniem o matkę, by nasz stosunek wepchnąć jakoś na gładsze tory i uczynić swobodniejszym. W części mi się to udało. Powiedziała mi nawet: «Mama się ucieszy, jak cię zobaczy». Nie wierzyłem temu, ale jej głosu słuchałem z przymkniętymi oczyma, bo był mi miłszy nad wszelką muzykę. Rozmawialiśmy coraz swobodniej. Ciotka była w wyśmienitym humorze, raz z powodu mego przyjazdu, a powtórę, że była już u Klary, która jej przyrzekła koncert. Wyjeżdżając, ciotka spotkała na schodach dwie inne panie, protektorki innych instytucji dobroczynnych. Przybyły one zapóźno — i to właśnie cieszyło tak ciotkę. Wypytywała mnie o Klarę, która zrobiła na niej jak najlepsze wrażenie. Pod koniec śniadania, zmuszony pytaniami, począłem nieco opowiadać o swoich podróżach. Ciotka dziwiła się,

żem był aż w Islandyi, a wypytawszy mnie, jak tam świat wygląda, rzekła:

— Trzeba być desperatem, żeby tam jechać.

— To też było mi tam wówczas bardzo źle — odpowiedziałem.

Anielka spojrzała w tej chwili na mnie i znów w oczach jej dostrzegłem lęk i pokorę. Gdyby mnie wprost ręką brała za serce, nie zdołałaby niem targnąć mocniej. In bardziej byłem przygotowany na to, że ona przyjmie mnie z jakimś tryumfującym chłodem, z jakimś zadowoleniem z mojej biedy, z jakimś pogardliwym uznaniem swej wyższości, tembardziej wzruszało mnie, a zarazem przybijało do ziemi, to jej anielskie współczucie. Zawiodły mnie wszystkie obliczenia, wszystkie przewidywania. Sądziłem, że choćby nawet pragnęła nie być dla mnie panią Kromicką, to nie potrafi tego dokazać i odepchnie mnie tem i zrazi, a tymczasem ona nie wyglądała nawet na mężatkę. Ja to musiałem sobie teraz przypominać, że jest zameężna, ale w przypomnieniach tych znajdowałem nie odrazę, tylko niewypowiedziane strapienie.

Mam tę naturę, że w każdym zmartwieniu moralnem lubię rozdrapywać własne rany, chciałem więc uczynić to i teraz — i rozpocząć

rozmowę o jej mężu. Ale nie mogłem; miałem poczucie, że to będzie okrucieństwo i profanacja. Wypowiedziałem natomiast chęć powitania pani Celiny. Anielka wyszła, by ją spytać, czy może mnie przyjąć i wróciwszy po chwili, rzekła:

— Mama prosi cię zaraz.

Poszliśmy razem na drugą stronę domu, a ciotka z nami. Czulem potrzebę powiedzenia Anielce jakiegoś dobrego słowa, któreby ją uspokoiło, kępowała mnie tylko obecność ciotki; lecz po chwili pomyślałem, że właśnie lepiej będzie, gdy przy ciotce powiem jej to, co chcę powiedzieć, więc przed drzwiami, wiodącemi do pokoju pani Celiny, zatrzymałem się i rzekłem:

— Daj mi rękę, siostrzyczko kochana...

Anielka wyciągnęła do mnie dłoń. Czulem, że mi jest wdzięczna za ten wyraz: siostrzyczko, że wielki ciężar spada jej z piersi i że tem serdecznem uściśnieniem ręki chce mi powiedzieć:

— O, bądźmy przyjaciółmi, przebaczymy sobie wszystko!

— Spodziewam się, że będziecie w zgodzie — mruknęła, widząc to, ciotka.

— Będziemy, będziemy! On taki dobry! — odpowiedziała Anielka.

I naprawdę miałem w tej chwili serce pełne dobroci. Wszedłszy do pokoju pani Celiny, powitałem ją bardzo serdecznie, na co odpowiedziała mi z pewnym przymusem; widocznem było, że gdyby nie obawa obrażenia ciotki, byłaby odpowiedziała zupełnie chłodno. Lecz nie miałem jej tego za złe; żal jej do mnie był aż nadto usprawiedliwiony. Być może, że w jej umyśle wyrobiło się przekonanie, że i za tę sprzedaż rodzinnych majątków ja jestem także poniekąd odpowiedzialny, bo gdybym umiał być w swoim czasie innym człowiekiem, wszystko to mogło nie nastąpić.

Zastąłem ją zmienioną bardzo. Od niejakiogo czasu nie podnosiła się już z fotelu na kółkach, na którym ją wytaczano w piękne dni do ogrodu. Twarz jej, zawsze delikatna, wydelikatniała tak, że wyglądała, jak ulepiona z wosku. Znać było, że niegdyś musiała być bardzo piękna, a zarazem przez całe życie bardzo nieszczęśliwa.

Począłem ją wypytywać o zdrowie i wyraziłem nadzieję, że ożywczy wpływ wiosny wroci i jej siły. Słuchała, uśmiechając się smutno i ki-

wając głową, наконец w oczach jej ukazały się dwie, duże łzy, którym pozwoliła spłynąć spokojnie po twarzy.

Potem, zwróciwszy się ku mnie, spytała:

— Wiesz, że Gluchów sprzedany?

Widocznie była to myśl, która nie opuszczała jej ani na chwilę, jej wieczne zmartwienie, jej ciągła zgryzota, jej nieszczęście.

Anielka, usłyszawszy pytanie, spłonęła nagle. Był to przykry rumieniec — bo rumieniec żalu i wstydu — ja zaś odpowiedziałem:

— Wiem. Albo się to da odrobić i w takim razie niema nic straconego, albo nie da i wówczas trzeba się zgodzić z wolą Bożą.

Anielka spojrzała na mnie z wdzięcznością, pani Celina zaś rzekła:

— Ja się już nie łudzę.

Lecz nie była to prawda: łudziła się. Oczy jej spoczywały na moich ustach, czekając jakiegoś słowa, któreby utwierdziło w niej ukrywaną nadzieję, chcąc więc być do końca wspa-
niałomyślnym, rzekłem:

— Konieczności każdy musi ustąpić i trudno kogoś za to winić, ale z drugiej strony myślę, kochana ciotko, że niema takich przeszkód na

świecie, którychby wytrwałością i odpowiednimi środkami nie można przewyciężyć.

Tu zacząłem mówić, iż słyszałem o wypadkach, w których sprzedaż została unieważniona z powodu nieformalnego kontraktu. Mówiąc nawiasem, nie była to prawda, ale widziałem, że mówiąc tak, wlewam poprostu balsam do serca pani Celiny. Pośrednio występowałem także w obronie Kromickiego, nie wymieniając jednak jego nazwiska, które zresztą nie było ani razu przy mnie przez nikogo wymienione.

Trzeba jednak powiedzieć prawdę. Wspaniałomyślność tylko w części dyktowała mi moje słowa, głównie zaś mówilem je dlatego, iż czułem, że ujmuję sobie niemi Anielkę i przedstawiam się sam w świetle wielkiej dobroci i szlachetności.

Jakoż Anielka była mi wdzięczna, bo gdyśmy wreszcie odchodzili z ciotką, pobięła za nami i wyciągnawszy do mnie rękę, rzekła:

— Dziękuję ci za mamę.

W odpowiedzi podniosłem w milczeniu jej dłoń do ust.

Ciotka była także wzruszona moją dobrocią. Rozstawszy się z nią, poszedłem z cygarem do ogrodu, by uporządkować moje wrażenia i przyjść

do ładu z memi myślami. Ale w ogrodzie spotkałem młodego doktora Chwastowskiego, odbywającego swą ranną przechadzkę. Ponieważ chciałem sobie zjednać wszystkich w Płoszowie, zbliżyłem się do niego i począłem go wypytować o zdrowie pani Celiny, z tem uznaniem, jakie się ma dla wiedzy i powagi. Widziałem, że mu to pochlebiało bardzo; po chwili pozbył się swej demokratycznej czujności, gotowej za lada słowem najeżyć pióra na głowie i jał rozpowiadać mi o chorobie matki Anielki z pewnem skwapliwem upodobaniem, jakie okazują zwykle młodzi adepci wiedzy, których zwątpienie nie zdołało jeszcze zaczadzić. Mówiąc, używał co chwila łacińskich terminów, jakby rozmawiał z drugim doktorem. Jego tęga, zdrowa figura oraz siła mowy i spojrzenia, zrobiła na mnie korzystne wrażenie, bom widział w nim uosobienie tej nowej, niepodobnej zupełnie do geniuszów bez teki, generacyi, o której dużo mi nagał swego czasu Śniatyński. Chodząc po długich alejach parku, poczęliśmy wreszcie prowadzić jedną z tych, tak zwanych inteligentnych rozmów, polegających przeważnie na cytowaniu nazwisk. Chwastowski to, co wiedział, wiedział zapewne dokładniej odemnie, ale ja czytałem

więcej w życiu, sądzę przeto, żem go niepo-
miernie zadziwił. Chwilami spoglądał na mnie
prawie niechętnie, jak gdyby uważał za wdzie-
ranie się w cudze prawa to, że człowiek, któ-
rego on zaliczał do arystokracji, pozwala sobie
wiedzieć o pewnych książkach lub pewnych
autorach. Natomiast ująłem go swobodą moich
poglądów. Mój liberalizm polega wprawdzie na
tem, że uwzględniam wszystko, bo o wszystkim
wątpię, jednakże już to samo, że człowiek mego
majątku i położenia nie stał na zupełnie wste-
cznem stanowisku, zjednało mi całkowite uzna-
nie młodego radykała. Pod koniec rożnowy by-
liśmy ze sobą, jak ludzie, którzy się porozumie-
wali i zrozumieli.

Sądzę, że z czasem stanę się dla doktora Chwa-
stowskiego wyjątkiem z reguły. Zauważyłem to
już dawno, że w tym kraju, jak każdy szlachcic
ma swego żyda, którego wyłącza z ogólnej nie-
chęci dla żydów, tak każdy demokratą ma swego
arystokratę, do którego czuje wyjątkową sła-
bość.

Na odchodnem wypytywałem doktora Chwa-
stowskiego o braci. Powiedział mi, że jeden z nich
założył browar w Płoszowie, o czem wiedziałem,
bo mi to pisała w swoim czasie ciotka; drugi

ma księgarnię z elementarnemi książkami w Warszawie, trzeciego, który ukończył szkołę handlową, wziął Kromicki, jako swego pomocnika, na Wschód.

— Najlepiej z pomiędzy nas idzie piwowarowi — mówił młody doktor — ale wszyscy pracujemy tego i być może, że się czegoś dorobimy. Szczęście, że ojciec stracił majątek; inaczej byłibyśmy «glebae adscripti», siedzielibyśmy każdy na swojej wiosce i w końcu jeszczebyśmy pobankrutowali tak, jak ojciec.

Mimo, iż umysł mój był nie tylko zajęty, ale wprost pochłonięty czem innem, słuchałem doktora z pewnem zajęciem. Otóż, pomyślałem sobie, ludzie nie przerafinowani, ani też nie pogrążeni w ciemnocie. Pokazuje się jednak, że w tym kraju są tacy, którzy mogą coś robić i którzy tworzą jakieś pośrednie a zdrowe ogniwa pomiędzy przekwitem a barbarzyństwem. Być może, że tego rodzaju warstwa tworzy się dopiero po większych miastach i że zasilają ją codziennie synowie pobankrutowanej szlachty, którzy z konieczności przyswajają sobie mieszczańską tradycję pracy, a przynoszą do niej tęgie mięśnie i nerwy. Mimowoli przypomniałem sobie, jak raz Sniatyński krzyczał za mną

na schodach: «Z was już nic nie będzie, ale z waszych dzieci mogą być jeszcze ludzie. musicie tylko pierwszej pobankrutować, bo inaczej i wasze wnuki nie wezmą się do roboty!» A oto synowie pana Chwastowskiego wzięli się do niej i prą się w świat, za pomocą własnych jedynie ramion. Ja także, gdybym nie miał majątku, musiałbym sobie jakoś dawać rady i może wyrobiłbym w sobie tę energię postanowień, której mi tak brakło w życiu.

Doktor pożegnał mnie niebawem, miał bowiem jeszcze jednego chorego w Płoszowie, którego miał odwiedzić. Chory ów był to młody kleryk z seminarjum warszawskiego, syn jednego z płoszkowskich chłopów. Był on w ostatnim stopniu suchot. Ciotka umieściła go w oficynie pałacu i odwiedzała codziennie, wraz z Anielką. Dowiedziawszy się o tem, udałem się i ja do niego i nad moje spodziewanie, zamiast umierającego człowieka, znalazłem młodzieńczyka o twarzy chudej, ale rumianej, pełnego życia i wesołości. Według doktora, był to jednak ostatni błysk lampy. Młodego księdza pilnowała matka, która odrazu zlała na mnie z powodu ciotki, taki potok błogosławieństw, że mogłem się w nim utopić.

Anielka nie przyszła odwiedzić tego dnia chorego; siedziała cały czas u matki. Widziałem ją dopiero przy obiedzie, na którym obecna była i pani Celina, przytaczają ją bowiem codzień na obiad w jej fotelu. Było to zupełnie naturalne, że Anielka cały czas przedtem spędziła z matką; wyobraziłem sobie jednak, że ona unika spotkania ze mną. Stosunki nasze muszą się jakoś zczasem ułożyć, ale rozumiem, że z początku muszą być kłopotliwe i trudne. Anielka ma tyle inteligencyi serca, tyle wrażliwości i dobroci, że nie potrafi zachować się obojętnie względem tego położenia, w jakim jesteśmy, nie posiada zaś dość owej wprawy towarzyskiej, która we wszystkich, najbardziej powikłanych warunkach, umie zachować pozory swobody. Taka wprawa przychodzi z wiekiem, gdy żywe źródła uczuć poczynają wysychać, a dusza staje się konwencyonalną.

Co do mnie, dałem poznać Anielce, że niema we mnie urazy dla niej, ani nienawiści, bo mi tak podyktowało serce. Zresztą nie będę nigdy mówił z nią o przeszłości i z tego powodu nie szukałem dziś rozmowy sam na sam. Przy herbacie wieczornej mówiliśmy o rzeczach ogólnych, o tem, co słychać u nas i zagranicą. Ciotka wy-

pytywała się jeszcze o Klarę, która zajęła ją mocno, ja opowiadałem, com o niej wiedział i z wolna zgadalo się o artystach w ogóle. Ciotka patrzy na artystów, jako na rodzaj ludzi, który Pan Bóg dlatego stworzył, żeby od czasu do czasu miał kto wyprawić widowisko na biednych. Ja twierdziłem, że artysta, byle miał serce czyste, napelnione nie lichą miłością własną, ale miłością sztuki, może być najszczęśliwszym człowiekiem w świecie, bo styka się ustawicznie z czemś nieskończonem i bezwzględnie doskonałem. Z życia przychodzi wszystko zło, ze sztuki płynie tylko szczęście. Jestto istotne moje zdanie, poparte obserwacją. Anielka była po mojej stronie i jeśli tę rozmowę zapisuję, to dlatego, że uderzyła mnie jedna uwaga, bardzo prosta, ale dla mnie bardzo znacząca. Oto, gdyśmy mówili o zadowoleniu, płynącym ze sztuki, ona powiedziała: «Muzyka, to najlepsza pociecha». Ja widziałem w tem mimowolne wyznaczenie, że nie jest szczęśliwą i że zdaje sobie z tego sprawę. Zresztą nie mam i tak pod tym względem żadnej wątpliwości.

Nawet twarz jej nie jest twarzą kobiety szczęśliwej. Prawie jeszcze wypiękniała, jest niby

spokojna, a nawet pogodna, ale nie jest rozjaśniona światłem wesołości, bijącej od wewnątrz i widać w niej pewne skupienie, którego dawniej nie było. W ciągu dnia spostrzegłem, że jej skronie mają leciuchny żółtawy ton, taki, jaki ma na przykład kość słoniowa. Patrzyłem na nią ciągle, bo mi to sprawiało niewypowiedzianą rozkosz; powiedziałbym: przypominałem ją sobie i z jakimś dziwnym, drażniącym, a zarazem słodkim uczuciem stwierdzałem, że to jest ta sama twarz, te same długie rzęsy, te same oczy, które nie są czarne, a wydają się, jak czarne, te same ocienione usta. Nie mogłem się nasycić tą zamianą wspomnień na realność. Jest w Anielce coś tak dla mnie nieprzeparcie pociągającego, że gdybym jej nigdy przedtem nie widział i gdyby postawiono ją między tysiącem najpiękniejszych kobiet, a mnie kazano wybierać, czuję, że poszedłbym wprost do niej i powiedział: Oto moja wybrana! Są może piękniejsze na świecie, ale takiej, któraby bardziej odpowiadała temu jakiemuś prototypowi kobiety, który każdy mężczyzna nosi w wyobraźni, dla mnie niema. Myślę, iż ona jednak musiała to widzieć, że ją obserwuję i że ją podziwiam.

Wyjechałem o zmroku. Byłem tak dalece

zagłuszony wrażeniami dnia, a moje poprzednie rozumowania i nadzieje były do tego stopnia unicestwione, żem w czasie drogi nie miał i jeszcze nie mam siły do zwykłych moich zagłębiań się w siebie. Spodziewałem się znaleźć panią Kromicką a znalazłem Anielkę. Oto, co jeszcze raz zapisuję. Bóg jeden wie, co z tego może dla nas obojga wypłynąć. Myśląc o tem, mam zarazem wrażenie i wielkiego szczęścia i jakby jakiegoś zawodu. Bo jednak ja teoretycznie miałem słuszność, gdyż po jej zameżczeniu mogłem się spodziewać tych zmian psychicznych, które z konieczności zachodzą w każdej kobiecie — i mogłem się spodziewać, że ta kobieta przynajmniej to da mi do zrozumienia, że rada jest, iż wybrała nie mnie. Niema drugiej na świecie, któraby odmówiła sobie tego zadośćuczynienia miłości własnej... A jak się znam, jak znam moją wrażliwość i moje nerwy, tak gotówbym przysiąc, że w takim razie wracałbym pełen goryczy, ironii, gniewu — ale wyleczony. Tymczasem stało się inaczej, zupełnie inaczej! To jest istota o takiej niezgłębionej dobroci serca i prostocie, że miara, jaką miałem na dobroć ludzką, okazuje się zamałą dla niej miarą. Co teraz nastąpi, co będzie ze mną, nie

chcę na to odpowiadać. Życie moje mogło spłynąć jasną i spokojną rzeką w to morze, do którego spływa wszystko — teraz zaś rzuci się wodospadem w przepaść. Ale niech będzie, jak chce. W najgorszym razie będę ogromnie nieszczęśliwy. Nie spoczywałem na różach i przedtem — z tą nicością w duszy. Nie pamiętam, zdaje się, że to ojciec mój mówił mi, że z życia musi coś wyrosnąć, bo takie jest prawo natury. Jeśli musi, to musi. Prawda, że nawet i na pustyni siły życiowe, ukryte w głębi, wystrzelają w górę palmami na oazach.

21 Kwietnia.

Mieszkam niby w Warszawie, ale cztery dni z rzędu spędziłem w Płoszowie. Pani Celina ma się lepiej, natomiast ksiądz Łatysz umarł onegdaj. Doktor Chwastowski nazywa chorobę jego «wspaniałym przebiegiem gruźlicy płucnej» i z trudnością ukrywa zadowolenie, że koniec tego wspaniałego przebiegu przepowiedział niemal na godzinę. Odwiedzaliśmy nieboszczyka na dwanaście godzin przed śmiercią. Żartował z nami i był pełen otuchy z powodu zmniejszenia się gorączki, która zmniejszała się właśnie skutkiem osłabienia. Wczoraj rano siedzieliśmy

z Anielką na ganku, gdy nadeszła matka biednego księżyka i zaczęła opowiadać o jego śmierci, w ten szczególny chłopski sposób, w którym żal miesza się z zupełnem zgodzeniem się na to, co zaszło. We współczuciu mojem była i ciekawość, bom się z ludem mało dotąd stykał i mało na niego zwracałem uwagi. Jakim ci ludzie mówią dziwnym językiem! Staralem się zapamiętać jej słowa, by je sobie zapisać. Stara chłopka, na powitanie, podjęła w milczeniu pod nogi mnie i Anielkę, następnie zaś, przykrywszy oczy wierzchem dłoni, poczęła zawodzić:

— O Jezusińku mój serdeczny, o Maryjo Przynajświętsza! Pomer ci mój nieboraczek, pomer! Wolał ci do Pana Boga iść, niż z matką i ojcem ostawać. Na nie mu się dworski staruńek nie przydał. Wina mu ta dawali po próżnicy, bo mu ta i wino nie pomogło. O Jezusińku Przynajświętszy, o Jezu! o Jezu!

W głosie jej był niezawodnie szczery żal macierzyński, ale co mnie uderzyło, to zachowanie w jękach i narzekaniu czegoś w rodzaju nuty obyczajowej. Nie słyszałem dotąd chłopiek lamentujących po śmierci bliskich, a byłbym przy-

siągł, że wszystkie muszą podobnie lamentować, jakby na to istniał jakiś wiejski przepis.

Anielka miała lzy na rzęsach i z tą nieopisaną dobrocią, jaką posiadają tylko kobiety, poczęła wypytywać o okoliczności śmierci, odgadując, że opowiadanie przyniesie kobiecie ulgę. Jakoż staruszka poczęła opowiadać niemal z chciwością:

— Kiej dobrodziej z Panem Jezusem od niego odszedł, ja mu powiadam tak: czy ta umrzesz, czy nie umrzesz, wola Boska! Przyrządziłeś się na śmierć pięknie, a teraz śpij. On powiada: dobrze! — i zdrzemnął, a ja też, bo, niech to nie będzie Panu Bogu wymowno, alem się też bez trzy noce nabiedowała. Dopiero o pierwszych kurach przyszedł mój stary, zbudził mnie i siedzieliśmy oboje — a on śpi i śpi. Mówię staremu: ej, czy nie pomer? A stary mówi: może i pomer! Pociągnął go, on się też obudził i mówi: lepiej mi. Poleżał z pięć pacierzy spokojnie i wzion się uśmiechać do pulapu. Jakem to zobaczyła, tak złość mnie chyciła i mówię: a ty, kałstanie, to ty się mojej biedzie uśmiechasz? A on się śmierci uśmiechał nie mojej biedzie, bo zaraz potem poczęło dychać niebożatko i tyle go było do wschodu słońka.

Tu znowu poczęła jęczeć — następnie wezwwała nas, byśmy poszli zobaczyć nieboszczyka, bo już go oblekła i «taki piękny, jak malowanie». Anielka była gotowa pójść z nią, alem ją powstrzymał; zresztą babina, zapomniawszy po chwili o swem żądaniu, przeszła do opowiadań o swojej biedzie. Mąż jej był kiedyś zamożnym gospodarzem, ale całą chudobę stracili na to, by syna wychować. Sąsiedni gospodarze kupowali morgę za morgą, i dziś została im tylko chałupa, a gruntu nic. Tysiąc dwieście rubli wydali. Myśleli, że się na starość przy synu przytulą, a tymczasem Pan Bóg go zabrał. Staruszka z całą chłopską rezygnacją oświadczyła nam, iż już się ułożyli z mężem, że zaraz po pogrzebie pójdą «na dziady». Nie zdawało się to ją wcale przestraszać, mówiła nawet o tem, jakby z pewną utajoną satysfakcją, bała się tylko, czy w gminie nie będzie mitęgi ze świadectwem, które nie wiem do czego jej było potrzebne. W opowiadaniu jej tysiączne szczegóły realne mieszały się z wezwaniami do Pana Jezusa i do Matki Boskiej, ze łzami i żalem.

Anielka wbiegła do domu i po chwili wróciła z pieniędzmi, które chciała wręczyć starej kobiecie, lecz mnie przyszła inna myśl, którą

na razie uznałem za dobrą. Zatrzymałem rękę Anielki i zwróciwszy się do babiny, spytałem:

— Toście wydali tysiąc dwieście rubli na wychowanie syna?

— Juści, proszę jaśnie pana. Myśleliśwa, jak ostanie proboszczem, przytulić się przy nim na probostwie, ale Bóg Najwyższy pokierował nas nie na probostwo, ino pod kościół.

— To ja wam podaruję tysiąc dwieście rubli. Zagospodarujcie się na nowo i żyjcie spokojnie w chałupie.

Byłbym to zaraz uczynił, ale nie miałem ze sobą pieniędzy; umyśliłem jednak wziąć potrzebną kwotę z kasy ciotki i kazałem babuli przyjść za godzinę. Była tak zdumioną, iż przez jakiś czas patrzyła na mnie wytrzeszczonemi oczyma, nie mówiąc ani słowa, następnie padła mi do nóg prawie z krzykiem. Potrafilem się jej jednak pozbyć dość prędko, głównie dlatego, że pilno jej było lecieć do męża i powiedzieć mu dobrą nowinę. Zostaliśmy sami z Anielką, która również była wzruszona i na razie nie umiała znaleźć potrzebnych jej słów, dopiero po chwili poczęła powtarzać:

— Jakiś ty dobry! jakiś ty dobry!

Lecz ja wzruszyłem ramionami i odpowie-

działem Anielce takim tonem, jakbym mówił zarówno o rzeczy obojętnej, jak naturalnej:

— Ja, moja Anielko, bynajmniej nie uczyniłem tego przez dobroć, ani dla tych ludzi, których pierwszy raz widzę. Zrobiłem to jedynie dlatego, że ty się nimi zajmujesz, i w tej myśli, że to tobie sprawi przyjemność. Inaczej zbyłbym ich pierwszym lepszym datkiem.

Tak mówiąc, powiedziałem szczerą prawdę. Ludzie ci tyle mnie obchodzili, ile każdy inny biedak; natomiast z równą łatwością dałbym dwa i trzy razy tyle dla zrobienia przyjemności Anielce. Powiedziałem to przytem umyślnie, bom doskonale rozumiał, że podobne słowa, mówione do kobiety, są niezmiernie doniosłe, nie mając bowiem formy wyznania, równają się niemal wyznaniu. Znaczy to to samo, co powiedzieć jej: dla ciebie uczyniłbym wszystko, boś ty mi wszystkim. I co więcej, żadna na świecie kobieta nie może się obronić podobnym wyznaniem i nie ma prawa za nie się obrażać. A ja chciałem jeszcze i dlatego wyrazić to Anielce, żem to czuł. Złagodziłem tylko ukryte znaczenie moich słów w ten sposób, żem mówił takim tonem, jakby o rzeczy najzwyczajniejszej, która się sama przez się rozumie. Anielka jednak pojęła

ich doniosłość, bo spuściła oczy i nie wiedziała, co mi odpowiedzieć. Z widocznem zmieszaniem rzekła wreszcie, że musi iść do matki i zostawiła mnie samego.

Ja mam najzupełniejszą świadomość, że postępując w taki sposób, wprowadzam do duszy Anielki myśli obce jej i niepokojące. Ale ze zdziwieniem widzę, że jakkolwiek z jednej strony wzburza to moje sumienie i budzi dręczącą obawę o spokój istoty, za którą oddałbym życie, z drugiej jednak sprawia mi jakąś drapieżną radość, jak gdybym zaspakajał wrodzony człowiekowi instynkt niszczenia. Mam także przekonanie, że nie mi tu żadna świadomość zła, ni żadne skrupuły nie pomogą. Mam zbyt silny charakter, bym się umiał i mógł na tej drodze zahamować, zwłaszcza w obec tego nieprzepar-tego, niewypowiedzianego uroku, jaki wywiera na mnie ta kobieta. Teraz dopiero jestem naprawdę, jak ów Indyanin, który porwany przez prąd wodospadu, złożył wiosła i zdał się na wolę prądu. Nie rozmyślałam nawet o moich winach i o tem, że wszystko mogło być inaczej, że mi trzeba było wyciągnąć tylko rękę po tę istotę, o której teraz mówię sobie: dla kogo warto żyć, jeśli nie dla niej? kogo warto ko-

chać, jeśli nie ja? Wpadam w determinizm i często zdaje mi się, że nie mogło być inaczej, że na tę nieudolność moją życiową składały się całe pokolenia, które już wyczerpały oddawna zasób życia — że ja taki byłem i taki jestem, jak musiałem i muszę być — i że nie pozostaje mi nic innego, jak złożyć wiosła.

Dziś zrana byliśmy z ciotką i Anielką na pogrzebie młodego kleryka. Pogoda dopisuje nam ciągle; pogrzeb odbył się zrana i nie utrudził tych pań, bo do kościoła i na cmentarz mamy niedaleko. Dziwny to widok takiego korowodu wiejskiego, poczynającego się od księdza i trumny na wozie, a kończącego zbitym tłumem chłopów i wieśniaczek. Wszystko to śpiewa pieśni niesłychanie posępne, przypominające jakąś chaldejską muzykę. W końcu orszaku mężczyźni i kobiety rozmawiają sennym, wlokącym się głosem, poczynając zawsze swe uwagi od: «O, moiście wy!» Wyraz ten słyszałem co chwila. Równie dziwne wrażenie robi podczas takiego obrzędu, jak pogrzeb, jaskrawość chustek na głowach dziewcząt. Szliśmy aleją jarzębową do kościoła i gdy pochód zasuwał się w przerwach między drzewami w słońce, chustki owe rozpały się w blasku żółto, czerwono, błękitnie, co

dawało całemu temu orszakowi pozór wesołości, tak, że gdyby nie ksiądz, nie wóz z trumną i nie zapach jałowcu, możnaby mniemać, że to wesele idzie. Zauważyłem także, z jakim zadowoleniem ludzie na wsi idą za pogrzebem. W ogóle śmierć nie robi na nich żadnego wrażenia; może widzą w niej wieczyste świętowanie? Gdyśmy stanęli nad dołem, dostrzegłem w twarzach tylko skupioną uwagę nad ceremonią i ciekawość; żadnego śladu, żadnego cienia refleksyi, że jestto jednak nieublagane zakończenie, po którym zaczyna się coś strasznego i nieznanego. Patrzyłem na Anielkę w chwili, gdy schyliła się po garść piasku na trumnę. Była nieco blada, że zaś słońce padalo właśnie na jej twarz, można było czytać w tych przeźroczystych rysach, jak w książce. Byłbym przysięgł, że myślała w tej chwili o własnej śmierci. Mnie wydało się poprostu niepodobieństwem, jakąś dziką i potworną myślą, żeby ta twarz, taka czująca, taka pełna bujnej młodości, widnej w tym puszku nad ustami, w tych długich rzęsach, w tym swoim uroczym indywidualizmie, mogła kiedykolwiek zbieleć, skamienieć, pozostać w wiecznej ciemności.

A jednak było mi tak, jakby jakiś mróz

zwarzył moje myśli. Oto przyszło mi do głowy, że pierwszy obrzęd, w jakim uczestniczymy w Płoszowie z Anielką, jestto pogrzeb. Równie jak śmiertelnie chory człowiek, który stracił wiarę w naukową medycynę, gotów jest uwierzyć w leki znachorów; tak śmiertelnie chora, o wszystkim wątpiąca dusza, gotowa jest uwierzyć nawet w przesady. Prawdopodobnie nikt nie stoi bliżej od otchłani mistycyzmu, jak bezwzględny sceptyk. Ci, którzy zwątpili o ideałach religijnych i socyologicznych, ci, którzy stracili zaufanie w potęgę wiedzy i ludzkiego rozumu, cała masa ludzi, właśnie najbardziej rozwiniętych, niepewna dróg, pozbawiona wszelkich dogmatów, szamocząca się, beznadziejna, zasuwa się obecnie coraz głębiej w mgły mistycyzmu. Występuje on wszędy, ze zwykłą siłą reakcyi przeciw dzisiejszemu życiu, polegającemu na pozytywnem ograniczeniu myśli ludzkiej, na potłumieniu ideałów, na użyciu, na bezdusznem bankierstwie. Duch ludzki poczyną rozsadzać budynek, w którym kazano mu mieszkać, dlatego, że budynek ów jest zbyt pod każdym względem gieldą. Kończy się jakaś epoka, nadchodzi jakaś ewolucya na wszystkich polach. Przychodziło mi to nieraz do głowy i napelniało

mnie zdumieniem, że naprzykład najnowsi więksi powieściopisarze sami nawet nie wiedzą, jak niewiele brak im do tego, by się stali mistykami. Niektórzy mają już świadomość, że nimi są i głośno to wyznają. W każdej książce, którą w ostatnich czasach otwierałem, widziałem nie dusze ludzkie, nie wolę i namiętności osobiste, ale ogólne siły fatalne, mające cechy strasznych istot, niezależne od pojedynczych zjawisk, żyjące same w sobie, jak Goethowskie macierze.

Co do mnie, jestem zapewne także na granicy. Widzę to i nie lękam się. Otchłań pociąga; mnie osobiście pociąga nawet tak dalece, że gdybym już dziś mógł, zeszedłbym na samo dno — i zejść, jak tylko będę mógł.

28 Kwietnia.

Upajam się tem życiem w Płoszowie, codziennym widokiem Anielki i zapominam, że ona należy do kogo innego. Ten Kromicki, który siedzi tam, w Baku, czy też jeszcze gdzieś dalej, wydaje mi się jakąś istotą nierzeczywistą, pozbawioną realnego bytu, jakimś złem, które kiedyś ma nadejść, tak jak naprzykład nadejdzie śmierć, o której się przecie ciągle nie myśli. Ale wczoraj spotkało mnie coś w rodzaju

memento. Drobną to napozór i najzwyczajniejszą rzecz! Anielka odebrała rano, przy herbacie, aż dwa listy. Ciotka spytała jej, czy od męża, ona zaś odpowiedziała: «tak!» Usłyszawszy to, doznałem takiego wrażenia, jakiego doznawać musi człowiek skazany, który w wigilię egzekucyi miał słodki sen, ale którego zbudzono oświadczeniem, że czas strzydz włosy i iść pod nóż gilotyny. Ujrzałem naraz, z niebywałą dotąd wyrazistością moje nieszczęście. Cały dzień zostało mi to złowrogie poczucie, tembardziej, że ciotka, jakby się uwzięła, żeby mnie męczyć. Anielka chciała odłożyć czytanie listów na wolną chwilę po herbacie, tymczasem ciotka kazała jej czytać je zaraz, następnie zaś poczęła wypytywać, jak się ma Kromicki?

— Dziękuję cioci, dobrze! — odpowiedziała Anielka.

— A jak mu tam idzie?

— Chwała Bogu! Píše, że nadspodziewanie.

— Kiedy wróci?

— Mówi, że jak tylko będzie mógł.

I ja, ze swą wrażliwością, musiałem wysłuchać tych pytań i tych odpowiedzi. Gdyby ciotka z Anielką zaczęły jaką nieprawdopodobną, cyniczną rozmowę, nie więcej poszarpałaby mi

ona nerwy. Po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Płoszowa poczułem niechęć i głęboką urazę do Anielki. «Miejże przynajmniej trochę instynktu litosnego i nie gadaj przy mnie o tym człowieku — nie dziękuj w odpowiedzi na pytanie o jego zdrowiu i nie mów: «Chwała Bogu!» — pomyślałem sobie w duszy. Tymczasem ona otworzyła drugi list; spojrzawszy na datę, powiedziała: «To dawniejszy» — i zabrała się do czytania. Spoglądałem na pochyloną jej głowę, na rozbiór włosów, na czoło i spuszczone powieki — i wydawało mi się, że to czytanie trwa nieznośnie długo. Zarazem zrozumiałem, że tych ludzi, to jest ją i Kromickiego, łączy cały świat wspólnych interesów i celów, że oni są związani nierozzerwalnymi węzłami, że z koniecznych powodów oni muszą się poczuwać do związku ze sobą i do wzajemnej przynależności. Pojąłem, że ja stoję i będę stał siłą rzeczy na zewnątrz, nawet choćbym pozyskał jej wzajemność. Dotąd, od pierwszego widzenia Anielki, czułem tylko głębię mojej nędzy tak, jak się czuje głębię przepaści, którą przesłania tuman. Teraz mgły się rozdarły i ujrzałem bezden w całej rozciągłości.

Mam to jednak do siebie, że pod nadmier-

nym uciskiem poczynam się odprężyć. Miłość moja nie śmiała dotychczas chcieć czegokolwiek, ale w tej chwili zawiść poczęła rozpaczliwie pożądać zniszczenia i podeptania tych wszystkich nieubłaganych praw, tych węzłów i tych przynależności. Anielka czytała zaledwie parę minut; przez ten czas przeszedłem przez całą skalę udręczeń, tembardziej, że jak zwykle, gnębiły mnie i inne myśli, będące analizą i krytyką zasadniczego bólu. Oto mówiłem sobie, że to wzburzenie i ta gorycz, którą odczuwam, mają jednak śmieszne niemal cechy jakichś kobiecych dąsów — dalej myślałem, że z takimi nerwami niepodobna żyć, a nakoniec stawiałem sobie pytanie: jeśli taka przeprosta rzecz, jak to, że mąż pisze do żony, a ona czyta jego listy, przyprawia cię o zupełną utratę równowagi, co będzie, gdy on tu przyjedzie i gdy co chwila będziesz widział i stwierdzał wzajemną ich przynależność?

Odpowiadałem w duchu: zabiję go! — i jednocześnie czułem całą śmieszność i głupotę tej odpowiedzi.

Łatwo zrozumieć, że podobne pytania nie uspakajały mnie. Anielka, skończywszy czytać, spostrzegła zaraz, że jestem w jakimś niezwy-

Anthony G. Lewandowski

kłym stanie i poczęła mi rzucać niespokojne spojrzenia. Jestto jedno z tych słodkich usposobień, które potrzebuje koniecznie koło siebie atmosfery przyjaznej, inaczej i źle mu i straszno. Płynie to z niezmiernej delikatności serca. Pamiętam, że za czasów, gdy stary Chwastowski nie jadał u syna piwowara, ale w pałacu i ciotka klóciła z się nim co obiad, Anielka, zanim przekonała się o błahości tych klótni, bała się ich i nie mogła ich znosić. Teraz widocznie zaniepokoiło ją moje wzburzenie, chociaż nie umiała się domyślić jego powodów. Kilkakrotnie zagadnęła mnie niby o koncert Klary, a jednocześnie wzrok jej pytał: Co tobie jest?

Lecz ja odpowiadałem zinnem spojrzeniem, nie mogąc jej wybaczyć ani tych listów, ani rozmowy z ciotką. Zaraz po herbacie wstałem i oświadczyłem, że muszę jechać do Warszawy.

Ciotka chciała, żebym został na obiad, po którym mieliśmy, wedle pierwotnego układu, jechać razem na koncert. Lecz ja odpowiedziałem, że mam kilka spraw do załatwienia w Warszawie, a i naprawdę pragnąłem zostać sam. Dalem rozkaz, by zaprzęgano, tymczasem ciotka rzekła:

— Chciałabym się wywdzięczyć jakoś Hil-

stównie i namyślam się, czy jej nie zaprosić na jeden dzień do Płoszowa?

Widocznie ciotka uważała zaproszenie do Płoszowa za tak wielką nagrodę, że wahała się, czy to jednak nie będzie dla Klary zbyt wiele.

Po chwili ozwała się znowu:

— Gdybym była pewna, że to jest osoba zupełnie dobrego towarzystwa...

— Hilstówna jest przyjaciółką królowej rumuńskiej — odrzekłem z niecierpliwością — i co rok spędza u niej po kilka tygodni. Jeśli dla kogo będzie zaszczyt, to dla nas.

— No, no! — mruknęła ciotka.

Na samem odjeździe zwróciłem się do Anielki:

— A ty, wybierasz się z ciotką na koncert?

— Muszę być przy mamie, a przytem muszę pisać listy.

— Jeśli chodzi o uczucia stęsknionej małżonki, to nie przeszkadzam.

Na razie ironia tych słów przyniosła mi ulgę. Niech wie, że jestem zazdrosny, pomyślałem; ona tak, jak ciotka i jej matka, należy także do kobiet «anielskiego gatunku», nie dopuszczających istnienia złego. Niechże zrozu-

mie, że ją kocham, niech ta myśl wstąpi w nią, niech się oswaja z tem pojęciem, niech się pocznie niem niepokoić, niech z niem walczy. Wprowadzić do jej duszy taki obcy, rozkładający pierwiastek, taki ferment — to już jest pewne zwycięstwo. Obaczymy, co dalej będzie.

Była to dla mnie ulga chwilowa, ale duża, podobna do złej radości. Zaraz jednak w powozie ogarnął mnie gniew na samego siebie i niesmak. Niesmak ów pochodził stąd, iż czułem, że to wszystko, com powiedział i pomyślał, jest swoją drogą małostkowe, oparte na przerafinowanych i grymaśnych nerwach, godne histerycznej kobiety, nie mężczyzny. Miałem ciężką drogę do Warszawy, cięższą, niż wówczas, gdy po ostatnim powrocie z zagranicy jechał po raz pierwszy do Płoszowa. Zastanawiałem się nad tem, że owa straszna nieudolność życiowa, która ciąży, jak fatum, nad podobnymi do mnie ludźmi w ogóle, a nademną w szczególności, pochodzi stąd, że pierwiastek kobiecy przeważa w naszych charakterach nad męskim. Nie chcę powiedzieć, byśmy byli zniewieściałymi fizycznie, tchórzami, ludźmi bez energii na razie. Nie! to wcale co innego; przedsiębiorczości i odwagi mamy, jeśli nie więcej, to przynajmniej tyle, co

i wszyscy; każdy z nas gotów jest wsiąść na nieokielzanego konia i jechać, gdzie potrzeba. Ale pod względem psychicznym o każdym można powiedzieć: *ona*, nie *on*. Brak w naszym ustroju duchowym jakiejś spokojnej, syntetycznej równowagi, pomijającej drobiazgi. Lada co nas razi, zniechęca i zraża, skutkiem czego co krok poświęcamy rzeczy niezmiernie wielkie dla niezmiernie małych. Moja przeszłość jest tego dowodem. Przecie ja poświęciłem niewypowiedziane szczęście całego życia, swoją przyszłość i przyszłość ukochanej kobiety, dlatego tylko, żem w swoim czasie wyczytał w liście ciotki, jakoby Kromicki miał zamiar starać się o rękę Anielki. Nerwy moje wzięły na kiel i poniosły mnie tam, gdzie nie chciałem. Nie było to nic innego, jak objaw choroby woli. Ale w ten sposób chorują *one*, nie *oni*. Cóż dziwnego, że i teraz postępuje, jak histeryczka! Jestto nieszczęście, które ze sobą na świat przyniosłem, a na które składały się całe pokolenia, z dodatkiem wszystkich warunków życia, jakim musimy żyć.

To zdjęcie ze siebie odpowiedzialności nie przyniosło mi jednak żadnej pociechy. Przyjechawszy do Warszawy, miałem napróżd zamiar odwiedzić Klarę, ale napadł mnie gwałtowny

ból głowy, który przeszedł dopiero wieczorem, przed samem przybyciem ciotki.

Ciotka zastała mnie już ubranego i wkrótce pojechaliśmy na koncert, który udał się świetnie. Sława Klary ściągnęła świat inteligentny i muzyczny, cel zaś dobroczynny sprowadził całe wyższe towarzystwo. Widziałem mnóstwo znajomych, między innymi Sniatyńskich. Sala była nabita. Ale byłem tak źle usposobiony i nerwy moje były w takim rozstroju, że wszystko mnie gniewało. Nie wiem sam dlaczego ogarnęła mnie obawa, że Klara zrobi fiasco. W chwili, gdy weszła na estradę, zdarzyło się, że ciągnęła za sobą po podłodze afisz, który uczepił się do garniowania jej sukni. Wydało mi się, że to ją ośmiesza. Sama ona, przybrana w balową toaletę, odłączona od czarnego tłumu pustą przestrzenią estrady, czyniła mi wrażenie raczej obcej artystki, niż bliskiej znajomej i przyjaciółki. Mimowoli pytałem siebie, czy to jest ta sama Klara, z którą łączyła mnie serdeczna niemal zażyłość? Tymczasem powitalne oklaski umilkły. Na twarzach pojawiło się owo niby rozumne skupienie i powaga, za pomocą których ludzie, nie mający żadnego pojęcia o sztuce, udają znawców i sędziów. Klara siadła do for-

tepianu i chociaż byłem zły na nią, równie jak na cały świat, musiałem jednak przyznać w duchu, że ma głowę szlachetną, lekko osadzoną i układ artystyczny, pełen prostoty i wolny od przesady. Poczęła grać koncert Mendelsohna, który umiem na pamięć — i czy to dlatego, że czuła, iż oczekują od niej niezmiernie wiele, czy że była wzruszona niezwykle serdecznem przyjęciem, dość, że zaczęła grać gorzej, niżem się spodziewał. Uczyniło mi to wielką przykrość; spojrzałem na Klarę ze zdziwieniem i oczy nasze spotkały się na jedną chwilę. Wyraz mej twarzy zmieszał ją do reszty i znów usłyszałem kilka uderzeń mętnych, bez należytej siły i wyrazistości. Byłem już pewny fiasca. Nigdy fortepian ze swymi tonami, w których brak ciągłości zwiększa się jeszcze przez odległość i przygłuszoną tłokiem akustykę sali, nie wydał mi się nędzniejszym koncertowym instrumentem. Chwilami miałem wrażenie, że słyszę urywane dźwięki harfy. Po jakimś czasie Klara odzyskała równowagę, ale podług mnie, cały koncert grała miednio. Ogarnęło też mnie prawdziwe zdziwienie, gdy po zakończeniu rozległy się takie oklaski, jakich nie słyszałem nigdy w Paryżu, gdzie Klarę przyjmowano z wyjątkowym zapalem.

Muzycy powstali z miejsc i poczęli rozprawiać żywo ze sprawozdawcami; w rozjaśnionych ich twarzach czytałem wyraźne zadowolenie. Oklaski trwały tak długo, póki Klara nie ukazała się na estradzie. Wyszła ze spuszczonemi oczyma, a ja który umiałem czytać w jej twarzy, czytałem wyraźnie: «Jesteście dobrzy, dziękuję wam, ale było źle i chce mi się płakać!» Bilem także brawo, za co otrzymałem przelotne, pełne wyrzutów spojrzenie. Klara nadto kocha sztukę, by ją mogły zadowolnić niezasłużone oklaski. Uczulem dla niej litość; chciałem pójść za nią i powiedzieć parę słów otuchy, ale nieustające brawa nie puściły jej z estrady. Zasiadła znowu i zagrała Sonatę cis-mol Beethowena, której nie było w programie.

Niema, podług mnie na świecie utworu, w którymby tak wyraźnie było widać duszę, targaną przez jakiś tragiczny niepokój. Mówię zwłaszcza o trzeciej części sonaty: «presto agitato». Nastrój ów odpowiadał widocznie chwilo-wemu rozdrażnieniu Klary, a z pewnością był zgodny z mojem usposobieniem, to też, jak żyję, nie słyszałem tak granego Beethovena i nie odczułem go tak dokładnie. Jam nie muzyk, ale przypuszczam, że i muzycy nie wiedzieli dotąd,

ile się w tej Sonacie mieści. Nie umiem znaleźć innego wyrazu na określenie wrażenia, jakiego doznali wszyscy, jak: ucisk! Miało się poczucie, że staje się coś mistycznego, widzenie jakiejś zaświatowej pustki, przeraźliwie smutnej, bez kształtów, wpół rozwidnionej przez światło księżyca — wśród której krzyczy, łka i wyrывa sobie włosy beznadziejna rozpacz. Było to i straszne i przejmujące, bo działo się jakby już z drugiej strony życia, a zarazem nieprzeparcie pociągające, gdyż, co do mnie przynajmniej, nigdy muzyka nie zetknęła mnie tak blisko z czemś absolutnem. Nie będąc więcej od innych ludzi wrażliwym, miałem niemal halucynację. Wydało mi się, że w tej pustce, w tym bezkształcie, w tym zagrobowym mroku, szukam kogoś droższego mi, niż świat cały, bez którego żyć nie umiem, nie mogę, nie będę, a szukam z tem przekonaniem, że muszę to czynić przez wieczność całą i że nigdy go nie odnajdę. Miałem serce tak ściśnięte, że mi tamowało oddech — nie zwróciłem najmniejszej uwagi na stronę zewnętrzną wykonania, które zresztą musiało dojść do tych wyżyn, na których niema już o niem kwestyi. Cała sala była pod podobnem wrażeniem, nie wyjmując samej Klary.

Gdy skończyła grać, pozostała czas jakiś z głową i oczyma podniesionemi w górę, z twarzą pobladłą i rozchyłonemi ustami. I nie był to efekt estradowy, było to proste, wyższe tym razem nad wszelką wątpliwość, natchnienie i zapamiętanie. W sali trwała głucha cisza, jakby ludzie oczekiwali jeszcze czegoś, jakby zdrętwieli ze smutku, lub łowili ostatnie echa tej łąkającej rozpacz, którą porwał zaświatowy wichler. Później stało się coś takiego, co prawdopodobnie nie zdarzyło się nigdy na żadnym koncercie. W sali podniesiono taki okrzyk, jakby zgromadzonym zagroziła katastrofa. Kilku sprawozdawców i muzyków zbliżyło się do estrady. Widziałem głowy, pochylające się do rąk Klary. Ona miała łzy na rzesach, ale twarz natchnioną, jasną i spokojną. Poszedłem wraz z innymi uściśnąć jej rękę.

Od pierwszej chwili naszej znajomości, aż do tego czasu, Klara mówiła do mnie zawsze po francusku, dziś dopiero po raz pierwszy, oddając mi gorąco uścisk dłoni, spytała po niemiecku:

— Haben Sie mich verstanden?

— Ja — odpowiedziałem — und ich war sehr unglücklich.

Było tak rzeczywiście. Dalszy ciąg koncertu stał się dla Klary jednym wielkim tryumfem. Po skończeniu Śniatyńscy zabrali ją do siebie na wieczór. Ja nie chciałem jechać. Wróciwszy do domu, czułem się tak zmęczony, że w ubraniu rzucił się na sofę i przeleżałem z godzinę, nie śpiąc. Dopiero na chwilę przed rozpoczęciem pisania spostrzegłem się, że rozmyślam ciągle o pogrzebie księdza, o Anielce i o śmierci. Następnie kazałem podać światło i zabrałem się do pióra.

28 Kwietnia.

Listy Kromickiego pogłębiły mnie do tego stopnia, że to wrażenie trwa dotąd. Nieuzasadniony żal mój do Anielki mija wprawdzie; im bardziej czuję, że niezasłużenie byłem dla niej tak szorstki, tem większa ogarnia mnie skrucha i z tem większą tkliwością myślę o niej. Ale za to coraz jaśniej widzę, jak nieubłagane łączy tych ludzi sama siła faktów. Od wczoraj jestem w szponach tej myśli i dlatego nie pojechałem dziś do Płoszowa. Tam trzeba mi czuć nad sobą, trzeba być spokojnym lub udawać spokój; w tej chwili nie wymóglbym tego na sobie. Wszystko, co jest we mnie: myśli,

Anthony r. 100 Bandowski

uczucia, wrażenia, zmieniły się w jeden bunt przeciw temu co się stało. Nie wiem, czy może istnieć stan bardziej rozpaczliwy, jak nie zgadzać się na coś, protestować kawałkiem mózgu i serca, a jednocześnie czuć się wobec spełnionego faktu bezsilnym. Rozumiem także, że to jest zaledwie przedsmak tego, co mnie czeka. Nie do zrobienia, jedno nie! Poszła za męża, jest panią Kromicką, należy do niego i będzie należała na zawsze — ja zaś, który nie mogę na to przystać, bo przystawszy, nie mógłbym istnieć — muszę przystać. Z równym skutkiem mógłbym protestować przeciw sile przyciągania ziemi, jak przeciw takiemu porządkowi rzeczy, na mocy którego kobieta, która raz za męża poszła, należy do męża. Więc co? Zgodzić się z tym porządkiem? Co mi pomoże puste, czerne, bezmyślne słowo: zgadzam się, skoro w mojej istocie niema ani atomu zgody? Chwilami przychodzi mi do głowy, żeby wyjechać, ale czuję doskonale, że po za tą jedyną kobietą, świat ma dla mnie tyle znaczenia, ile śmierć, to jest tyle, ile nicość — i co więcej, wiem z góry, że nie wyjadę, bo nie znajdę na to dość siły. Nieraz miałem jakby rozumienie, że nędza ludzka może być większą od ludzkiego wyobrażenia

Anthony r. 100 Bandowski

o niej i że może być taki stan, w którym myśli o nędzy kończą się, a ona, jakby morze, idzie jeszcze i jeszcze dalej. W tej chwili wydaje mi się, że żegluję po tem morzu.

A jednak nie. Jest coś, co mi zostaje. Czytałem kiedyś w pamiętniku Amiela, że czyn, to tylko zgęszczona aż do stanu materyi myśl. Ale myśl może pozostać w stanie oderwanym — uczucie, nie. Teoretycznie byłem tego świadom i przedtem — dopiero teraz jednak sprawdziłem ten pewnik na sobie samym. Od czasu mego powrotu do Płoszowa, aż do tej chwili nie powiedziałem sobie jasno i wyraźnie, że pragnę wzajemności Anielki, ale była to kwestya słów. W rzeczywistości wiedziałem o tem, że jej chcę i chciałem. Każde moje spojrzenie, każde słowo, wszystkie postęпки, zdążały tylko do tego celu. Uczucie, które nie jest jednoznacznem z żądaniem i czynem — jest niczem. Niechże więc te słowa zostaną wymówione: chcę! Chcę dla Anielki stać się najbardziej upragnioną i najbardziej ukochaną istotą, jak ona jest dla mnie; chcę posiadać jej wzajemność, jej wszystkie myśli, jej duszę — i nie myślę stawiać granicy dla moich pragnień; uczynię wszystko, co mi nakaze serce i użyję wszystkich środków, jakie

mój rozum uzna za najskuteczniejsze, aby jej wzajemność zdobyć. Zabiorę Kromickiemu tyle z Anielki, ile będę tylko mógł — a odbiorę ją całkowicie, jeśli tylko ona na to się zgodzi. W ten sposób będę miał cel w życiu, będę wiedział, dlaczego budzę się rano, dlaczego przyjmuję pokarm we dnie, dlaczego krzepię się snem. Nie będę zupełnie szczęśliwy, bo na to trzebaby mi nietylko zabrać ją całkowicie dla siebie, ale pomścić się na tamtym za to, że ją posiadał — będę jednak miał czem żyć. W tem mój ratunek. I nie jestto postanowienie powzięte w tej chwili, to tylko słowne stwierdzenie tych wszystkich sił, które poruszają się we mnie, tej woli i tych pragnień, które leżą w naturze uczucia i stanowią nierozdzieloną część jego istoty.

Rozpędzam na cztery wiatry wszelkie skrupuły. Obawa, że Anielka będzie nieszczęśliwa, gdy mnie pokocha, musi ustąpić przed tą wielką jak cały świat prawdą, że sama obecność w sercu miłości, już wypełnia życie, już daje mu pokarm i jest sto tysięcy razy więcej warta, niż pustka i nicość życiowa.

Tysiące temu lat widziano już na świecie, że dobrem i moralnem jest tylko to, co potęguje życie, a pustka i nicość leżą w królestwie zła.

Chwila, w której ta ukochana głowa oprze się mi na piersiach, w której te drogie usta spoczną na moich, będzie aktem dobra i prawdy. Wśród zwątpień, jakie zalegają mi mózg, ta jedna świeci jasno — o tej jedynie mogę powiedzieć: wierzę, że tak jest. Znalazłem coś przecie pewniejszego w życiu. Wiem doskonale, jaki rozbrat leży między tą moją wiarą a ową zdawkową konwencyonalną moralnością, wyrabianą na codzienny użytek ogółu ludzi; wiem, że i dla Anielki będzie to świat obcy, przestraszający, ale wezmę ją za rękę i poprowadzę w ten świat, bo ze szczerem przekonaniem będę jej mógł powiedzieć: tam jest dobro i prawda!

Znajduję pokrzepienie w podobnych myślach. Większa część dnia zeszła mi jednak bardzo źle, bo w poczuciu własnej niemocy, wobec tych wszystkich warunków, w jakich znajdujemy się oboje z Anielką. Przychodzi mi nawet do głowy i to, że ona może kocha Kromickiego. Na szczęście, przybycie po południu doktora Chwastowskiego przerwało bieg tego rodzaju przypuszczeń. Przyjechał on z Płoszowa na naradę ze starszym lekarzem, którego w swoim czasie wzywano do pani Celiny. Na odjezdnem przyszedł mnie odwiedzić. Powiedział, że pani Celina ma

się tak samo jak zawsze, ale że pani Kromicka miała zrana mocny ból głowy i nie pokazywała się przy rannej herbacie.

Następnie zaczął długo mówić o Anielce, a ja słuchałem go chętnie, bo zastępowało mi to niejako jej obecność i jej widok. Mówił zresztą, jak człowiek inteligentny, lubo młody. Oświadczył mi, że woli patrzeć na ludzi z niedowierzaniem, nie dlatego, żeby takie stanowisko uważał za jedynie słuszne, ale że na razie uważa je za bezpieczniejsze. Co do pani Kromickiej, sądzi jednak, iż może z całą pewnością policzyć ją do natur wyższych pod każdym względem. Odzywał się o niej w ogóle z taką żywością, iż przez głowę przemknęło mi przypuszczenie, że w głębi serca żywi dla niej coś więcej, niż podziw.

Przypuszczenie to nie sprawiło mi najmniejszej przykrości, zapewne ze względu na ogromną przestrzeń, dzielącą tego niedawnego studenta od Anielki. Owszem, byłem mu wdzięczny, że się na niej poznał i zatrzymałem go dłużej, bo oprócz tego rozmowa z nim chroniła mnie od zbyt ciężkich myśli. W toku gawędki spytałem go, co zamierza robić na przyszłość. Odpowiedział mi, że naprzód musi zebrać trochę grosza

na wyjazd do klinik zagranicznych, następnie wróci do kraju i ustali się w Warszawie.

— Co pan rozumiesz przez ustalenie się w Warszawie?

— Pracę naukową przy jakim szpitalu i możliwą praktykę.

— I zapewne ożenisz się?

— Przyjdzie i czas na to, ale nie zaraz.

— O ile nie przyjdzie jakieś uczucie i nie opanuje woli. Pan, jako doktor, wiesz, że miłość jest potrzebą fizyologiczną.

Młody Chwastowski chciał jednak widocznie uchodzić za trzeźwą i tęgą głowę, wyższą ponad słabości ludzkie, wzruszył więc swemi szerokimi ramionami, pogładził ostrzyżoną w szczotkę czuprynę i powiedział:

— Potrzebę uznaję, ale nie chcę jej przyznać więcej miejsca, niż jej się należy. Na każdą potrzebę jest rada.

Tu uśmiechnął się zwycięsko, lecz ja odrzekłem poważnie:

— Zastanowiwszy się nieco głębiej nad kwestyą uczucia, kto wie, czy warto dla czego innego żyć?

Chwastowski pomyślał przez chwilę.

— Nie! jest pełno innych rzeczy: choćby nauka,

choćby obowiązki społeczne. Nie mówię nic przeciw małżeństwu: człowiek powinien się ożenić i dla siebie samego i dlatego, żeby mieć dzieci — bo to też obowiązek społeczny. Ale małżeństwo, to co innego — a ciągły romans, znów co innego.

— Jak pan to rozumiesz?

— Rozumiem tak, że my, panie, jesteśmy mrówki, które budują mrowisko. My, ludzie od roboty, nie mamy na to czasu, żeby życie poświęcać głównie kobietom i kochaniu się w nich. To dobre dla tych, którzy mogą nic nie robić. albo którzy nie chcą nic innego robić.

To rzekłszy, spojrzał na mnie, jak człowiek, który przemawia w imieniu najtęższych w kraju ludzi i przemawia równie silnie, jak mądrze. Patrzyłem z pewnem zadowoleniem na ten zdrowy okaz ludzkiego rodzaju — i przyznaję, że pominawszy pewną młodocianą, prawie studencką pychę — to, co mówił, nie było wcale głupie. Prawdą jest, że kobieta i miłość dla niej nie odgrywają ani w polowie takiej niezmiernej roli w życiu ludzi pracy, lub życiu ludzi mających przed sobą poważne zadania, poważne cele. Chłop żeni się, byle się ożenić i założyć gospodarstwo. W rzeczywistości zdolność jego do głębokich uczuć jest mała, chociaż poeci i no-

weliści wmawiają w nas co innego. Człowiek naukowej pracy, mąż stanu, wódz, polityk, poświęcają kobiecie zaledwie małą część życia. Wyjątek stanowią artyści. Tych fachem jest kochać, albowiem sztuka sama istnieje przez miłość i kobietę. W ogóle zaś tylko w społeczeństwach bogatych, w których mnóstwo ludzi usuwa się od pracy, kobieta panuje wszechwładnie i wypełnia takim ludziom życie od wierzchu do dna. Opanowyywa ona w nich wszystkie myśli, staje się motorem wszystkich czynności, wyłącznym celem zabiegów. I nie może inaczej być. Biorę oto siebie za przykład. Społeczeństwo, do którego należę, nie jest wprawdzie bogate tak, jak inne, ale ja osobiście jestem człowiekiem zamożnym. Z tej zamożności skorzystałem w ten sposób, że nigdy nie robiłem, skutkiem czego nie miałem i nie mam określonego celu w życiu. Może byłoby inaczej, gdybym się był urodził Anglikiem lub Niemcem, ale ciężył jeszcze nademną ten fatalny grzech pierworodny, który nazywają: «l'improductivité slave». Żaden ze składowych czynników dzisiejszej cywilizacyi nie pociągnął mnie i nie wypełnił mi duszy, z tej prostej przyczyny, że ta cywilizacya jest mdlejąca i przesiąknięta

sceptycyzmem. Jeśli ona sama czuje, że się kończy i wątpi o sobie, trudno wymagać, abym ja w nią uwierzył i poświęcił jej życie. W ogóle więc żyłem, jakby zawieszony w powietrzu, bom nie mógł przyczepić się do ziemi. Gdybym był człowiekiem suchym, zimnym albo bardzo głupim, albo zwierzęco-zmysłowym, byłbym ograniczył życie aż do roślinnego wegetowania, lub do zaspakajania zwierzęcych potrzeb — i istniałbym jakoś, ale zdarzyło się właśnie przeciwnie. Przyniosłem na świat żywy umysł, naturę bujną i siły żywotne niepowszednie. Siły te musiały znaleźć jakieś ujście — i mogły je znaleźć tylko w miłości dla kobiety. Nic innego mi nie pozostało. Jestem tego świadom — i poddaję się — bo zresztą próżno byłoby przeciw tej potędze walczyć. Miłość do kobiety — oto jedyna racja, jedyna podstawa mego życia. Całe moje nieszczęście polega na tem, że jako dziecko chorej cywilizacyi, wyrosłem krzywo, więc i ta miłość przyszła mi krzywo.

Prostota pojęć byłaby mi dała szczęście, ale o tem szkoda mówić. Każdy garbus radby się pozbyć swego garbu — jeno, że nie może, bo garbatym już był w łonie matki. Tak samo moje garby spowodowało nienormalne łono cy-

wilizacyi i epoki, która mnie na świat wydała. Ale krzyw, czy prosty, muszę kochać — i chcę.

4 Maja.

Rozum mój poszedł zupełnie na służbę uczucia i stał się już tym woźnicą, który czuwa jedynie nad tem, by się wóz nie połamał. Od kilku dni znów jestem w Płoszowie i wszystko, co mówię i czynię, jest tylko taktyką miłości. Doktor Chwastowski miał rozum, że kazał Anielce chodzić, dla zdrowia, po parku. Znalazłem ją tam dziś rano. Bywają chwile, że uczucie noszone w sercu, choćby z zupełną świadomością, ujawnia się z niezwykłą siłą i niemal przestrasza swoim ogromem. Taką chwilę miałem dziś, gdy na skrócie alei zobaczył Anielkę. Nigdy nie wydała mi się piękniejszą, więcej upragnioną, konieczniej mi należną. To jest właśnie ta, jedyna w świecie kobieta, której, z mocy tajemnych, zaledwie dopiero nazwanych przez naukę sił, przeznaczono pociągnąć mnie, jak magnes pociąga żelazo, opanować, przywiązać do siebie, stać się moim celem i wypełnieniem życia. Jej głos, postać, spojrzenie, upajają mnie. Dziś, gdy się do niej zbliżał, zdawało mi się, że ona nosi w sobie wdzięk nietylko swój własny, ale tej

porannej godziny, tej wiosny, tej pogody, tej radości ptaków i roślin, skutkiem czego jest dla mnie więcej, niż kobieta, bo zarazem wcieleniem piękności, ponęt i rozkoszy całej natury. I przyszło mi na myśl, że jeśli natura stworzyła ją tak, iż ona mocniej działa na mnie, niż na jakiegokolwiek innego mężczyznę, to tem samem przeznaczyła ją dla mnie — i że to moje prawo zostało podeptane przez jej zamięzłość. Kto wie, czy wszystkie krzywizny świata nie pochodzą właśnie z niespełniania takich praw i czy nie w tem leży niedoskonałość życia?

Miłość źle sobie ludzie wyobrażają z zawiązanymi oczyma. Przeciwnie: nie, żaden najdrobniejszy szczegół nie uchodzi jej wzroku; ona wszystko w istocie ukochanej widzi, wszystko zauważy — tylko wszystko stapia swym płomieniem w jedno wielkie i proste: kocham! Zbliżając się do Anielki, zauważyłem, że ma oczy błyszczące jeszcze, jakby ze snu, że na jej twarz i jasną perkalową suknię pada złoto-zielonawe światło przecedzonych przez młode grabowe liście promieni słonecznych; zauważyłem, że włosy jej związane są niedbale, że lekko puszczona bluzka zarysowywa, z niewypowiedzianym urokiem, wysmukły jej stan i ramiona, że

jest w jej uczesaniu i ubiorze jakieś zaniedbanie poranne, a zarazem jakaś świeżość, która potęguje tysiąckrotnie jej ponęty. Nie uszło mej baczności, że w tej alei wysokich grabów postać jej wydaje się drobniejsza, niż zwykle i tak młoda, że prawie dziecinna — słowem, nic nie wymknęło się mej uwadze, ale wszystkie spostrzeżenia zmieniły się w jeden zachwyt człowieka, który kocha bez panieści.

Na moje «dzień dobry» odpowiedziała z pomieszaniem. Od kilku dni ona się mnie boi, bo hypnotyzuję ją każdym słowem, każdym spojrzeniem. Pogoda jej myśli jest już zmacona, ferment wprowadzony do duszy. Nie mogła nie spostrzedz, że ją kocham, a jednocześnie widzę wyraźnie, że nie chce przyznać się do tej myśli za żadne skarby świata, nawet sama przed sobą. Czasami uczuwam takie wrażenie, jakbym trzymał w ręku gołębia i czuł pod palcami jego zaleknione, bijące niespokojnie serce. Szliśmy w kłopotliwym milczeniu, którego nie przerywałem umyślnie. Wiem, że takie zakłopotania są dla niej ciężkie, ale czynią ją już poniekąd moją współniczką i zbliżają mnie do celu. W ci-szy, jaka nas otaczała, słyszeliśmy tylko skrzy-

pień piasku pod naszymi nogami i wesołe pogwizdywania wilg, których pełno było w parku.

Począłem wreszcie rozmowę. Kierowałem nią, jakem sam chciał, bo jakkolwiek umysł mój zamknięty był na wszystkie wpływy zewnętrzne, nie mające związku z uczuciem, za to w zakresie mego uczucia posiadałem niemal zdwojoną przytomność i bystrość taką, jaką posiadają ludzie, pogrążeni w śnie magnetycznym, którzy w danym kierunku widzą jaśniej od ludzi normalnych. Przeszliśmy prędko na tory osobiste. Mówiłem o sobie tym tonem poufnych zwierzeń, jakim się mówi do istoty najbliższej, która jedna na świecie ma prawo wiedzieć wszystko. Wytwarzał się przez to między nami cały świat porozumień i wspólności, należący tylko do nas dwojga. Ponieważ zaś taki związek powinien być, z mocy małżeństwa, istnieć tylko między nią i mężem, więc wiodłem ją temsamem do duchowego przeniewierstwa krokami tak nieznacznymi, że ich nie mogła dostrzedz.

Subtelna ta natura przeczuwała jednak, iż idziemy jakąś niezwykłą drogą. Prowadziłem ją jakby za rękę, coraz dalej i dalej, lecz prowadząc, czulem pewien moralny opór. Zdawałem sobie doskonale sprawę i z tego, że opór ten

zwiększyłby się natychmiast, gdybym ją pociągnął silniej, lub gdyby niebezpieczeństwa nie były tak nieuchwytne. Ale widziałem jasno, że przewaga jest po mojej stronie i że zwolna zaprowadzę ją, dokąd zechcę.

Tymczasem mówiłem umyślnie o przeszłości.

— Pamiętasz — rzekłem — jak za dawnych, lepszych czasów pytałaś mnie kiedyś, czemu nie siedzę w kraju i pozwalam marnować się tym zdolnościom, które ludzie widzą we mnie. Co do mnie, pamiętam każde twoje słowo. To było wówczas, gdy wróciłem późno z miasta, a ty czekałaś na mój powrót... Trudno mi nawet powiedzieć, jakiś ty miała na mnie ogromny wpływ. Nie mogłem się zabrać odrazu do jakiejś roboty, bo musiałem wyjechać; potem przyszła śmierć ojca... Ale słowa twoje zapadły we mnie i powiem ci szczerze, że jeżeli wrócił, jeżeli zamierzam stale tu osiąść i coś robić, jeżeli wreszcie czegoś dokażę — to będzie twój wpływ i twoja zasługa...

Przez chwilę trwało między nami milczenie — słyszałem tylko ciągle pogwizdywanie wilg. Anielka widocznie szukała odpowiedzi, nakoniec odrzekła:

— Niepodobna mi temu uwierzyć, żeby taki

człowiek, jak ty, nie miał innych, ważniejszych powodów. Ty doskonale wiesz, że to jest obowiązek, a tamto minęło i teraz jest zupełnie co innego.

— Jest co innego i nie jest — odpowiedziałem. — Może, jak zacznę jakąś robotę, to z czasem znajdę w niej samej i zachętę i zamilowanie. Ale człowiek, jak ja, który wbrew temu, co mówisz, nie poczuwał się nawet do obowiązku zajęcia się czemśkolwiek, musi mieć jakieś osobiste powody do gruntownej odmiany życia... I im mu gorzej na świecie, tem mu potrzebniejsza taka osobista pobudka... A po co mam przed tobą kłamać?... Ja weale nie jestem szczęśliwy... Poczucie obowiązków społecznych, to bardzo piękna rzecz — tylko na nieszczęście, ja go nie mam. Ty, która jesteś lepsza i szlachetniejsza ode mnie, mogłaś była mnie tego nauczyć... stało się inaczej... Ale i dziś jeszcze, tylko przez pamięć, żeś ty niegdyś chciała ode mnie pracy, tylko przez ciebie i dla ciebie potrafiłbym cośkolwiek przedsięwziąć.

Anielka przyspieszyła kroku, jakby pragnęła zaraz wracać do domu i odpowiedziała mi, prawie szepcząc:

— Nie mów tak, Leonie, proszę cię, nie mów

tak. Przecie ty rozumiesz, że ja nie mogę przyjąć takiej intencji.

— Czemu nie możesz? Nie chciej mnie źle rozumieć. Jesteś i zostaniesz dla mnie zawsze bardzo kochaną siostrą. Nie więcej nie chciałem ci powiedzieć.

Anielka podała mi rękę prawie gorączkowo, którą podniosłem do ust zwolna i z największą czcią.

— Tak, zostanę, zawsze zostanę! — odpowiedziała pospiesznie.

A ja widziałem, że jakby kamień spadł jej z serca, tak ją uspakajał, ujinował i wzruszał ten jeden wyraz: siostra. To sprawiło, że i ja zdołał zapanować nad sobą, bo w pierwszej chwili, gdy mi ustami dotknął tej najdroższej ręki, prawie mi w oczach pociemniało i chciałem objąć ją, przytulić do siebie i wyznać całą prawdę.

Tymczasem twarz Anielki stała się jaśniejsza i weselsza. W miarę, jak zbliżaliśmy się do domu, niepokój jej niknął, ja zaś, widząc, jak bardzo ją sobie ujmuję, idąc taką drogą, mówiłem dalej tonem spokojnej, zwykłej rozmowy:

— Widzisz, siostrzyczko, koło mnie jest ogromna pustka. Ojciec mój nie żyje, ciotka jest

święta kobieta, ale nam trudno się zrozumieć, bo ona ani nowych czasów, ani nowych ludzi nie pojmuje. Jej wyobrażenia są zupełnie inne od moich. Nie ożenię się nigdy, więc — pomyśl tylko, jaki ze mnie samotnik! Nikogo naokoło! Nikogo, z kimby się podzielić, czy to myślą, czy zamiarem, czy zwierzyć się ze zmartwie-niem?... Pustka i pustka... Powiedz-że sama, co w tem dziwnego, że szukam współczucia tam, gdzie spodziewam się je znaleźć... Jestem, jak dziad kaleka, który staje przed bramą, czeka-jąc, czy mu nie wyniosą parę groszy. W tej chwili ten dziad, naprawdę bardzo biedny, staje pod twojem oknem i żebrze o trochę życzliwo-ści, przyjaźni i miłosierdzia. Ani mu w głowie coś więcej, jak jałmużna, ale przecie jałmużny mu nie odmówisz?... prawda?

— Prawda, Leonie — odpowiedziała Anielka — prawda; tembardziej, że jeśli ci tak źle...

Tu słowa urwały się jej i usta poczęły drżeć. Znów potrzebowałem całej siły, żeby jej nie upaść do nóg. Wzruszyłem się sam jej wido-kiem do tego stopnia, iż i mnie gardło ścisnęło się jakby płaczem.

— Anielko! Anielko! — ozwałem się, nie wiedząc, co mam jej powiedzieć.

Lecz ona poczęła potrząsać dłońmi, jakby się chciała ode mnie odpędzić, wreszcie powiedziała wśród łez:

— Zaraz, zaraz!... uspokoję się. Nie mogę tak wrócić... pozwól mi...

I odeszła szybko.

— Przepraszam cię, Anielko! — zawolałem za nią.

Naprzód chciałem koniecznie biedz w jej ślady, alem pomyślał, że trzeba ją zostawić samą, gonilem ją więc tylko wzrokiem. Wróciła się pospiesznie w tę samą aleję, po której chodziliśmy poprzednio, potem skręciła w bok. Czasem gąszcz przesłaniał ją, to znów jasna jej suknia ukazywała się w przerwach drzew, błyszcząc bardzo w słońcu. Zdawa widziałem, jak składała, rozpinała i znów składała parasolkę, pragnąc widocznie tem fizycznym zajęciem rozproszyć wzruszenie. Przez ten czas wołałem na nią w duszy wszystkimi najśłodszymi wyrazami, jakie może podyktować miłość. Nie mogłem wymóżyć na sobie, by odejść, nie spojrzawszy raz jeszcze w jej twarz, musiałem jednak czekać dość długo. Wróciła wreszcie, ale przeszła koło mnie prędko, jakby się bojąc ponownego wzruszenia; uśmiechnęła się tylko po

drodze do mnie z anielską przyjaźnią i słodyczą — i rzekła:

— Już dobrze! już dobrze!

Jakoż na zarumienionej od prędkiego ruchu jej twarzy nie znać było łez. Zostałem sam i chwyciła mnie szalona, nieopisana radość, nadzieja przepelniła mi serce, w głowie miałem tylko jedną myśl: ona mnie kocha, broni się, nie poddaje, łudzi się sama, ale kocha. Czasem najbardziej świadomy siebie człowiek staje pod nadmiarem uczuć prawie na granicy szaleństwa — ja zaś byłem jej tak blisko, że chciało mi się lecieć w głąb parku i tarzać się w trawach i krzyczeć na cały głos, że ona mnie kocha.

W tej chwili, gdy już spokojniej rozmyślałem nad tą radością, widzę, że składała się ona z Bóg wie ilu czynników. Było w niej między innemi i szczęście mistrza, który czuje, że mu się arcydzielo udaje, było może i zadowolenie pająka, pewnego, że mucha wpadnie w jego sieci — ale była i dobroć i litość i tklivość i to wszystko, z czego, jak mówi poeta, radują się anieli w niebie. Żał mi było, że to bezbronne biedactwo musi wpaść w moje ręce i zarazem żał ten wzmagał miłość, a więc i chęć zdobycia

Anielki; jednocześnie doznawalem wyrzutów, że ją oszukuję, i jednocześnie miałem poczucie, że nigdy w życiu nie mówił tak szczerze i tak z głębi serca.

Bom przecie nie kłamał, prosząc jej o współczucie i o przyjaźń. Potrzeba mi i tego, jak zdrowia. Nie wypowiedziałem tylko wszystkich żądań, bo nie przyszedł na to czas; nie wypowiedziałem całej prawdy, by nie przestraszyć tej drogiej, a bojaźliwej duszy. Wreszcie zdążam do mego i jej dobra drogą, która najprościej do niego wiedzie.

10 Maja.

Pogoda na niebie i pogoda między nami. Anielka jest spokojna i szczęśliwa. Uwierzyła głęboko słowom moim, że nie chodzi mi o nic więcej, jak o braterskie uczucia, że zaś sumienie pozwala jej kochać mnie miłością siostry, więc dała folgę sercu. Ja jeden wiem, że to jest lojalny sposób oszukiwania samej siebie i oszukiwania męża, bo pod stemplem tego siostrzanego uczucia kryje się i wzrasta w niej inne; ale naturalnie nie myślę wywodzić jej z błędu, póki owo uczucie nie stanie się nieprzepartem... Ogarnie ją ono wkrótce, jak płomień, którego

nie przytłumi ni wola, ni poczucie obowiązku, ni wstydlivość tej kobiety białej, jak łabędź. Tymczasem i mnie jest dobrze, tak dobrze, że chwilami mam poczucie, iż mógłbym niczego więcej nie żądać, pod tym jednym tylko warunkiem, żeby nikt nie miał do niej żadnych praw. Ciągłe wraca mi do głowy myśl, że ponieważ ja kocham ją najbardziej, więc moje prawo jest najlepsze. Co może być nad to logiczniejszego i słusznieszego? Wszakże w etyce wszystkich ludów i wszystkich wyznań przynależność wzajemna mężczyzny i kobiety wspiera się na miłości.

Ale dziś taki jestem uciszony i szczęśliwy, że wolę czuć, niż rozumować. Panuje teraz między nami wielka serdeczność, swoboda i zażyłość. Jak my jednak byliśmy dla siebie stworzeni, jak nasze istoty lgną do siebie, jak to kochane biedactwo wygrzewa się i rozkoszuje w tem zwodniczem cieple braterskich uczuć! Nigdy, od czasu powrotu, nie widziałem jej tak wesolą. Nieraz poprzednio, gdym na nią patrzył, przypominał mi się Szekspirowski «poor Tom». Taka natura, jak jej, potrzebuje miłości, jak powietrza do oddychania, a ów Kromicki, zajęty spekulacyami, nie kocha jej dostatecznie i nie

jest zdolny kochać. Ona słusznie mogłaby się skarżyć i powtarzać za Szekspirem: «Biednemu Tomkowi zimno». Myśląc o tem, nie mogę się oprzeć rozrzewnieniu i przyrzekam jej w duszy, że jej nie będzie zimno, póki ja żyję.

Gdyby miłość nasza była złą, nie mógłby się unosić nad nami taki spokój. Bo, że Anielka nie nazwała swego uczucia po imieniu — to wszystko jedno: niemniej ono istnieje. Cały dzisiejszy dzień zeszedł nam, jak sielanka. Nie lubilem dotąd niedzieli, teraz spostrzegam, że niedziela od rana do wieczora może być jednym poematem, zwłaszcza na wsi. Zaraz po herbacie poszliśmy do kościoła na ranną wotywę. Ciotka szła z nami, a nawet i pani Celina, korzystając z cudnej pogody, kazala się przy nas toczyć w fotelu. Ludzi było niewiele, bo lud zbiera się tłumnie dopiero na sumę. Siedząc w ławce, obok Anielki, miałem jakieś błogie złudzenie, że siedzę obok mojej narzeczonej. Chwilami spoglądałem na jej słodki, kochany profil, na ręce, które trzymała oparte przed sobą na ławce i to skupienie, jakie było widać w jej postawie i twarzy, udzielało mi się mimowoli. Zmysły moje uspiły się, myśli stały się czyste i kochałem ją w tej chwili zupełnie idealną miłością, bom czułem,

jak nigdy, że to jest bezwzględnie inna kobieta od tych, które spotykałem dotychczas — stokroć lepsza i czystsza.

Dawno nie zaznałem podobnych wrażeń, jak w tym wiejskim kościele. Złożyła się na nie i obecność Anielki i powaga kościelna i łagodne migotanie świec w mroku ołtarza i smugi kolorowe światła z okien i świegot wróbli przy szynbach i cicha msza. Wszystko to miało w sobie jeszcze jakąś senność poranną, a oprócz tego było ogromnie kojące. Myśli moje zaczęły się układać tak równo i spokojnie, jak obłoki dymu z kadzielnicy przed ołtarzem. Zbudziło się we mnie coś, jakby chęć ofiary z siebie i głos wewnętrzny jał mi mówić: «Nie mać tej jasnej wody, uczcij jej przezroczystość».

Tymczasem msza się skończyła i wyszliśmy z kościoła. Przed progiem kościelnym spostrzegłem z niemałym zdumieniem oboje starych Łatyszów, siedzących na ziemi, z drewnianymi miseczkami w ręku i proszących o jałmużnę. Ciotka, która wiedziała o moim datku, wpadła na ich widok w wielki gniew i poczęła ich łajać, lecz stara Łatyszowa, nie przestając wyciągać ku nam swojej miseczki, odrzekła spokojnie:

— Co je pańska hojność, to pańska hojność, a co wola Boska, to wola Boska. Woli Boskiej nie trza się przeciwić. Kiejś nam Jezusicku kazał tu siedzieć, to ostaniem, teraz i na wieki wieków, amen!

Z tego rodzaju rozumowaniem nie było się co spierać. Zwłaszcza owo «na wieki wieków, amen» zaimponowało mi do tego stopnia, że dałem im jałmużnę dla samej oryginalności. Ten lud wierzy w gruncie rzeczy w przeznaczenie; poddając się mu ślepo, chrystyanizuje je tylko na własny sposób. Tacy Łutyszowie, którym dałem tysiąc dwieście rubli, są teraz zamożniejsi, niż byli kiedykolwiek, a jednak poszli pod kościół, w przekonaniu, że im tak kazało przeznaczenie, które staruszka nazywa po swojemu: wola Boską.

Wracaliśmy teraz do domu. Dzwoniono właśnie na sumę. Drogą ciągnęły gromady mężczyzn i kobiet. Ludzie z dalszych folwarków szli gęsiego przez pola, ścieżkami w zbożu, które, lubo jeszcze zielone, wyrosło już tej wczesnej wiosny dość wysoko. Jak okiem sięgnąć, widać było w jasnych głębiach powietrznych jaskrawe chustki dziewcząt, jak różnobarwne kwiaty

maku, rosnącego wśród zieleni. Mówiąc nawiasem, takich szerokich przestrzeni powietrznych niema w całej Europie, jak u nas. Co mnie także uderzyło, to ów wybitny charakter niedzielny, widoczny zarówno w ludziach, jak w naturze. Prawda, że pogoda była przepyszna, ale zdawało się, że wiatr nie wieje dlatego, że to niedziela, że zboże nie kołysze się łanem i liście nie trzęsą się na topolach, bo niedziela; wszędy wielki a wesoły spokój, cisza, odświeżające stroje i wbród światła.

Wyjaśniałem Anielce, ze stanowiska sztuki, piękności widoku i tych barwnych plam, harmonizowanych przez błękitny ton powietrza. Potem zaczęliśmy mówić o chłopach. Ja przyznaję się, że widziałem w nich tylko wielki zbiór mniej lub więcej malowniczych modeli. Anielka za to patrzyła na nich zupełnie inaczej. Opowiadała mi o nich mnóstwo charakterystycznych rzeczy, smutnych i wesołych, przyczem ożywiła się opowiadaniem i ruchem i tak była urocza, że mimowoli począłem, spoglądając na nią, powtarzać trzy ostatnie wiersze poematu, który pisałem jeszcze w uniwersytecie, a którego całej reszty zapomniałem zupełnie.

„I dziwię się tylko, że kwiaty
„Pod twemi stopami nie rosną
„Ty maju, ty raj, ty wiosno!“

Rozmowa zesłała znów na Łatyszów, a raczej na starą Łatyszową, której podkościelne rozumowania rozśmieszyły nas w końcu. Po-
cząłem stosować je do siebie. Ponieważ ciotka
pozostała z panią Celiną, którą służący toczył
w wózku o kilkanaście kroków za nami, mogłem
z całą swobodą wspomnieć o naszej ostatniej
przechadzce po parku.

— Niedawno — rzekłem — ja prosiłem cię
o jałmużnę, a ty mi ją dałaś. Widzę teraz, że
mnie to nie obowiązuje do niczego i że mogę
iść pod kościół.

— Aha! — odpowiedziała Anielka — i prosić
inne dusze miłosierne o to samo. Ciocia wybie-
rze się dziś, by jedną taką duszyczkę zaprosić
na jutro do Płoszowa; rozumiem!

W odpowiedzi rzekłem, że Hilstówna jest
zaduża, żeby ją jedno serce zdołało pomieścić
i że trzebaby się co najmniej we trzech w niej
kochać, ale Anielka nie przestała się ze mną
przekomarzać i wygrażając mi palcem, po-
wtarzała:

— Coś ja tam podejrzewam, coś podejrzewam!

— Na teraz niesłusznie — odpowiedziałem — bo serce moje jest składem tylko braterskich uczuć i panuje w niem wyłącznie to złośliwe stworzenie, które mi w tej chwili dokucza.

Anielka przestała mi wygrażać i śmiać się, a jednak zwolniła kroku i po chwili połączyliśmy się ze starszemi paniami. Zresztą cały dzień zeszedł nam bez chmurki i tak wesolo, iż często wydawało mi się, że jestem studentem. Oczyma mówiłem jej wprawdzie, że ją kocham — ale pożądanie spalo we mnie. Była mi na to tego dnia zbyt droga. Ciotka zaraz po śniadaniu pojechała do Warszawy; ja resztę dnia przesiedziałem w pokoju pani Celiny, czytając jej listy Montalamberta, z którym ojciec mój był swego czasu w korespondencji. Listy owe nudziłyby mnie dosyć, gdyby nie obecność Anielki. Podnosząc oczy od książki, spotykałem jej wzrok, który napelniał mnie radością, bo albowiem zupełnie stracił dar sądu, albo patrzyła na mnie, jak patrzy kobieta niewinna i czysta, ale nieświadomie całą duszą kochająca. Co to był za dobry dzień! Ciotka przyjechała wieczor-

rem z zapowiedzią gości. Będą jutro Śniatyńscy i Klara Hilst.

Jest już dość późno, ale nie chcę spać, bo mi szkoda rozstawać się z wrażeniami dzisiejszego dnia. Sen nie może być od nich piękniejszy. Przytem park trzęsie się literalnie od śpiewu słowików, a we mnie tyle jeszcze siedzi starego romantyka! Noc przyszała równie pogodna, jak był dzień. Niebo nabite gwiazdami. Myśląc o Anielce, mówię jej w duszy: dobranoc! Powtórzyłem ten wyraz ze sto razy. Widzę, że obok «l'improductivité slave» jest we mnie w dodatku jakiś wyłącznie polski sentymentalizm. Nie znałem się dotąd z tej strony. Ale co mi to szkodzi... Kocham ją bardzo!

13 Maja.

Klara i Śniatyńscy nie przyjechali. On dał znać, że wybiorą się jutro, jeżeli pogoda będzie odpowiedna. Dziś srożyła się nad Płozowem taka burza, jakiej nie pamiętają tu dawno. Około dziesiątej rano zerwał się gorący wichur, który przesłonił świat kłębam kurzu. Nie wiał on ciągle, ale uderzenia przychodziły do południa jedne po drugich tak gwałtowne, że przyginały drzewa do ziemi. Nasz piękny park napelnił

się trzaskiem łamanych gałęzi, a wśród tumanów kurzu unosiły się chmury zerwanych liści. Wielka lipa, stojąca przed prawym pawilonem, w którym umarł ksiądz Łatysz, rozszczepiła się na dwie połowy. Było nieznosnie duszno; płucem naszym brakło powietrza; zdawało się, że ten wichur wychodził z jakichś rozpalonych czeluści i niesie ze sobą czad węgla. Mnie, przywykłem do Siroko we Włoszech, nie wiele to szkodziło, ale pani Celina cierpiała ogromnie, Anielka z nią razem, ciotka zaś zrobiła awanturę staremu Chwastowskiemu o szkody w parku. Czupurny szlachcic, którego zapewne nieraz w szkołach wytargano za uszy z powodu Homera, nie zapominał widocznie ani Odyssei, ani języka w ustach, bo zapowiedział ciotce, że gdyby był Eolem, toby nie służył u niej za rządcę i nie narażał się na niesłuszne napaści. Ciotka ustąpiła tym razem, zdaje się, głównie z powodu nowych gróźb ze strony nieba. Oto od południa uciszyło się nagle, natomiast poczęły się toczyć olbrzymie wały chmur, naprzemian czarnych, jak kir, lub bramowanych złotem, o tułowiach koloru miedzi. Chwilami robiło się ciemno, jak w nocy, tak, że pani Celina prosiła o zapalenie lamp, to znów padał na świat złowrogi rudy

blask. W całej naturze był jakby przestach. Pan Chwastowski poleciał na folwark, by kazać sprowadzić bydło z pola, ale pastusi przygnali je sami przed otrzymaniem rozkazów, wkrótce bowiem usłyszeliśmy żalosny ryk krów, który wśród tej ciszy przed burzą dochodził aż do zabudowań folwarcznych. Ciotka, chwyciwszy loretański dzwonek, poczęła obiegać cały pałac i dzwonić zawzięcie. Nawet nie próbowałem tłómaczyć jej, że dzwonienie, wśród atmosfery tak nieruchomej, może raczej sprowadzić, niż oddalić pioruny — i pomimo doskonałej świadomości, że w danym razie nie potrafię jej nic dopomódz, towarzyszyłem jej w tej wycieczce, bo mi wstyd było, żeby narażała się sama. Ciotka była poprostu pyszna, gdy z głową podniesioną, spoglądała wyzywająco w te czarne i miedziane zwały chmur — i przygrażała im swoim dzwonkiem. Nie żałowałem, żem z nią poszedł, bom miał przed sobą, jakby symboliczny obraz: w chwili, gdy wszystko drży przed grozą, przylega w przerażeniu i drętwieje, wiara jedna nie boi się, wyzywa — i dzwoni! Jestto, bądź co bądź, pierwiastek nieobliczonej potęgi w duszy ludzkiej.

Wróciliśmy, gdy pierwsze grzmoty jęły rozta-

czać się naokół po niebie. W kilka minut huk stał się nieustający. Miałem takie wrażenie, że gdy się grzmot toczy po podścielisku chmur, pułap ich zarywa się co chwila pod nim i wszystko razem zwala się z nieopisanym łoskotem na ziemię. Piorun palnął w staw, leżący w końcu parku, a zaraz po nim drugi, jeszcze bliżej, tak, że aż ściany naszego płoszkowskiego domu zadygotały w podstawach. Panie moje poczęły odmawiać litanie, ja zaś miałem chwilę wielkiego niesmaku, wydało mi się bowiem, że jeśli ją będę odmawiał razem z niemi, będzie to z mojej strony hipokryzja, jeśli nie, to będzie wyglądało na popis źle wychowanego mędrka, nie biorącego w rachubę zwykłego wiejskiego obyczaju i przedewszystkiem strachu kobiet. Niebawem spostrzegłem jednak, że myłę się, posądzając je o strach; twarze ich były spokojne a nawet pogodne. Widocznie ta obyczajowa litania wydała im się tak warownym puklerzem przeciw wszelkim niebezpieczeństwom, że na obawę nie było już miejsca w ich sercach. Przyszła mi wówczas do głowy także i inna myśl, a mianowicie, jakim ja jestem obcym duchem wśród tych trzech polskich kobiet, z których każda wie dziesięć razy mniej, a jest, wedle zwykłej ludzkiej miary,

warta dziesięć razy więcej odemnie. One są, jak książki, o stosunkowo niewielkiej liczbie stronnic, ale pełne jasnych i prostych prawideł — gdy tymczasem we wszystkich tych tomach, z których się ja składam, niema ani jednej niewątpliwej prawdy — i ja pierwszy gotówem zwątpić o każdej.

Ale była to krótka myśl, bo rozpędziła ją burza, która istotnie przybierała coraz straszniejsze rozmiary. Wicher zerwał się znów z taką siłą, że park kładł się pod jego uderzeniami. Były chwile, że nagle ustawał, a wówczas strumienie dżdżu lały się na ziemię. Widziałem nie krople, ale nieprzerwane sznury wody, łączące niebo z ziemią. Aleje parku zamieniły się w rwące potoki. Czasem niespodziany, straszliwy podmuch rozbijał w pył wszystką wodę, zawieszoną między niebem a ziemią — i świat przesłaniał się tak zbitym tumanem mgły, że o krok nie można było nic dojrzeć. Ogluszająca kanonada grzmotów trwała bez przerwy. Powietrze było przeładowane elektrycznością. Pulsa moje były ciężko; nawet w pokojach dawał się czuć ów drażniący zapach burzy, który powstaje z uderzeń piorunów. Nakoniec, za przykładem zewnętrznych żywiołów, rozpętały się moje myśli

i pragnienia. Zapomniałem o burzy, widziałem tylko przed sobą Anielkę; straciłem zupełnie panowanie nad sobą i zbliżywszy się do niej, rzekłem:

— Chcesz patrzeć na burzę?

— Dobrze — odpowiedziała.

— Pójdź obok, do tamtego pokoju... Tam jest okno weneckie...

Poszła i stanęliśmy w oknie. W tej chwili mrok uczynił się prawie zupełny, ale co kilka sekund rozdzierały go błyskawice, białe i czerwone, odsłaniając głębiny nieba, a zarazem rozświecając nasze twarze i cały świat, zasnuty falą. Anielka była spokojna, tylko za każdym błyskiem wydawała mi się bardziej pożądana.

— Nie boisz się? — spytałem, szepcząc.

— Nie...

— Daj mi rękę...

Ona spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Chwila jeszcze, a byłbym ją porwał i usta przycisnął do jej ust — poczem niechby się Płoszków zapadł w ziemię, ale ona złękła się — nie burzy — tylko mego wyrazu twarzy i tego szeptu, bo cofnąwszy się szybko od okna, wróciła do pokoju, w którym siedziały starsze panie.

Zostałem sam — z poczuciem gniewu i upo-

korzenia. Bylbym niewątpliwie nadużył ufności Anielki, a jednak zdawało mi się, że tym brakiem zaufania wyrządziła mi obelgę. Postanowiłem dać jej to uczuć. Wśród podobnych wrażeń nie prędko zyskałem równowagę; z godzinę jeszcze stałem przy oknie, patrząc bezmyślnie w oślepiające błyskawice. Tymczasem na świecie stało się coraz jaśniej, наконец chmury prze-rwały się i w przerwie zajaśniało słońce, światne, jakby wykąpane i jakby zdziwione spustoszeniami, których narobiła burza.

Były one bardzo znaczne; alejami parku płynęła jeszcze żółta i zapieniona woda, nad którą sterczały odłamane gałęzie. Gdzieś widać było zwalone drzewa lub widne zdaleka na pniach odarcia, naksztalt wielkich ran. Jak okiem sięgnąć, wszędy zniszczenie i ruina, niby po bitwie.

Gdy woda nieco spłynęła, wyszedłem ku stawom, chcąc bliżej obejrzeć szkody. Nagle cały park zaroił się ludźmi, którzy z jakąś dziwną energią i radością poczęli porywać odłamane gałęzie i rąbać zwalone pnie. Pokazało się, że to komornicy wiejscy, nie mający własnego lasu, zbiegli się z siekierami do parku przez połamane siłą burzy sztachety, by zaopa-

trzyć się w drzewo. W gruncie rzeczy było mi to wszystko jedno, ale ponieważ uczynili to bez pozwolenia i w jakiś dziki sposób, ponieważ zresztą byłem w złem usposobieniu, więc począłem ich wypędzać z wielkim gniewem, który wzrastał w miarę ich oporu. Zagroziłem już im wójtem, gdy nagle ozwał się za mną, najśłodszy w świecie dla moich uszu głos, pytając po francusku:

— Czy to naprawdę co szkodzi, Leonie, że oni uprzętną park?

Obróciłem się i ujrzałem Anielkę w chusteczce na głowie, podwiązanej pod brodę. Obiema rękoma podtrzymywała sukienkę, odsłaniając do kostek swoje małe stopy, przybrane w wysokie buciki — i pochylona nieco, patrzyła na mnie jakby z prośbą.

Na jej widok gniew mój zniknął w jednej chwili — zapomniałem o tych przykrych wrażeniach, przez które przeszedłem niedawno — i tylko patrzyłem na nią, nie mogąc oczu nasycić.

— Każesz? — spytałem.

I zwróciwszy się do ludzi, rzekłem:

— Podziękować pani i brać drzewo.

Tym razem spełnili mój rozkaz chętnie. Nie-

którzy, nie znając widocznie stosunków dworskich, nazywali ją, dziękując, «jasną panienką», co mi sprawiało niewysłowioną rozkosz. Gdyby Płoszów był mój, byłbym pozwolił na jedno jej słowo wyrąbać cały park. W pół godziny wszystko, co połamala burza, było uprzątnięte i park rzeczywiście przybrał weselszy pozór. Chodząc z Anielką po alejach, znaleźliśmy pełno jaskółek i innych ptaków, albo zupełnie pobitych przez burzę, albo nawpół żywych i nawskróś przemoczonych. Zbierając je i oddając Anielce, dotykałem jej rąk, spoglądałem jej w oczy i znów było mi dobrze. Sielanka poprzedniego dnia wróciła dla nas obojga, a z nią swoboda i weselość. Ja miałem serce do dna rozradowane, bom widział to, czego nie widziała Anielka, to jest, że było między nami, w tych niby braterskich stosunkach, dwa razy tyle tkliwości, ile mogło i powinno było być między, choćby najczulszem, rodzeństwem. Byłem zupełnie pewny, że ona kocha mnie nieświadomie, ale kocha zupełnie tak, jak ja ją. W ten sposób większa połowa moich nadziei i moich zamiarów była już spełniona — pozostawało mi tylko doprowadzić ją do świadomości i do poznania tego uczucia.

Gdy o tem teraz myślę, przypominam sobie z bijącym ze szczęścia sercem to, com kiedyś już w tym pamiętniku napisał, że żadna w świecie kobieta nie oprze się mężczyźnie, po stronie którego stoi jej serce.

15 Maja.

Goście nasi przyjechali dopiero dziś, nie wczoraj i słusznie zrobili, bo dziś dopiero obeschło należycie i pogoda była prześliczna. Ten piętnasty maja będzie jednym z najpamiętniejszych dni w mojem życiu. Teraz jest już po północy, a nie śpię i nie położę się spać; sen odbiegł odemnie gdzieś za dziesiątą granicę; zmysły moje są tak rozbudzone, że nie czuję najmniejszego znużenia i zamierzam pisać do rana. Wysilam się tylko na to, by nie rozpocząć od końca i zanotować wszystko po porządku. Pomaga mi w tem bardzo przyzwyczajenie.

Ciotka wysłała powóz po Śniatyńskich i po Klarę bardzo rano, tak, że już przed południem byli w Płoszowie. Te panie przyjechały świeże, wesole i rozszczebiotane, jak wróble, tak je cieszyła pogoda i ta wycieczka. Co za toalety, co za fantazyjne kapelusze! Klara doskonale była ubrana w jakąś paskowatą, jasną suknię, gdyż

wyglądała w niej nie taka ogromna, jak zwykle. Spostrzegłem, że Anielka, od pierwszej chwili przywitania, przypatrywała się jej badawczo i że była jakby zdziwiona jej pięknnością, o której prawie nie wspominałem w naszych rozmowach o Klarze. Nie uczynilem tego z żadnego wyrachowania, ale poprostu umysł mój tak jest przesłonięty przez Anielkę, że wiele rzeczy nie przychodzi mi na myśl, wielu nie widzę. Oto na przykład, pomimo dwukrotnej bytności u Śniatyńskich, teraz dopiero, w Płoszowie, zauważyłem, że pani Śniatyńska ma krótko obcięte włosy, z czem jej zresztą bardzo do twarzy. Ta jasna, opadająca na czoło czupryna, daje jej minę równie rezolutnego, jak różowego chłopca. Żyjemy ze sobą teraz w wielkiej przyjaźni. W swoim czasie byłaby mnie w łyżce wody utopiła za Anielkę. Widocznie jednak musiał jej mąż później powiedzieć, ilem przecierpiał, że zaś kobiety mają wogóle największą słabość do ludzi, którzy cierpieli z miłości, więc przebaczyła mi wszystkie winy i darzy mnie swą łaską. Obecność tak miłej a żywej i swobodnej kobiety bardzo przydała się do złamania pierwszych lodów między Anielką i Klarą — zauważyłem bowiem, że ciotka, która poczuwała się do wdzię-

czności względem Klary, przyjęła ją nadzwyczaj serdecznie, Anielka natomiast, mimo całej uprzejmości i wrodzonej słodyczy, była jakby onieśmielona i trochę sztywna. Dopiero przy śniadaniu, wśród ogólnej wesolej rozmowy, nastąpiło między temi paniami pewne zbliżenie. Klarę uderzyła niezmiernie piękność Anielki, że zaś jest pełna prostoty i przywykła do wypowiedzania swych myśli z całą swobodą artystyczną, wypowiadała Anielce w oczy swe zachwyty, ale z takim wdziękiem i z takim szczerym zapalem, że Anielkę musiało to ująć. Obecna przy śniadaniu pani Celina, rosła, jak na drożdżach i jakkolwiek zapewne po raz pierwszy w życiu znalazła się w towarzystwie kobiety ze świata artystycznego, poczęła spoglądać na Klarę coraz milej.

Nakoniec, zwróciwszy się do niej, oświadczyła, że chociaż jest matką Anielki, musi jednak przyznać, że Anielka była zawsze bardzo niebrzydkiem dzieckiem i że można się było po niej jeszcze więcej spodziewać. Oboje Śniatyńscy wmieszali się także do rozmowy. On wszczął zaraz spór z Klarą o rozmaite typy kobiece, przyczem rozprawiał o typie Anielki i jego estetycznej doskonałości w sposób tak

zabawnie obiektywny, jakby Anielka była portretem, wiszącym na ścianie, nie zaś żywą i obecną osobą. Ona, słuchając tego, czerwieniła się i spuszczała swoje cieniste rzęsy, zupełnie jak mała dziewczynka, przez co stawała się istotnie jeszcze śliczniejsza, niż zwykle.

Ja milczałem, ałem porównywał w duchu te trzy twarze kobiece, starając się patrzeć na nie także obiektywnie, to jest usuwając na bok wzgląd, że Anielka jest kobietą przezemnie kochaną, a więc tem samem najbardziej wyróżnioną i pociągającą. Lecz porównanie nawet w tych warunkach wypadło na jej korzyść. Pani Śniatyńska, teraz zwłaszcza, gdy nosi włosy obcięte, jest bardzo wdzięczna głowa, ale każdy «keepsake» angielski zawiera mniej więcej podobne; na piękność Klary składają się pogodne rysy, głównie zaś błękitne oczy i przeźroczysta cera, jaką powszechnie miewają Niemki; gdyby jednak nie jej powołanie, które sprawia, że patrząc na nią, myśli się zarazem o muzyce, twarz uchodziłaby, co najwyżej, za hożą. Anielka nietylko ma regularne rysy, nietylko jest pomysłem artystycznym w stylu niezmiernie szlachetnym, ale ma w sobie coś tak indywidualnego, że nie może być podciągnięta pod żaden

ogólny wzór. Może ten indywidualizm polega na tem, że ona nie będąc ani brunetką, ani blondynką, robi fizyczne wrażenie brunetki, a duchowe blondynki; może sprawia to wyjątkowa bujność jej włosów, przy stosunkowo drobnej twarzy, dość, że jest ona unikatem w swoim rodzaju. Przewyższa nawet pod tym względem Davisową, która była piękna bez zarzutu, ale pięknoscią posągów. Davisowa budziła we mnie tylko podziw i zmysły, Anielka budzi we mnie prócz tego idealistę, który się zachwycą poezją jej wyrazu, i to poezją nową, dotąd nieznaną.

Ale nie chcę nawet porównywać dwóch tak różnych istot. Oddałem się podczas śniadania tym rozmyślaniom dlatego, że się o podobnych rzeczach zgadalo i że analiza piękności Anielki sprawia mi zawsze wielką przyjemność. Ciotka przerwała tę rozprawę, sądząc, że jako gościnniej gospodyni, wypada jej pomówić z Klarą o ostatnim koncercie. Mówiła wiele i dobrze; nie przypuszczałem nawet, że posiada tyle znajomości muzyki; wypowiadała przytem swe komplementa z taką uprzejmością wielkiej damy, w sposób tak potoczysty i miły, jak umieją je wypowiadać tylko ludzie starszego pokolenia,

którzy przejęli jeszcze nieco ducha ośmnastego wieku. Jednem słowem, ze zdziwieniem spostrzegłem, że moja weredyczna ciotka potrafi, gdy chce, przypomnieć sobie czasy peruk i muszek. Klara, którą to ujmowało, nie pozostała jej dłużną w uprzejmościach.

— W Warszawie — rzekła — będę zawsze dobrze grała, bo publiczność mnie rozumie, ale najlepiej grywam w małych kółkach znajomych, gdzie mi są wszyscy sympatyczni — i jeśli państwo pozwolicie, to was przekonam o tem zaraz po śniadaniu.

Ciotka, której bardzo chodziło o to, by pani Celina i Anielka słyszały Klarę, ale która nie była pewna, czy wypada sadzać ją u siebie do fortepianu, wpadła w doskonały humor. Ja począłem opowiadać o wystąpieniach Klary w Paryżu i jej tryumfach w sali Erarda, Śniatyński zdawał sprawę z tego, co mówią w Warszawie i w ten sposób zeszedł nam czas aż do końca śniadania. Gdyśmy wstali, Klara sama chwyciła za poręcz fotelu, w którym siedziała pani Celina, aby przetoczyć ją do salonu i nie pozwoliła się nikomu wyręczyć, śmiejąc się i mówiąc, że pewno jest najnociniejsza w całym towarzystwie i nie boi się zmęczyć rąk. W chwilę

potem siedziała przy fortepianie i tym razem widocznie Mozart odpowiadał najbardziej jej usposobieniu, bo usłyszeliśmy «Don Juana». Zaledwie ozwały się pierwsze dźwięki, już była to inna Klara: nie owo hoże i wesołe dziecko, z którem rozmawialiśmy podczas śniadania, ale jakby uosobiona święta Cecylia. Wytwarzało się powinowactwo między jej zewnętrzną postacią a muzyką; spływała na nią jakaś duchowa powaga i harmonia, które czyniły ją wyższą od zwykłych kobiet. Zrobiłem przytem jedno spostrzeżenie, mianowicie, że zakochane serce mężczyzny umie podsycać swoje uczucie nawet tem, co wypada na niekorzyść kobiety kochanej. Gdym pomyślał, jak daleko mojej Anielce do tego, by mogła być podobną Sybillą, gdym ją ujrzał siedzącą w kącie salonu, cichą, malutką, niejako przytłumioną, uczulem, że ją kocham tem więcej i że mi jest tem droższa. Przyszło mi także do głowy, że kobieta nie jest w rzeczywistości taką, jaką się ogłowi ludzi przedstawia, ale taką, jaką ją widzi zakochany w niej mężczyzna, że zatem bezwzględna jej doskonałość jest w stosunku prostym do siły miłości, jaką potrafiła wzbudzić. Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym pomysłem, ale

przypadł mi on bardzo do smaku, bom jak przez mgłę ujrzał i ten wniosek, że w imię owej doskonałości kobieta winna zgodzić się na przy-leżność do serca, które najbardziej ją kocha.

Klara grała cudownie. Szukałem wrażeń na twarzach innych, niebawem jednak spostrzegłem, że Anielka szuka ich na mojej. Była-li to prosta ciekawość, czy też mimowiedny niepokój serca, które nie umiałoby powiedzieć, czego się obawia, a jednak się obawia? Powiedziałem sobie, że gdyby to ostatnie przypuszczenie było prawdziwe, stanowiłoby nowy dowód, że ona mnie kocha. Myśl ta przejęła mnie radością i postanowiłem znaleźć w pozostającym ciągu dnia odpowiedź na owo pytanie.

Od tej chwili nie odstępowałem Klary. Mówilem z nią więcej i byłem dla niej serdeczniejszy, niż kiedykolwiek w życiu. W lesie, do którego pojechaliśmy wszyscy razem, chodziłem z nią ciągle, spoglądając tylko od czasu do czasu na Anielkę, idącą opodal ze Śniatyńskimi. Klara zachwycała się lasem, który istotnie był bardzo piękny, z powodu obfitości drzew liściastych, tworzących pod ciemnem sklepieniem sosen drugie, nierównie weselsze sklepienie.

Słońce wnikało obficie do wnętrza lasu przez

szczeliny między liśćmi, kładąc na paprocie, rosnące na podłożu, jakby haft złoty i drgający. Naokół rozlegały się, jak zwyczajnie wiosną, głosy kukulek; tu i owdzie dzieciół kul w drzewo.

Gdyśmy połączyli się ze Śniatyńskimi i z Anielką, prosiłem Klary, by za powrotem do domu przetłómaczyła nam na język muzyki ten las, słońce, szum drzew, i całą tę wiosnę. Powiedziała mi, że już jej się w duszy śpiewa jakiś «Frühlingslied» i że popróbuję go wygrać. Rzeczywiście widać było po jej wyrazie, że w niej coś śpiewa — bo zresztą ona jest jak wielka harfa, która wypowiada się tylko dźwiękami.

Twarz miała rozjaśnioną i palające rumieńce, natomiast Anielka wyglądała jakby zgaszona, choć czyniła widocznie wszystko, żeby się przezwyciężyć i dotrzymać towarzystwa Śniatyńskim, którzy rozswawolili się zupełnie, jak żaki szkolne. W końcu poczęli się oboje gonić po lesie; Klara wzięła w tem także udział, czego nie powinna była robić, ruchy jej bowiem, przy ogromnej jej postaci, nie mogły być zgrabne; zwłaszcza kołysanie się jej szerokich bioder wydało mi się wprost komiczne.

W chwili, gdy tamci upędzali się za sobą, zostałem z Anielką sam na sam. Wedle mojej

taktyki, trzeba mi było doprowadzić jej niepokój do świadomości, więc rzekłem:

— Tobie coś dzisiaj jest, Anielko, nieprawdaż?

— Mnie? nie a nie!

— Bo chwilami mam takie wrażenie, jakbyś była z czegoś niezadowolona. Czy może nie podobają ci się Klara?

— Ona mi się bardzo podoba i wcale się nie dziwię, że się nią tak ludzie zachwycają.

Dalszą rozmowę przerwało nam zbliżenie się Klary i Śniatyńskich. Czas był wracać do domu. Po drodze spytał Śniatyński Klare, czy rzeczywiście jest zadowolona, jak mówi, ze swej wycieczki do Warszawy.

— Najlepszy dowód, że nie myślę o odjeździe — odpowiedziała wesoło.

— Postaramy się — wtrąciłem — by pani na zawsze z nami została.

Klara, mimo całej prostoty, z jaką zwykle przyjmuje to, co się do niej mówi, spojrzała tym razem na mnie pytającym wzrokiem, poczem zmieszała się nieco i odrzekła:

— Wszyscy tu dla mnie tak dobrzy!..

Ja wiedziałem, że moje słowa są poniekąd szelmostwem, mogą bowiem wprowadzić w błąd Klare, ale chodziło mi przedewszystkiem o wra-

żenie, jakie one wywrą na Anielce. Na nieszczęście, nie mogłem nic widzieć; Anielka w tej właśnie chwili poczęła zapinać rękawiczkę i spuściła głowę tak nisko, że kapelusz zaslonił mi zupełnie jej twarz. Nagły ten ruch wydał mi się jednak dobrą wróżbą.

Wróciliśmy do domu. Starsze panie czekały nas z obiadem, który przeciągnął się do dziewiątej wieczór. Potem Klara improwizowała przy fortepianie swój «Frühlingslied». Zapewne Płoszów, od czasu jak istnieje, nie słyszał takiej muzyki, ale tym razem mało na nią zważałem, gdyż myśli moje zbyt były napelnione Anielką. Zająłem blisko niej miejsce i siedzieliśmy w półmroku, albowiem Klara nie pozwoliła wnieść lamp do salonu. Sniatyński wymachiwał ręką, jak batutą, żona jego, której widocznie to zawadzało, pociągala go od czasu do czasu za rękaw, Anielka zaś siedziała nieruchomie. Być może, iż pogrążona we własnych myślach, nie słyszała również, jak i ja, tej Pieśni Wiosennej. Byłem prawie pewien, że w tej chwili myśli o mnie i o Klarze, a zwłaszcza, że zastanawia się nad znaczeniem słów, jakie powiedziałem do Klary. Łatwo mi było zgadnąć, że choćby mnie nie kochała, choćby nie miała cienia świado-

mości, że moje uczucie dla niej jest czemś więcej niż przywiązaniem braterskiem, to i tak, podejrzewając teraz, że inna może jej je zabrać, doznaje uczucia żalu, osamotnienia i gorzkości. Kobieta, która nie jest w małżeństwie szczęśliwa, obwija się koło każdego uczucia, chociażby koło uczucia przyjaźni, jak bluszcz koło drzewa i boi się utracić tej podpory. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że gdybym w tej chwili klęknął przed nią i wyznał, że ją jedną kocham, to mimo całego przerażenia, jakimby ją napelniło wyznanie, ogarnęłaby ją zarazem i taka radość, jakiej doznaje się z odzyskania rzeczy drogiej. A jeśli tak (pomyślałem w duchu), to czy nie należy przyspieszyć wyznania, byle tylko wynaleść sposób, któryby ją jaknajmniej przeraził, a jak najwięcej uradował?

I zaraz zacząłem rozmyślać o tym sposobie, od którego mogło wszystko zależeć. Rozumiałem, że to trzeba uczynić tak, by zarazem rozbroić Anielkę i odjąć jej możność odepchnięcia mnie raz na zawsze. Umysł mój pracował ciężko w tej chwili, gdyż zadanie nie było łatwe. Stopniowo ogarniało mnie coraz większe wzruszenie i dziwna rzecz: byłem wzruszony więcej za

Anielkę, niż za siebie, zdawałem sobie bowiem sprawę, że to będzie ogromny przełom w jej życiu — i bałem się o nią.

Tymczasem w salonie zrobiło się widniej; księżyc wydostał się nad drzewa parku i rzucał na podłogę cztery jasne odbicia okien. Nuty Pieśni Wiosennej napelniały ciągle salon. Słownik odpowiadał Klarze z gęstwiny przez otwarte drzwi szklanne. Był to niezwykły wieczór, na który złożyły się: ciepła majowa noc, muzyka i miłość. Pomyślałem mimowoli, że jeśli życie nie daje szczęścia, to często daje przynajmniej gotowe na nie ramy.

W tym świetlistym mroku począłem szukać oczyma wzroku Anielki, ale ona patrzyła wciąż na Klarę, która w tej chwili robiła istotnie wrażenie zjawiska. Światło księżycy, wnikając coraz dalej w głąb salonu, oświeciło wreszcie ją i fortepian, że zaś przybrana była w jasną suknię, więc wyglądała teraz, jak jakiś srebrny duch muzyki.

Wizya jednak nie trwała już długo. Klara skończyła swoją Pieśń Wiosenną, poczem zaraz pani Śniatyńska, której pilno było do domu, dała hasło do odwrotu. Ponieważ wieczór był dziwnie ciepły, zaproponowałem, byśmy poszli

piechotą aż do szosy, odległej o pół wiorsty od naszego domu. Uczyniłem to dlatego, by odwrotną drogę odbyć z Anielką sam na sam. Jej nie wypadało wymawiać się od odprowadzenia tych pań, wiedziałem zaś, że ciotka nie pójdzie z nami — więc wyrachowanie nie mogło mnie zawieść.

Wydałem polecenie, by powóz czekał na szosie, my zaś, wkrótce potem wyruszyliśmy aleją lipową, prowadzącą od palacu do publicznego gościńca. Podalem rękę Klarze, ale szliśmy wszyscy jedną gromadką; odprowadzani przez rzechotanie żab w ploszowskich stawach.

Klara przystanęła nieco i poczęła wsłuchiwać się w owe chóry, które chwilami uciszały się, chwilami odzywały jeszcze rozgłośniej, wreszcie rzekła:

— Finał mojej Pieśni Wiosennej.

— Co za pyszna noc! — ozwał się Śniatyński.

I zaraz począł deklamować śliczny ustęp z «Kupca weneckiego»:

» Jak cicho

» Śpi na pagórku tam światło miesiąca,

» Spocznijmy trochę i niech dźwięk muzyki

» Płynie nam w ucho: noc i nocna cisza

» Godzą się z słodkim urokiem harmonii...

Dalej nie mógł sobie przypomnieć, lecz ja pamiętałem, więc kończyłem za niego:

- »Usiądź, o miła; patrz, jak przestwór nieba
- »Gęsto w złociste gwiazdki jest utkany,
- »A każdy krążek z tych, które tam widzisz,
- »Bieg odbywając, dołącza pieśń swoją
- »Do jasnoookich chóru cherubinów.
- »Tak są harmonii pełne czyste duchy;
- »Tylko my, których duch jest spowinięty
- »W skorupę prochu, słyszeć jej nie możemy.»

I następnie powtórzyłem Klarze, która nie rozumiała po polsku, cały ustęp we francuskim, zaimprovizowanym naprędce przekładzie. Ona, słuchając mimowoli podniosła oczy ku górze, wreszcie rzekła, ukazując na gwiazdy:

— Byłam zawsze pewna, że to wszystko gra.

Okazało się, że i pani Śniatyńska była również tego pewna; twierdziła nawet, że nieraz o tem rozmawiała z mężem, który jednakże nie mógł sobie absolutnie tego przypomnieć. Powstała stąd sprzeczka małżeńska, z której uśmieliśmy się oboje z Klarą. Anielka przez cały czas nie mieszała się prawie wcale do rozmowy. Przechodziło mi przez myśl, że może to drogie stworzenie dąsa się na mnie za to, że prowadzę pod rękę Klarę i że się nią głównie zajmuję. Samo podobne przypuszczenie napel-

niało mnie szczęściem. Staralem się wszelako nie stracić zupełnie głowy i mówiłem do siebie w duchu: «Nie pochlebiaj sobie, aby ona wiedziała, iż doznaje uczucia zazdrości: czuje tylko smutek, może trochę urazy — i oto wszystko». Oddałbym był w tej chwili cały zastęp takich artystek, jak Klara, byle móżdż Anielce powiedzieć, że wszystko, co jest we mnie, należy do niej. Tymczasem Śniatyński począł coś mówić o astronomii, czego słuchałem piąte przez dziesiąte, chociaż nie umiem nawet wypowiedzieć, jak dalece zajmuje mnie ta nauka, która z natury rzeczy nie może ani sobie, ani duchowi ludzkiemu, stawić granic ciaśniejszych od nieskończoności.

Doszliśmy wreszcie do bitej drogi, gdzie Śniatyńscy z Klarą siedli do powozu. Po chwili koła zaturkotały; do uszu naszych doszły ostatnie: «do widzenia!» — i zostaliśmy z Anielką sam na sam.

Zwróciliśmy się zaraz ku domowi i długi czas szliśmy w milczeniu. Rzechotanie żab już ucichło, tylko zdala od zabudowań folwarcznych dolatywały gwizdania stróżów nocnych i szczekanie psów. Nie mówiłem umyślnie do Anielki, bo owe chwile milczenia są jakby dowodem, że się między nami coś dzieje i podsuwają myśl

o tem Anielce. Wreszcie jednak w połowie drogi odezwałem się:

— Jak doskonale zeszedł dzień dzisiejszy — nieprawda?

— Dawno już takiej muzyki nie słyszałam — odpowiedziała Anielka.

— A jednak byłaś jakby z czegoś nie rada: tego mi nie wytłómaczysz. Ja tak uważam na to, co się z tobą dzieje, że widzę najmniejszy cień na twojej twarzy.

— Dziś musiałeś się zajmować gośćmi... Jesteś bardzo dobry, ale zaręczam ci, że mi nie jest.

— Dziś zajmowałem się, jak zawsze tylko tobą — a na dowód tego, jeśli mi pozwolisz, to powiem ci: o czem myślałaś w ciągu dnia.

I nie czekając jej pozwolenia, mówiłem dalej:

— Myślałaś, że jestem podobny trochę do Łatyszów; myślałaś, że cię zwiódł, mówiąc ci o pustce, jaka mnie otacza; myślałaś wreszcie, że niepotrzebnie prosił cię o przyjaźń, bom ją sobie poprzednio znalazł gdzieindziej. Czy nie tak było? powiedz mi szczerze...

Anielka odpowiedziała z pewną trudnością:

— Skoro koniecznie chcesz, więc... być może... Ale to mnie mogło tylko cieszyć...

— Co cię mogło cieszyć?

— Wasza wzajemna przyjaźń z Klarą.

— Może być, że mam dla niej wiele życzliwości, ale zresztą Klara, jak wszystkie inne kobiety, jest mi obojętna. A wiesz dlaczego?

Tu począłem trochę drżyc, bom uznał, że chwila nadeszła; czas jakiś czekałem, by Anielka powtórzyła pytanie, następnie ozwałem się głosem, który usiłowałem uczynić bardzo spokojnym:

— Przecież ty musisz widzieć i rozumieć, że cała moja istota należy do ciebie, że ja ciebie jedną kochałem i Kocham dziś jeszcze, jak szalony!

Anielka stanęła, jak wryta. Ja po ziemnie w twarzy uczułem, że blednę, bo jeżeli pod tem biedactwem ziemia rozstępowała się w tej chwili, to przecie i o moją duszę chodziło. Ale wiedząc, z jaką kobietą mam do czynienia, musiałem się spieszyć, by ją obezwładnić nim przyjdzie do siebie i nim mnie odepchnie.

Więc począłem mówić prędko:

— Nie odpowiadaj mi, bo ja niczego nie chcę, niczego nie żądam — niczego, słyszysz? Chciałem ci tylko powiedzieć, żeś mi zabrała życie i że ono jest twoje. Zresztą, tyś już sama do-

strzegła, że tak jest, więc wszystko jedno, czy o tem mówię, czy nie. Powtarzam ci raz jeszcze, że niczego nie pragnę, ani oczekuję. Ty nie możesz mnie odtrącić, bo ja się sam odtrącam... Wyznam ci to tylko tak, jakbym wyznał przyjaciółce, albo siostrze. Przychodzę i skarżę się przed tobą, bo nie mam przed kim innym, przychodzę i powiadam, że mi jest bieda, bo kocham kobietę, która należy do innego, a kocham bez pamięci, moja Anielko, bez granic!

Byliśmy już przy bramie, ale jeszcze w głębokim mroku drzew. Przez chwilę miałem złudzenie, że ona pochyli się ku mnie, jak kwiat złamany i że pochwycę ją w ramiona, ałem się mylił. Anielka, ochłonawszy z wrażenia, poczęła nagle powtarzać z jakąś nerwową energią, o którą jej nawet nie podejrzewałem:

— Ja nie chcę tego słuchać, Leonie! nie chcę, nie chcę, nie chcę!

I wbiegła na oświecony księżycem dziedziniec. Prostu uciekła odemnie, od moich słów i wyznań. Po chwili znikła w ganku, ja zaś pozostałem sam, z uczuciem niepokoju, strachu, wielkiej litości nad nią, ale zarazem i tryumfu, że te słowa, od których zacznie się dla nas obojga nowe życie, zostały już wymówione. Bo

naprawdę, na razie nie mogłem się niczego więcej spodziewać, a tymczasem ziarno, z którego coś musi wyrosnąć, było rzucone.

Wróciwszy do domu, nie znalazłem już Anielki. Zastąłem tylko ciotkę, która chodząc po pokoju, mruczała różaniec, rozmawiając ze sobą głośno, w przerwach między pacierzami. Pożegnałem ją zaraz, by jak najprędzej znaleźć się u siebie. Myślałem, że spisywanie wrażeń dnia uspokoi mnie i przyprowadzi do ładu moje roztargane myśli. Ale zmęczyłem się tylko jeszcze bardziej. Postanawiam jutro (a raczej dziś, bo już biały dzień na dworze) wyjechać do Warszawy. Chcę, by Anielka mogła umocnić się w przekonaniu, że niczego nie żądam, a przedewszystkiem, by miała czas uspokoić się i oswoić z tem, co jej powiedziałem. Mówiąc jednak całą prawdę, postanawiam wyjechać i dlatego, że boję się jutrzejszego z nią spotkania — i pragnę je odwlec. Chwilami zdaje mi się, żem popełnił coś niesłychanego, wprowadzając pierwiastek mego własnego zepsucia w ten świat, dotąd tak czysty. Lecz właściwie, czy zło zasadnicze nie leży w tem, że ona została poślubiona człowiekowi, którego nie kocha i nie może kochać? Co jest niemoralniejsze, czy moja miłość, która jest

objawem wielkiego prawa natury, czy przynależność Anielki do tamtego człowieka, która jest bezecnem tegoż prawa podeptaniem? Najbardziej uprawniony związek staje się sromotnym, jeśli nie wspiera się na miłości. I ja, który to jasno rozumiem, jestem jednak tak słaby, że strach mnie chwyta, gdy mi przyjdzie potrącić nogą tę trupią moralność. Szczęściem, jestto chwilowy strach. Choćbym nawet nie był pewien, czy po mojej stronie jest słuszność, nie mam najmniejszej wątpliwości, że niema jej po przeciwnej. Zresztą tego rodzaju skrupuły rozprasza siłą faktyczną rzeczy jedno słowo: kocham!

A jeśli serce taje poprostu we mnie na myśl, że ona może także w tej chwili nie śpi, że może płacze i szarpie się z własnymi myślami — to tylko nowy dowód, że kocham. Wobec tego wszystko, co się dzieje i dzieć będzie, jest koniecznością.

19 Maja.

Pierwszy dzień po przyjeździe do Warszawy przespąłem kamiennym snem. W Płoszowie żał mi każdej minuty dnia, którą mogę spędzić w towarzystwie Anielki, a nocami pisuję. Znużyło mnie to w końcu śmiertelnie. I teraz je-

stem jeszcze ociężały, ale przynajmniej mogę już myśleć. Trochę mi wstyd, żem uciekł z Płoszowa i zostawiłem Anielkę samą, pod ciężarem mego wyznania. Ale gdy się ma do czynienia z kobietą kochaną, trochę tchórzostwa nie przynosi ujmy. A i tak nie byłbym pewno zmykał, gdyby mi nie nakazywało tego przyszłe dobro mojej miłości. Bo oto od kilku dni, Anielka, wstając rano, odmawiając pacierze, chodząc po parku, doglądając chorej matki, musi jednak, choćby nie chciała, powtarzać sobie: «on mnie kocha» — i z konieczności myśl ta wydaje się jej coraz mniej niesłychaną, coraz mniej straszną. Natura ludzka oswaja się ze wszystkim, kobieta zaś prędko godzi się z myślą, że jest kochaną, zwłaszcza, gdy sama kocha. To pytanie, czy ona mnie kocha, zadałem sobie od pierwszej chwili, w której zeznałem sam przed sobą, że ja ją kocham; obracam je odtąd na wszystkie strony w mojej głowie, staram się rozważać wszystkie okoliczności, tak, jak gdyby nie o mnie chodziło — i dochodzę do przekonania, że tak jest. Wychodząc za mąż, kochała mnie, nie Kromickiego: zgodziła się na oddanie mu ręki tylko z rozpaczy. Gdyby jeszcze była wyszła za człowieka niepospolitego,

któryby ją pociągnął sławą albo ideją, gdyby jeszcze była trafiła na jakiś wyjątkowy charakter — możeby była o mnie zapomniała. Ale przecie Kromicki nie mógł jej pociągnąć swoją pieniężną newrozą. Prócz tego, odjechał ją wkrótce po ślubie; prócz tego, sprzedał ów Gluchów, który był celem życia tych dwóch kobiet. Sądząc Kromickiego najobjektywniej, jestto człowiek mały i niema w nim nic takiego, czemby mógł zjednać sobie tę istotę, pełną idealnych uczuć i porywów. Tymczasem przyjechałem ja, dla którego miłość prawdopodobnie jeszcze w niej nie wygasła i od samego przyjazdu brałem ją za serce i wspomnieniami i każdym słowem i każdym spojrzeniem; ciągnąłem ją ku sobie, nietylko z tą umiejętnością, jaką daje doświadczenie życiowe, ale przede wszystkim z tą siłą magnetyczną, jaką mi dawała obecność i w mojem sercu prawdziwej miłości. Dodawszy do tego, że Anielka wiedziała przecie, ilem cierpiał z powodu jej postanowienia, w chwili, gdy wysyłał do niej Śniatyńskiego, że jej przecie musiało być żal mnie, że ta litość nie mogła dotąd zgasnąć — powiadam sobie: gram o życie, ale gram w takich warunkach, że tej gry nie mogę przegrać.

Jestem o tyle w mojem prawie, o ile w prawie jest każdy, kto broni swego życia. Powiadam to nie w żadnem uniesieniu, ale rozumując spokojnie. Ja nie mam nic, żadnych przekonań, żadnych wierzeń, żadnych zasad, żadnego gruntu pod nogami, bo te podstawy wyjadła we mnie refleksya i krytyka. Mam tylko wrodzone każdemu siły życiowe, które, nie mając się gdzie podziać, skupiły się w uczuciu dla tej kobiety. Więc chwytam za tę miłość, jak tonący chwytą za deskę. Jeżeli mi i tego zabraknie, przestanę chyba istnieć. Gdy mnie rozum pyta, dlaczego nie ożeniłem się poprostu z Anielką, odpowiadam mu to, com już raz powiedział: nie ożeniłem się poprostu, bom nie prosty, ale krzywy. Takim wyniańczyły mnie moje dwie niańki: refleksya i krytyka. Dlaczego ta, a nie inna kobieta, stała się dla mnie deską ocalenia — nie wiem. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że ta, a nie inna. To nie zależało ode mnie.

Gdyby ona dziś stała się wolną — pochwyciłbym ją dla siebie bez wahania — ale gdyby wcale nie była wyszła za mąż.., kto wie... wstyd mi wypowiedzieć tę myśl, a jednak, być może, żebym jej mniej pożądał.

I byłoby tak nie przez żaden romantyzm, nie dlatego, bym miał uważać, że małżeństwo jest powszednią prozą życia. Śmieję się z takich przestarzałych poglądów. Wspierając się wszelako na faktach spełnionych, przypuszczam, że począłbym kontrolować do nieskończoności siebie i Anielkę — pókiby mi jej ktoś nie zabrał.

Wolę o tem nie myśleć, bo mi się chce kłąć.

20 Maja.

Zastanawiałem się dzisiaj nad tem, co będzie, gdy uzyskam wzajemność Anielki, a raczej wyznanie z jej strony? Widzę przed sobą szczęście, ale nie widzę możliwego czynu. Zdaje mi się, że gdybym wymówił w Płoszowie, wobec tych kobiet, słowo: rozwód: toby się dom zapadł pod ziemię. Nie może być o tem nawet mowy, bo wyobrażenia ciotki i pani Celiny są tego rodzaju, że żadna z nich nie potrafiłaby przeżyć podobnego ciosu. Nie ludzę się i co do Anielki. Pojęcia jej są takie same, jak starszych pań. A jednak z chwilą, gdy wyzna, że mnie kocha — wymówię ten wyraz i ona musi się oswoić z myślą rozwodu. Niema innego wyjścia, na to zaś jedyne trzeba będzie czekać aż do śmierci

ciotki i pani Celiny. Po za tem nie nie pozostaje do zrobienia. Kromicki, albo się na to zgodzi dobrowolnie, albo nie. W tym ostatnim razie zabiorę Anielkę i wywiozę ją choćby do Indyj; rozwód zaś, czy też unieważnienie małżeństwa, będę przeprowadzał wbrew jego woli. Na szczęście, nie brak mi środków. Co do mnie, jestem gotów na wszystko, i to wewnętrzne głębokie przekonanie usprawiedliwia mnie zupełnie w moich oczach. Tym razem nie jest to pospolity romans, ale uczucie, w którym się zesrodkowyywa cała istność. Jego szczerłość i siła uprawniają również moje postępowanie z Anielką. Ja wiem, że zwodzę ją, wnawiając, że mi tylko chodzi o jej siostrzane uczucia — zwodzę, zapewniając, że niczego nie żądam — ale to wszystko byłoby złem kłamstwem tylko w takim razie, gdyby kłamstwem była sama miłość. Wobec jej prawdy, jestto tylko taktyka, tylko dyplomacya uczucia. To należy do procesu miłości. Jest rzeczą pewną, że nawet narzeczeni mają swoje podstępny, za pomocą których wydobywają ze siebie wyznania. Co do mnie, jestem szczerzy nawet wówczas, gdy zmyślam.

21 Maja.

Powiedziałem Anielce, że chcę się czemś zająć — i chcę rzeczywiście, choćby dlatego, żem jej to mówił. Postanawiam przedewszystkiem sprowadzić zbiory ojca do Warszawy — i założę tu muzeum Płoszowskich. Będzie to zasługa Anielki — i pierwszy pożyteczny czyn, jaki wypłynie z naszej miłości. Przewiduję, że rząd włoski będzie mi stawiał przeszkody, istnieje tam bowiem jakieś prawo, zabraniające wywożenia dawnych zabytków i cennych dzieł sztuki. Ale to rzecz mego adwokata. Ach! przypominam sobie, że i owa Madonna Sassoferata, którą ojciec przeznaczył dla przyszłej synowej, znajduje się w moim zbiorze. Każę ją wysłać zaraz, bo mi się tu przyda.

22 Maja.

Jaka natura ludzka złośliwa. Ten Kromicki, przewracający gdzieś tam na dalekich stepach, koziołki dla zyskania milionów, podczas gdy tu szepczą słowa miłości do ucha jego żonie — wydaje mi się, bądź co bądź, śmieszny; napęłnia mnie to zadowoleniem, że ta myśl musi przyjść do głowy i Anielce, a jeśli nie przyjdzie, to ja

jestem od tego, aby ją wyluszczyć ze wszystkich obsłon. Cały Kromicki maluje się wybor-
nie w tem, że, sprzedawszy Głuchów, zostawił
te kobiety bez własnego dachu nad głową...
Myślał zapewne, że zamieszkają w Odessie lub
Kijowie, tymczasem choroba pani Celiny spro-
wadziła Anielkę do Płoszowa.

Lecz on przecie wiedział, jak dalece wątle
jest zdrowie pani Celiny, powinien był przewi-
dzieć, że ona może ciężko zachorować i wów-
czas Anielka pozostanie sama z brzemieniem
zmartwień i kłopotów. Być może, iż jego sprawy
wymagają niezbędnie jego obecności na dale-
kim Wschodzie — ale w takim razie, czemu się
żenił?

Jutro wracam do Płoszowa. Zbyt tu tę-
sknię — i przytem chce mi się już spojrzeć
w oczy Anielce, bo czasem mam takie uczucie,
jakbym się wymykał przed odpowiedzialnością.
Trzeba było wyjechać po wyznaniu — ale teraz
trzeba wrócić. Kto wie, może moje szczęście
jest większe, niż przypuszczam, może i ona
tęskni za mną?...

Byłem dziś u Śniatyńskich, u Klary, której
nie zastałem i u słynnej tu piękności, pani Ko-
ryckiej. Ta ostatnia nosi historyczne nazwisko,

jak dżokejską czapkę, a dowcip, jak szpicrute, którą przecina twarze. Wyszedłem jednak bez pręgi — owszem, byłem nawet nieco kokietowany. Następnie odbyłem kilkanaście wizyt za pomocą biletów. Pragnę, by ludzie myśleli, że stale mieszkam w Warszawie.

Ponieważ sprowadzenie zbiorów ojcowskich mi nie wystarcza, jestto bowiem kwestya mojej woli i mego worka, nie zaś pracy, zastanawiałem się więc nad tem, co mógłbym robić prócz tego. Ludzie mego położenia poprzestają u nas ogólnie na administrowaniu swą fortuną, co, mówiąc nawiasem, robią, z nielicznymi wyjątkami, źle, daleko gorzej odemnie. Zaledwie kilku z pomiędzy nas odgrywa jakąś rolę w życiu publicznem. Powiedziałem już wyżej, że tu się ludzie bawią jeszcze w arystokrację i demokrację, są więc między nami tacy, którzy, jako cel życia, postawili sobie walkę z prądami demokratycznymi i obronę hierarchii społecznej. Co do mnie, uważam to za sport taki dobry, jak każdy inny, ponieważ nie jestem sportsmanem, zatem nie mogę należeć do zabawy. Gdyby nawet nie była to zabawa, gdyby krył się w tem jakiś sens praktyczny, jestem nadto sceptykiem względem obu obozów, bym potrafił do którego

przystać. Demokracji nerwowo nie znoszę — to jest, nie ludzi gminnego pochodzenia, ale takich, którzy uważają się za patentowanych demokratów. O arystokracji myślę, iż jeśli istotnie rację jej bytu stanowią historyczne zasługi przodków, to większość tych zasług jest u nas tego rodzaju, że spadkobiercy ich powinni włożyć włosiennice i posypać sobie głowy popiołem. Zresztą, naprawdę, to te obozy same w sobie nie wierzą, z wyjątkiem może kilku indywiduów, nader głupich. Inni udają szczerłość w celach osobistych, że zaś ja nigdy nic nie udaję, więc udział w podobnej walce, to robota nie dla mnie.

Istnieją także syntetyści w rodzaju Śniatyńskiego, którzy stoją po nad obydwoma obozami, gotowi zaś są oba stopić w swojej syntezie. Są to wogóle tędzy ludzie, ale choćbym się na ich sposób widzenia rzeczy nawrócił, to jeszcze musiałbym coś obok tego robić, bo samo uczucie nie jest pracą — i trzeba je jakoś uzewnętrzić. Śniatyński pisze przecie dramata... Naprawdę, przypatrując się rzeczom i położeniu bliżej, to ja jestem jakoś za nawiasem i nie wiem, jak dostać się w nawias. Jestto, bądź co bądź, dziwne, żeby człowiek, który ma znaczne środki,

wykształcenie, pewne zdolności i wolę, nie miał o co rąk zaczepić. Znów mi się chce kłąć, bo widzę jasno, że i tego powodem jest moje prze-
rafinowanie umysłowe. Na mnie powinni robić
dyagnozę choroby starczej wieku i cywilizacji,
bo przybrała ona we mnie typowy charakter.
Kto jest sceptykiem względem wiary, scepty-
kiem względem wiedzy, konserwatyzmu, postępu
etc., temu istotnie trudno coś robić.

A w dodatku jeszcze aspiracye moje są nie-
równie większe, niż możność ich zaspokojenia.
Wszędzie życie wspiera się na pracy, pracują
więc ludzie i tu; temu trudno zaprzeczyć. Jest
to jednak praca fornalskich koni, zwożących
z wysiłeniem snopki do stodóły. Ja choćbym
chciał, tego nie potrafię. Ja jestem paradyer —
mógłbym ciągnąć jakąś karetkę, ale zwykły wóz,
po piaszczystej drodze, lada szkapa pociągnie
równiej i spokojniej odemnie. Przy budowie
domu nie potrafiłbym żadną miarą nosić cegły;
przydałbym się może do ornamentyki; na nie-
szczęście tam, gdzie chodzi o prostą budowę
i zwykły dach nad głową, takich majstrów nie
potrzeba.

Gdybym zresztą czuł w sobie popęd wewnę-
trzny do pracy lub pragnął coś robić z mocy

dogmatów Śniatyńskiego — być może iż zdołałbym się zmusić do prostej roboty. Ale w gruncie rzeczy mnie chodzi o pozory. Chcę pracować dlatego, że to ujmie dla mnie kobietę kochaną. Anielka jest pod tym względem bardzo egzaltowana i ujęłoby to ją z pewnością. Ale właśnie dlatego, zarówno miłość własna, jak i wyrachowanie nakazują mi zająć stanowisko wybitne, któreby mnie mogło podnieść w jej oczach. Zobaczę, potrzeba mi jeszcze się rozpałtrzyć. Tymczasem niech pracuje mój worek. Sprowadzę zbiory ojcowskie, będę wspierał rozmaite instytucje i dawał pieniędzy, gdzie wypadnie.

Co za dziwny wpływ jest takiej kobiety, jak Anielka. Oto styka się z nią prawdziwy «geniusz bez teki», tak wyjątkowy nieużytek, jak ja — i zaledwie się zetknął, bez jakiegokolwiek apostołowania z jej strony, już poczuwa się do różnych rzeczy i obowiązków, do których się dawniej nie poczuwał. Niech mnie dyabeł porwie, jeśliby mi choć przez głowę przeszło ujmować sobie paryżankę lub wiedeńkę przez sprowadzenie zbiorów moich do Paryża lub Wiednia.

Wracam już do Płoszowa, bo mi pilno do mego dobrego ducha.

23 Maja.

Oddaliłem się na pewien czas z Płoszowa jeszcze i dlatego, by zostawić Anielce czas do jakiegokolwiek postanowienia. W Warszawie i w czasie powrotnej drogi do Płoszowa, starałem się odgadnąć, co mianowicie postanowi. Wiedziałem, że nie mogła wprost napisać do męża: «Przyjeżdżaj i zabieraj mnie, bo Płoszowski napastuje mnie swoją miłością». Nie uczyniłaby tego nawet, gdyby mnie nienawidziła. Natura jej zbyt jest na to delikatna. Pominąwszy, że wynikłoby z tego koniecznie jakieś zajście między mną a Kromickim, Anielka musiałaby porzucić chorą matkę, albowiem zdrowie pani Celiny nie pozwala jej na opuszczenie Płoszowa.

Położenie Anielki jest istotnie trudne i ja wziąłem to w rachubę przedtem, nim uczyniłem jej wyznanie. Ale wracając tu, zląkłem się, czy jej nie przyjdzie do głowy zamknąć się w pokoju matki i unikać mnie, ile możliwości. Po chwili jednak uspokoiłem się. Na wsi i pod jednym dachem jestto zupełnie niemożliwe, a w każ-

dym razie stałoby się nadto widoczne i zwróciłoby uwagę ciotki i pani Celiny, następnie zrodziłoby jakieś podejrzenia i mogłoby źle wpłynąć na zdrowie tej ostatniej.

Prawdę mówiąc, wyzyskuję położenie bez skrupułu, ale kto go nie wyzyskuje, gdy kocha? Odgadywałem, że Anielka, choćby najmocniej była mi wzajemną, nie zechce jednak pozwolić, bym w przyszłości powtarzał jej wyznania, że będzie się opierała nawet daleko silniej, niż opierają się zwykle kobiety zamężne, bo wobec jej zasad, wobec jej skromności, każde najmniejsze ustępstwo będzie się jej wydawało niesłychaną zbrodnią. Lecz jakim-że sposobem mogła mi zabronić, bym jej nie mówił o swojej miłości? Jeden miała tylko środek: uzyskać moją dobrowolną na to zgodę; przypuszczałem, że zechce rozmówić się ze mną stanowczo — i nie myliłem się.

Przybywszy do Płoszowa, znalazłem ją mizerną, ale spoglądała na mnie dość raźnie. Widocznie, miało kochane biedactwo gotowe w zapasie argumenty i wierzyło w ich siłę; wierzyło, że gdy je wypowie, nie pozostanie mi nic innego, jak położyć uszy po sobie i umilknąć raz na zawsze. Anielskie złudzenie, że prawda może

być tylko jedna na świecie! Nie wdawaj się ze mną nigdy, moja Anielko, w żadne rozumowania, bo ja, jeśli wierzę w jaką prawdę i w jakie argumenty, to chyba w prawdę i prawa miłości, a przytem dość jestem przebiegły, by każdy twój argument przewrócić, jak rękawiczkę i uczynić z niego broń przeciw tobie. Nie ocala cię ani twoje rozumowania, ani moja dla ciebie litość, bo im się okażesz bielszą, doskonalszą, im bardziej mnie wzruszysz, tem cię będę kochał więcej, a im bardziej cię pokocham, tem będziesz mi pożądaną. Mam dla ciebie tylko krokodyły lzy, które płynąc, zaostwiają zarazem moją drapieżność. To jest błędne koło miłości.

Na sam widok Anielki poczułem się w tem kole. Po południu, w dniu mego powrotu, gdy pani Celina usnęła głęboko na werendzie, Anielka dała mi znak, bym poszedł za nią w głąb ogrodu. Zmiarkowałem po jej twarzy, która uderzyła mnie swą niezwykłą powagą, że teraz właśnie chce się ze mną rozmówić, poszedłem więc za nią skwapliwie. W miarę, jak oddalaliśmy się od werendy, animusz Anielki począł jednak nikać. Spostrzegłem, że przybladła, że widocznie przestrasza ją własna energia, ale że nie mogła

się już cofnąć, więc poczęła mówić niepewnym głosem:

— Żebyś ty wiedział, jaka ja byłam nie-szczęśliwa przez te kilka dni...

— Czy myślisz, że i mnie lekko żyć? — odpowiedziałem.

— Nie, nie myślę — i dlatego mam do ciebie wielką prośbę... Wiem, że ty wszystko rozumiesz, że jesteś wspaniałomyślny i dobry — więc mi nie odmówisz; jestem tego pewna, bo cię znam.

— Powiedz mi, czego żądasz?

— Trzeba, Leonie, żebyś ty wyjechał za granicę i nie wracał, póki mama nie będzie w stanie opuścić Płoszowa.

Byłem pewny, że tego właśnie zażąda, przez chwilę jednak milczałem, jakbym szukał odpowiedzi.

— Możesz mną rozporządzać, jak zechcesz — rzekłem — ale powiedz mi przynajmniej, czemu skazujesz mnie na wygnanie?

— Ja cię nie skazuję na wygnanie, ale ty wiesz dlaczego...

— Wiem — odpowiedziałem z nieudanym smutkiem i rezygnacją — dlatego, że oddałbym za ciebie ostatnią kroplę krwi; dlatego, że gdyby

piorun miał w tej chwili w jedno z nas uderzyć, to jabym ciebie osłonił, a swoją głowę nadstawił; że wziąłbym na siebie wszystko złe, jakie cię może spotkać; dlatego, że cię kocham nad życie — to istotnie są ciężkie grzechy...

— Nie — przerwała, z wysiłkiem energii, Anielka — ale dlatego, że ja jestem żoną człowieka, którego kocham i szanuję — i że nie chcę słuchać takich słów!

Zniecierpliwienie i gniew wstrząsnęły mną nagle, jak iskra elektryczna. Wiedziałem, że Anielka nie mówi prawdy, że miłością i szacunkiem dla męża osłaniają się wszystkie kobiety zamężne, gdy zdarzy im się stanąć na rozdrożu życia — wszystkie, o zakład! — choćby ani cienia tych uczuć nie miały w sercu; a jednak słowa Anielki tak zgrzytnęły po moich nerwach, że ledwie zdołał powstrzymać wykrzyk: «Kłamiesz, bo ani go kochasz, ani szanujesz!» Lecz jednocześnie przyszła mi myśl, że ta jej energia wkrótce się wyczerpie, więc odpowiedziałem niemal pokornie:

— Nie gniewaj się na mnie, Anielko — ja wyjadę!

I widziałem, że ją ta pokora moja rozbraja, że jej mnie żal. Nagle zerwała liść z niskiej

gałęzi i poczęła go rozrywać nerwowo. Czyniła nadludzkie wysilenia, żeby się nie rozplakać, a miała pełne piersi łkań.

Ja byłem także poruszony do dna duszy i mówiłem dalej z pewną trudnością:

— Nie dziw się jednak, że się ociągam, bo to przecie okropna krzywda dla mnie. Ja ci już powiedziałem, że nie żądam niczego więcej, prócz tego, żebym mógł oddychać tem samem powietrzem i patrzeć na ciebie. Bóg widzi, że to chyba niezbyt wiele. I to jest całe moje dobro... A ty mi i to odejmujesz! Pomyśl tylko: każdy może tu przyjechać, rozmawiać z tobą, patrzeć na ciebie — tylko ja nie — i to dlatego, żeś mi droższa, niż innym. Co to za wyrafinowane okrucieństwo losu! Wejdźże na chwilę w moje położenie. Tobie to jest trudno, bo ty nie znasz tej pustki, ty kochasz męża, albo się ludzisz, że kochasz, a to prawie wszystko jedno — ale wyobraź sobie na minutę, że jesteś mną, a zobaczysz, że to jest gorsze od wyroku śmierci. Trzeba i nademną mieć trochę litości. Czy ty wiesz o tem, że odpędzając mnie od siebie, pozbawiasz mnie nie tylko swego widoku, ale usuwasz mi jedyną podstawę życia. Mówiłem ci, że wróciłem do kraju z postanowieniem, by

dla niego pracować. Możebym w tem znalazł i zapomnienie i spokój, możebym tem odkupił moje winy dawniejsze; świeżo oto zamierzyłem sprowadzić zbiory ojcowskie — ty mi każesz teraz tego wszystkiego się wyrzec, wszystko porzucić i jechać przed siebie, i rozpocząć znów to bezcelowe życie, bez jednego promienia słońca! Dobrze, wyjadę! Ale wyjadę, jeśli mi za trzy dni ten rozkaz powtórzysz, bo w tej chwili przypuszczam jeszcze, żeś ty nie wiedziała, czem on będzie dla mnie. Teraz już wiesz! Proszę cię o trzy dni — o nic więcej!

Anielka zakryła oczy dłonią i poczęła powtarzać:

— Ach! Boże! Boże! Boże!

Było w tem coś tak poruszającego, taka skarga dziecka na swoją bezradność, że i mnie pochwycił żal ogromny. Nastąpiła chwila, że chciałem jej upaść do nóg i przystać na wszystko, czego żądała, lecz właśnie w tej skardze dojrzałem zapowiedź mego bliskiego zwycięstwa i pożałowałem jego owoców.

— Słuchaj mnie — rzekłem — w jednym razie wyjechałbym natychmiast, dziś jeszcze! — i przedzieliłbym się od ciebie morzami: oto, gdybym wiedział, że ci to nietylko dlatego potrze-

bne, żeby nie mieć sobie spokoju widokiem nie-
szczęśliwego człowieka, ale i dla twego własnego
serca. Mówię do ciebie, jak przyjaciel i brat:
wiem od ciotki, żeś mnie kochała; jeśli to uczu-
cie żyje jeszcze w tobie — to mnie tu jutro nie
będzie.

Zupełnie szczery ból dyktował mi te słowa,
a jednak były one straszną zasadzką względem
Anielki, bo mogły wyrwać z jej ust wyznanie;
gdyby zaś to było się stało — nie wiem — mo-
żebym istotnie wyjechał, ale na razie byłbym,
jak Bóg na niebie, pochwycił ją w objęcia. Lecz
ona wzdrygnęła się tylko, jak gdybym dotknął
nieostrożnie jej rany; twarz jej zapłonęła w je-
dnej chwili rumieńcem gniewu i oburzenia.

-- Nie! — zawołała z rozpaczliwem uniesie-
niem — to nieprawda! nieprawda! Jedź sobie, czy
zostań, ale to nieprawda! nieprawda!

Ja zaś z samego jej uniesienia poznałem, że
to może być prawdą. Porwała mnie dzika ochota,
żeby jej to powiedzieć z całą brutalnością,
wprost w oczy, ale zdała ujrzałem zbliżającą
się ku nam ciotkę. Anielka nie zdołała już opa-
nować wzruszenia, tak, że ciotka, spojrzawszy
na nią, spytała odrazu:

— Co tobie jest? O czem mówiliście z Leonem?

— Anielka — odrzekłem — opowiadała mi, jak źle wpłynęła na zdrowie jej matki sprzedaż Gluchowa — i nie dziwię się, że to ją wzruszyło...

Czy siły Anielki były już zupełnie wyczerpane, czy też to kłamstwo moje, do którego musiała się milczeniem przyłączyć, przepelnilo i tak już pełny kielich goryczy, dość, że w tej chwili wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem; lkania wstrząsały jej ciałem nakształt spazmów; ciotka pochwyciła ją w ramiona i przytuliła do siebie, jak dziecko.

— Moja Anielko! — rzekła — moje kochanie! Coż na to poradzić... Wola Boska we wszystkim! Mnie pięć folwarków grad poniszczył w czasie ostatniej burzy a nawet panu Chwastowskiemu marnego słowa nie powiedziałam!

Nie wiem, dlaczego ta wzmianka o gradzie i pięciu folwarkach wydała mi się czemś egoistycznym i tak marnem w porównaniu do jednej łzy Anielki, że porwała mnie złość na ciotkę.

— Mniejsza o folwarki — odpowiedziałem szorstko — jej idzie o zdrowie matki.

I odszedłem w męce, bom czuł, że zadaje mękę

kobiecie, którą kocham nad wszystko. Wygra-
łem niby na całej linii, a czuję ogromny smu-
tek, jak gdyby przyszłość groziła mi czemś nie-
znanem a strasznem.

25 Maja.

Dziś trzeci dzień od naszej ostatniej rozmowy.
Anielka nie powtórzyła mi swego żądania, więc
zostaję. Mało do mnie mówi, przesiaduje więcej
w swoim pokoju, ale nie unika mnie zbyt; boi się
zwrócić tem uwagę starszych pań. Ja
staram się być dla niej dobry, troskliwy, przy-
jazny, ale nie narzucam się jej. Chcę, by jej
się wydawało, że miłość moja sama się zdra-
dza, ale że ja robię, co mogę, by ją w sobie
zamknąć. Musi też widzieć, że uczucie moje się
wzmaga, bo rzeczywiście wzmaga się z każdą
chwilą. Niepodobna, żeby to nie miało na nią
działać. Bądź co bądź, mamy już nasz świat
odrębny, w którym jest nas tylko dwoje; mamy
nasze wspólne tajemnice względem ciotki i pani
Celiny. Gdy mówimy o rzeczach obojętnych,
gdy usiłujemy, wobec ludzi, utrzymać pozory
dawnego stosunku, czujemy tak samo oboje, że
na dnie dusz naszych jest coś innego; mam
wreszcie słowa i spojrzenia, które rozumie tylko

Anthony G. Lewandowski.

ona. Przyszło do tego samą siłą rzeczy — i jakkolwiek przyszło raczej wbrew woli, niż z wolą Anielki — jednakże nas to łączy. Czas, przywyknienie z jej strony i moja cierpliwość, dokonają reszty. Ja, z mojej miłości, wysnuję tysiące takich nici, któremi ją omotam i które będą nas łączyły coraz mocniej. Byłaby to próżna robota tylko w takim razie, gdyby ona kochała męża. Wówczas wzbudziłbym w niej napewno nienawiść dla siebie. Lecz przeszłość jest za mną, a teraźniejszość nie należy do Kromickiego. Rozmyślam nad tem z całą siłą obiektywizmu, jak gdybym był kimś trzecim i zawsze dochodzę do tego przekonania, że ona go kochać nie może. Opór Anielki, to walka wewnętrzna duszy wyjątkowo czystej, która nie dopuszcza nawet myśli o wiarołomstwie. Ale nie ją nie wspiera w tej walce. Ja też nie łudzę się: wiem, że opór będzie długi i do złamania trudny. Muszę być zawsze czujnym, wszystko ogarniać myślą, ze wszystkiego zdawać sobie jasno sprawę; muszę tkać moją sieć z nici tak misternych, że prawie niewidocznych. Nie wolno mi będzie nigdy przycisnąć ani przedwcześnie, ani zbyt mocno, żadnego klawisza -- ale też będę się strzegł omyłek i nie ustane

póty, póki nie urobię tej duszy na moją modłę. Wreszcie jeśli mi się zdarzy popełnić jakie błędy, to one wypłyną z miłości i mam nadzieję, że dlatego samego wyjdą na moją korzyść.

26 Maja.

Zawiadomilem dziś Śniatyńskiego, że stanowczo zamierzam sprowadzić zbiory ojcowskie do Warszawy. Uczynilem to z tem wyrachowaniem, że przez niego wieść ta dostanie się do redakcyj dzienników, które nie omieszkają podnieść mego zamiaru do znaczenia wielkiej obywatelskiej zasługi. Anielce mimowoli nasuwa się porównanie między mną i Kronickim, które wypadnie na moją korzyść. Wysłałem też stąd depeszę, by mi jak najprędzej i osobno wyprawili ową główkę Sassoferata.

W czasie śniadania powiedziałem Anielce umyślnie przy wszystkich, że ojciec zapisał jej ten obraz w testamencie, co ją zmieszało, domyśliła się bowiem natychmiast, że ojciec uważał ją wówczas za przyszłą swoją synowę. Rzeczywiście w testamencie nazwisko jej nie było nawet wymienione; było powiedziane tylko: «Głowę Madonny, Nr. taki a taki, przeznaczam

dla przyszłej mojej synowej». Ale właśnie dlatego chciałem ją oddać Anielce. Tymczasem wzmianka o tym zapisie wywołała w nas obojgu cały świat wspomnień. Po to też ją uczynilem, by zwrócić myśl Anielki do owych dawnych czasów, w których mnie kochała i mogła kochać z całym spokojem. Wiem, że zostało w jej sercu z tamtej epoki i wiele goryczy i wiele serdecznego żalu do mnie. Inaczej nie może być. Byłbym też zgubiony w jej sercu bez ratunku, gdyby nie owa prośba, którą w ostatniej chwili zanieśli do niej przez Sniatyńskiego. Ale to jest okoliczność łagodząca moje winy. Bo jednak Anielka, myśląc o tem, musi pomyśleć, że chciałem wszystko naprawić, że ją kochałem, że cierpiałem, że pokutowałem i pokutuję dotąd, jeśli zaś oboje jesteśmy teraz nieszczęśliwi, to i ona przyłożyła się do tego. Tego rodzaju myśli muszą ją doprowadzić do odpuszczenia mi grzechów, do żalu za tą przeszłością i do upajania się obrazami szczęścia, jakieby było dziś naszym powszednim chlebem, gdyby nie moje winy i nie jej surowość.

Dostrzegłem i teraz na jej twarzy, że ona się boi tych upajających widzeń i że pragnie je rozprószyć rozmową o rzeczach obojętnych.

Ciotka ma obecnie tak zajętą głowę bliskimi wyścigami i spodziewanem zwycięstwem naszego «Naughtyboy'a» w gonitwie o nagrodę rządową, że nie może myśleć o czem innem; Anielka poczęła więc rozmawiać z nią o wyścigach. Ale mówiła, byle mówić, zatem z wielką dystrakcją i zadawała kilka pytań tego rodzaju, że zgorszona ciotka rzekła jej wreszcie:

— Moje dziecko, widzę, że nie masz najmniejszego pojęcia, co to są wyścigi.

Ja powiedziałem jej oczyma: «Wiem, że w tej chwili chcesz się tylko zagłuszyć» — i ona zrozumiała mnie tak dokładnie, jakbym to wypowiedział słowami. I rzeczywiście, jestem prawie pewien, że ona tak samo jest pochłonięta naszym wzajemnym stosunkiem, jak i ja. Idea o miłości po za małżeństwem, jest już wszczepiona w jej duszę, tkwi w niej i nie opuszcza jej ani na chwilę. Anielka musi z nią żyć i zżyć się. W takich warunkach serce kobiety, nawet kochającej męża, mogłoby się od niego odwrócić. Kropla wody, spadająca ciągle, wydraża kamień. Jeśli Anielka mnie choć trochę kocha, jeśli kocha tylko przeszłość naszą, to musi być moją. Nie mogę o tem rozmyślać spokojnie, bo mnie przeczucie szczęścia dławi.

Gdzieniegdzie nad brzegami mórz znajdują się piaski chłone. Dla wędrowca, który na nie wstąpi, nie ma ratunku. Czasem zdaje mi się, że moja miłość podobna jest do owych piasków. Ja wciągam na nie Anielkę, ale też i sam zapadam się coraz głębiej.

Byle razem!

28 Maja.

Ciotka przesiaduje teraz po sześć do ośmiu godzin dziennie w Burzanach, jednym ze swoich folwarków, odległym o milę od Płoszowa, gdzie trawi czas na zachwycaaniu się «Naughty-boy'em» i doglądaniu Anglika, Web'a, który trenuje konie. Byłem tam wczoraj przez godzinę lub półtorej. «Naughty-boy» jest naprawdę obiecującym koniem i może być, że nie okaże się zanadto «naughty», gdy przyjdzie pora popisów. Ale co mnie to może obchodzić! Różne sprawy powołują mnie do miasta, żal mi jednak opuszczać Płoszowa. Pani Celina czuje się słabszą, niż przed paru dniami. Młody Chwast, jak go nazywa ciotka, uważa to wprawdzie za przemijający objaw, każe tylko, żeby zawsze był ktoś przy chorej i rozrywał ją; inaczej poczyną biedna kobieta zaraz rozmyślać o stra-

cie ukochanego Głuchowa i nerwuje się coraz bardziej. Staram się jej okazywać synowską niemal troskliwość, bo w ten sposób zjednywam sobie wdzięczność Anielki i przyzwyczajam ją do uważania mnie za kogoś bliższego. Nie żywię już w sercu dawnej urazy do pani Celiny: zbyt jest na to nieszczęśliwa, a przytem, ja już poczynam kochać wszystkich, należących do Anielki — wszystkich — prócz jednego! Dziś i wczoraj spędziłem kilka godzin u chorej, w towarzystwie Anielki i Chwasta. Czytaliśmy i rozmawiali. Pani Celina nie śpi po nocach, że zaś doktor nie daje jej chloralu, więc w dzień, po każdej dłuższej rozmowie, wpada zwykle w głęboki sen, z którego — rzecz szczególna — budzi ją tylko cisza. Z tego powodu czytamy i rozmawiamy w dalszym ciągu. Tak było i dziś. Gdyby nie obecność doktora, mógłbym być zupełnie swobodnie rozmawiać z Anielką.

Właśnie dzienniki przyniosły wiadomość o ostatecznym przebiegu i ukończeniu sprawy rozwodowej pięknej pani Koryckiej. Cała Warszawa zajmuje się bardzo tą sprawą, a w szczególności ciotka, która jest daleką powinowatą Koryckiego. Ja postanowiłem skorzystać zaraz ze sposobności, by zaszczepić w duszy Anielki

kilka takich pojęć, które w niej dotąd nie powstały.

— Ciotka — rzekłem tonem głębokiego przekonania — niesłusznie oburza się na postępowanie pani Koryckiej. Podług mnie, ona postępuje, jak kobieta rozumna i prawa. Wola ludzka kończy się tam — gdzie zaczyna się miłość — nawet i ciotka musi się na to zgodzić. Jeśli pani Korycka kocha innego, to nie pozostaje jej nic, jak rozstać się z mężem. Wiem, co powiedziałyby ciotka i co ty, prawdopodobnie, myślisz w tej chwili, Anielko: myślisz, że pozostaje jej obowiązek — czy nie prawda?

— Ja myślę, że i ty jesteś tego zdania — odpowiedziała Anielka.

— Niewątpliwie. Kwestya tylko, po której stronie jest obowiązek pani Koryckiej?

Nie rozumiem dobrze, dlaczego młody doktor zastrzegł się w tej chwili, że nie uznaje wolnej woli, następnie jednak zaczął słuchać uważnie, bo mu się podobala śmiałość moich poglądów.

Ja zaś, widząc zdziwienie na twarzy Anielki, mówiłem dalej:

— Co może być dzikszego i bardziej przeciwnego naturze, jak wymagać od kogoś, by istotę więcej kochaną poświęcił dla mniej ko-

chanej? Rozmaite wyznania religijne mogą być najsprzeczniejsze ze sobą, wszystkie jednak mają jednakową etykę; małżeństwo zaś, według tej etyki, powinno się wspierać na miłości. Czem-że więc ono jest? Albo czems niezłomnem i istotnie świętem, jeśli wspiera się na takiej podstawie; albo, w przeciwnym razie, tylko sprzecznym z moralnością i religią kontraktem, który, jako niemoralny, winien być rozwiązany. Inaczej mówiąc, obowiązki kobiety wypływają z uczucia, nie zaś z całego szeregu mniej lub więcej uroczystych obrzędów, które same przez się są tylko szeregiem formalności. Mówię to dlatego, że jestem człowiekiem, który istotę rzeczy wyżej ceni od formy. Wiem, że wyraz wiarołomstwo brzmi bardzo przestraszająco. Ale nie ludźcie się, że kobieta staje się wiarołomną dopiero wówczas, gdy porzuca męża, ona nią jest — i jest całkowicie — już w chwili, w której poczuwa, że miłość jej dla niego przestaje istnieć. Co potem następuje, to już jest kwestyą tylko jej zdolności do logicznego postępowania, jej odwagi i jej serca, które umie albo nie umie kochać. Pani Korycka człowieka, dla którego się dziś rozwodzi, kochała jeszcze, zanim wyszła za dzisiejszego swego męża — i nie oddała

mu swej ręki tylko wskutek nieporozumień, tylko dlatego, że wybuch jego zazdrości poczytała za obojętność. To był jej główny błąd, ale że dziś chce ten błąd naprawić, że zrozumiała, iż nie wolno jej poświęcać istoty ukochanej dla obojętnej — i że obowiązki jej są nie po stronie konwenansu, ale uczucia, to mogą jej wziąć za złe albo hipokrycy, albo ludzie, mający przepaskę na oczach.

Było w tem, com mówił, tyleż kłamstwa, ile i szczerości. Wiedziałem, że ciotka nigdy w świecie nie zgodziłaby się na tę teorię, że wola tam się kończy, gdzie zaczyna się miłość; alem powiedział tak umyślnie, by tę prawdę wrazić Anielce, jako nie podpadającą żadnej wątpliwości. Wiedziałem, że pani Korycka jest osobą lekkomyślną, z powodu której nie warto wytać ciężkich dział zasad; zmyśliłem wreszcie historję o jej pierwszej miłości tylko dlatego, by analogię uczynić podobniejszą. Natomiast byłem szczery w tem, com mówił o prawach i obowiązkach, wypływających z uczucia. Inna rzecz, że może nie uznawałbym tej teorii tak szczerze, gdyby mi mniej dogadzała, ale człowiek zawsze jest subiektywny, a zwłaszcza

człowiek, który zwątpił o wszystkich prawdach obiektywnych.

Przemawiałem za sobą i byłbym głupi, gdybym przemawiał przeciw sobie. Liczyłem, że wdrażając Anielkę w tego rodzaju pojęcia, przyspieszam pożądaną dla mnie ewolucję w jej duszy, bo mogą ją one ośmielić i rozgrzeszyć we własnych oczach. Mając na uwadze wielką jej wrażliwość, przypuszczałem, że szczepienie moje przyjmie się choć w części. Jakoż ona rozumiała mnie doskonale i łatwo mi było spostrzedz, że każde słowo moje gra na jej nerwach, jak na strunach. W miarę, jakem mówił, na twarzy jej pojawiały się coraz widoczniejsze różowe piętna; przyłożyła kilkakroć rękę do palających policzków, jakby chcąc je ochłodzić, wreszcie, gdym skończył mówić, rzekła:

— Wszystkiego można dowieść, ale gdy się źle robi, sumienie zawsze powie: źle! źle — i niczem nie da się przekonać.

Młody Chwastowski musiał zapewne w tej chwili pomyśleć, że Anielce brak zupełnie filozoficznego wykształcenia, ja jednak wyznaję, że w pierwszej chwili doznałem takiego uczucia, jak gdybym na przykład fechtując się, trafił ostrzem szpady w ścianę. Odpowiedź Anielki,

przez swoją prostotę i przez swoją dogmatyczność, uczyniła jedno nic ze wszystkich moich wywodów. Bo jeżeli zasada, że wola tam się kończy, gdzie zaczyna się miłość, może ostatecznie podlegać wątpieniu, to natomiast zupełnym pewnikiem jest, że gdzie zaczyna się dogmat, tam kończą się rozumowania. Kobiety w ogóle, zwłaszcza jednak Polki, póty zgadzają się na logikę, póki nie staje się ona dla nich groźną. Gdy ujrzą niebezpieczeństwo, chowają się za ową fortecę prostych wierzeń i prawd katechizmowych, którą może zburzyć samo tylko uczucie, ponieważ rozum jest wobec niej bezsilny. Jestto ich słabość i zarazem ich moc, albowiem myślenie ich posiada przez to mniej tęgości od myślenia mężczyzn, natomiast świętość ich może być w pewnych warunkach niepokonana. Djabł potrafi przywieść do upadku kobietę tylko w razie, jeśli ją rozkocha — drogą rozumowania nic z nią nie wskóra, choćby wyjątkowo miał rację.

Wobec podobnych uwag, ogarnęło mnie wielkie zniechęcenie. Pomyślałem, że każdy gmach, który ja najmisterniej i najmozolniej wzniosę, Anielka przewróci jednym okrzykiem: «Źle! sumienie na to nie pozwala!» I wobec tego pozo-

stanę bezsilny. Potrzeba mi przytem wielkiej ostrożności, by jej nie przestraszać zbytnią śmiałością wyobrażeń, które staram się jej wszczepić i nie zrazić jej dla siebie.

A jednak nie mogę się wyrzec i tego rodzaju usiłowań. Nie odegrają one nigdy głównej roli w procesie przyswajania jej duszy — prawda! Ale mogą odegrać pomocniczą — i przyspieszyć rozwiązanie. Na nic się nie przydadzą tylko w tym razie, jeśli ona mnie nie kocha. Byłaby to straszna pomyłka, lecz i wówczas musiałoby nastąpić jakieś rozwiązanie.

29 Maja.

Zastąłem dziś Anielkę w sali jadalnej, stojącą na krześle przed wielkim zegarem gdańskim, w którym się coś popsulo. W chwili, gdy wspięła się na palce, chcąc nastawić wskazówkę, stół zagibotał się pod nią. Miałem tylko czas wykrzyknąć: «Spadniesz!» — i porwawszy ją na ręce, postawiłem na ziemi. Przez jedno mgnienie oka przyciskałem do piersi to drogie ciało; włosy jej musnęły mnie w przelocie i uczułem na twarzy jej oddech. Dostałem takiego zawrotu głowy, że sam musiał się chwycić za poręcz krzesła, by nie upaść — i ona to wi-

działa. Ona wie, że ją kocham bez pamięci! Nie mogę dziś pisać dłużej.

30 Maja.

Miałem dzień zatruty, bo Anielka odebrała znów rano list od Kromickiego. Słyszałem, jak mówiła ciotce, że on sam nie wie, kiedy będzie mógł przyjechać; być może iż wkrótce, być może, iż dopiero za dwa miesiące. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak zniosę jego obecność przy Anielce. Czasem wydaje mi się, że poprostu nie zniosę. Liczę tylko na szczęśliwy zbieg okoliczności, który może powstrzymać jego przybycie. Chwastowski zapowiedział, że pani Celina musi udać się do Gasteinu, jak tylko jej siły na to pozwolą. Jestto tak daleko od Baku, iż przypuszczam, że Kromickiemu wyda się za-daleko. Ja zaś pojedę, jak Bóg na niebie! Co za szczęśliwy pomysł tego Chwastowskiego i dla mnie i dla pani Celiny, której tamtejsze kąpiele mogą istotnie wrócić zdrowie. Ja także jestem zmęczony i potrzebuję górskiego powietrza, a jeszcze bardziej potrzebuję być przy Anielce. Jutro ruszam do Warszawy i zatelegrafuję do zarządu kąpielowego, by mi najęto dla tych pań mieszkanie. Jeżeliby wszystko było zajęte, go-

tówem kupić całą wille. Gdy pani Celina mówiła o trudnościach i kłopotach, jakie w razie wyjazdu spadną na Anielkę, ja powiedziałem: «Zdajcie to panie na mnie» — poczem, zwróciwszy się do Anielki, dodałem ciszej: »Urządzą wszystko tak, jak dla matki własnej». Wiedziałem, że pani Celina, która coraz mniej wierzy w miliony Kromieckiego, ma obawę, bym nie urządził im pobytu zbyt drogo, ale ja już postanowiłem w duchu pokazać im kontrakt fikcyjny, główne zaś koszta wziąć na siebie. Naturalnie, żem dotąd ani wspomniał, iż i ja wybieram się do Gasteinu. Postanawiam poprowadzić tak zręcznie tę sprawę, by mi ciotka sama to zaproponowała — i przypuszczam, że doprowadzę ją do tego, bo jej ani w głowie żadne podejrzenia. Jestem prawie przekonany, że jak zacznę się namyślać i wyszukiwać jakichś gór na letni pobyt, ciotka powie mi: «To jedź z temi paniami; będzie im i tobie różniej». Wiem, że Anielkę to przestraszy, ale może w jakim najtajniejszym kąciку duszy i uraduje. Może przyjdzie jej do głowy wiersz z Kordyana: «Jesteś wszędzie: nademną, koło mnie i we mnie!» Rzeczywiście, moja miłość tworzy koło niej krąg zaklęty; otacza ją, zobowiązuje, przejednywa,

wciska się do jej serca pod postacią troskliwości o nią i o jej matkę, pod postacią przysług, jakich odrzucić nie może, nie chcąc otworzyć oczu matce na to, co się dzieje i pogorszyć jej stanu tem odkryciem; przenika ją jako wdzięczność dla mnie i jako współczucie dla wielkiego cierpienia; narzuca się jej wreszcie siłą wspomnień.

Od rana do wieczora Anielka słyszy tylko pochwały o mnie; ciotka jest zaślepiona we mnie, jak zawsze; młody Chwastowski, chcąc okazać bezstronność, do jakiej zdolni są ludzie jego obozu, utrzymuje, że jestem wyjątkiem w swej «spróchniałej sferze»; przejednałem sobie nawet panią Celinę. Okazuję jej tyle serca, że ona lubi mnie teraz — powiedziałbym — mimowoli — i jestem pewien, iż w głębi serca żałuje, że nie jestem mężem Anielki. Naokół Anielki jest jedna wielka sugestia miłości, składająca się z ludzi i natury.

A ty, kochana, czy się oprzesz tym wszystkim siłom? Kiedyż ty przyjdiesz do mnie i powiesz mi: «Już nie mogę dłużej — weź mnie, bo cię kocham!»

Warszawa, 31 Maja.

Pani L., opiekunka jednego z tutejszych towarzystw dobroczynnych, prosiła Klarę o drugi koncert na rzecz tegoż towarzystwa. Klara odmówiła, tłumacząc się tem, że pracuje nad większym utworem muzycznym i potrzebuje całego skupienia umysłu. Do listu jednak, który był wzorem uprzejmej odmowy, dołączyła taką samą sumę, jaką przyniósł pierwszy jej koncert. Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie uczynił jej postępek w Warszawie. Dzienniki rozpisują się o tem dotychczas, wynosząc pod niebiosa artystkę i jej wspaniałomyślność. Naturalnie fortuna jej ojca, który jest istotnie bardzo bogaty, urosła w ich opowiadaniach w trójnasób. Nie wiem, skąd się wzięły w towarzystwie wiadomości, że Klara wychodzi za mnie za mąż. Może powód do nich dała nasza dawna znajomość i zażyłość, oraz przesadzone wieści o milionach artystki? Byłem z tego powodu trochę zły, ale po namyśle postanowiłem wieściom nie przeczyć, bo stawiają one mój stosunek do Anielki po za obrębem wszelkich podejrzeń.

Gdym był dziś na południowem przyjęciu u Klary, pierwsza pani Korycka zbliżyła się do

mnie z miną wielce dowcipną i przy kilkuna-
stu osobach ze świata muzycznego i z naszego
warszawskiego high-lifu, rzekła na cały głos:

— Kuzynku, kto to w mitologii nie mógł
się oprzeć śpiewowi syreny?

— Nikt się nie oparł, kuzynko — odpowie-
działem — z wyjątkiem Odyssa, ale i ten oparł
się tylko dlatego, że był przywiązany do masztu.

— A ty byłeś mniej przezorny?

Kilka osób przygryzło usta, czekając mojej
odpowiedzi, więc odrzekłem:

— Czasem i to nie pomaga. Ty wiesz naj-
lepiej, że miłość rozrywa wszelkie węzły.

Pani Korycka znieszała się, mimo całej pe-
wności siebie, ja zaś odniosłem jedno z takich
małych zwycięstw, o których opowiada się po
salonach z nieodłączną cytata przysłowia: «Tra-
fiła kosa na kamień!»

Czy ludzie powtarzają sobie, czy nie, że się
żenię z Klarą, jest mi to obojętne, a nawet dla
powodów, które wymienilem, wolę, że tak mó-
wią. Nie spodziewałem się jednak, że moje od-
wiedziny u Klary skończą się nieprzyjemnie
z powodu jej samej. Gdy ludzie porozchodzili
się i zostałem tylko ze Śniatyńskim, Klara po-
częła nam grać swój świeżo ułożony koncert,

rzeczywiście tak wspaniały, że nie mogliśmy znaleźć dość pochwał; tymczasem, powtórzywszy na nasze żądanie final, Klara rzekła nagle:

— To jest pożegnanie — bo wreszcie wszystko na świecie kończy się pożegnaniem.

— Przecie pani nie myśli nas opuścić? —

— Najdalej za dziesięć dni muszę być we Frankfurcie — odpowiedziała Klara.

Tu Śniatyński zwrócił się do mnie:

— Cóż ty na to, ty, który w Płoszowie karmieś nas nadzieją, że pani na zawsze z nami zostanie?

— I powtórzę raz jeszcze, że wspomnienie pani na zawsze z nami zostanie.

— Ja też to tak rozumiałam — odrzekła z naiwną rezygnacją Klara.

Mnie zaś porwała złość na siebie, na Śniatyńskiego i na Klarę. Nie jestem ani dość próżny, ani dość głupi, ani dość płaski, by mnie nad wszystko miał cieszyć każdy podbój; myśl więc o tem, że Klara może naprawdę kochać się we mnie i żywić nieuzasadnione nadzieje, była mi nad wyraz przykrą. Wiedziałem, że ona ma dla mnie jakieś nieokreślone uczucie, które w danym razie mogłoby się rozwinąć bardzo silnie, ale nie spodziewałem się, żeby to

uczucie śmiało czegoś żądać i czegoś się spodziewać. Przyszło mi nagle do głowy, że cała zapowiedź wyjazdu może być tylko chęcią sprawdzenia, jak ją przyjmę tę wiadomość. Przyjąłem ją więc jak najchłodniej. Miłość taka, jaką mam dla Anielki, powinna uczyć współczucia, tymczasem nie tylko smutek Klary i jej wzmianka o wyjeździe nie wzruszyły mnie, ale wydały mi się wprost zuchwałem uroszczeniem — i obrażą dla mnie.

Dlaczego? Przecie nie z żadnych względów rodowych. Daleki jestem od podobnego rodzaju poglądów. Na razie nie umiałem sobie zdać z tego sprawy, teraz jednak tłómaczę sobie to dziwne zjawisko moją przynależnością do Anielki, tak bezwzględną i wyłączną, iż wydaje mi się, że każda kobieta, żądająca odemnie choćby jednego tylko uderzenia serca, porywa się tem samem na własność Anielki. To tłómaczenie wystarcza mi.

Niewątpliwie pożegnam Klarę bardzo serdecznie, gdy będzie już w wagonie, ale ta przedwczesna zapowiedź wyjazdu napelnila mnie niesmakiem! Chyba jednej Anielce wolnoby było deptać bezkarnie po moich nerwach. Nigdy nie

patrzyłem na Klarę tak niechętnie i tak krytycznie, jak w tej chwili. Po raz pierwszy spostrzegłem, że obfitość jej kształtów, jej jasna cera, ciemne włosy, błękitne, zawypukłe oczy i usta koloru wiśni, słowem, że cała jej piękność przypomina niesmaczne obrazy, przedstawiające haremowe huryski, lub co gorzej, oel-druki, widywane w drugorzędnych hotelach. Wyszedłem od niej w jak najgorszym usposobieniu i udałem się wprost do księgarni, w której chciałem wybrać kilka książek dla Anielki.

Już od tygodnia myślałem nad tem, co by jej dać do czytania. Nie chciałem pominąć i tego środka, naprawdę jednak, nie przywiązuję do niego wielkiej wagi, gdyż działa on bardzo powolnie. Zauważyłem przytem, że dla naszych kobiet, mających nierównie bujniejszą fantazyę, niż temperament, książka pozostaje zawsze czemś nierzeczywistem. Jeśli nawet trafia na istotę bardzo wrażliwą, wytwarza w najlepszym razie w jej głowie jakiś świat oderwany, bezcielesny, nie mający najmniejszego związku z życiem praktycznem. Prawie żadnej z naszych kobiet nie przyjdzie do głowy, żeby pojęcia, poczerpnięte z książek, mogły być stosowane do osobistego postępowania. Jestem przekonany, że

gdyby jaki wielki i sławny autor usiłował dowieść Anielce, że na przykład, czystość myśli i duszy w kobiecie nie tylko jest zbyt dużą, ale ze stanowiska moralności wprost naganną — i co więcej — gdyby tego jakim cudem dowiódł, Anielka sądziłaby, że ta zasada stosować się może do całego świata, z wyjątkiem jej osoby.

Co najwyżej mogę się spodziewać, że czytanie odpowiednich książek oswoi Anielkę z pewnego rodzaju liberalizmem uczuć i myśli. Właściwie też nie życzę sobie niczego więcej. Kochając ją z całej duszy, pragnę, by odpowiedziała memu uczuciu, szukam do tego dróg, nie pomijam żadnej — i oto wszystko. Ja, który się nie okłamuję nigdy, powiadam sobie otwarcie: pragnę doprowadzić Anielkę do tego, by poświęciła męża dla mnie, ale nie chcę jej ani popsuć, ani zbrudzić. Niech mi nikt nie mówi, że jedno wyłącza drugie i że to jest sofizmat; ja i tak mam w sobie sceptycznego diabła, który dokucza mi i co chwila mówi: «Tworzysz teorye dla siebie; droga wiarołomstwa jest drogą zepsucia; gdyby ci było dogodniej, tworzyłbyś teorye przeciwne». Ile w tem męki! Ale oto, co odpowiadam memu diabłu: «O teoryach przeciwnych mógłbym równie dobrze wątpić; ob-

myślałam, co się da obmyśleć, na obronę mego kochania — bo to moje naturalne prawo. Drugiem, jeszcze większem naturalnem prawem, jest miłość. Bywają uczucia płaskie i pospolite, albo wyniosłe i niepowszednie. Kobieta, która idzie za głosem wielkiego uczucia, nie traci szlachectwa duszy, choćby była zameężna. Taką wielką, wyjątkową miłość pragnę właśnie wzbudzić w sercu Anielki i dlatego mogę powiedzieć, że jej nie chcę popsuć lub zbrudzić».

Wreszcie te rozprawy wewnętrzne nie prowadzą do niczego. Gdybym nawet nie miał najmniejszej wątpliwości, że źle czynię, gdybym nie potrafił dać ani jednej zwycięskiej odpowiedzi memu Chochlikowi, nie przestałbym wskutek tego kochać i poszedłbym zawsze za siłą większą, to jest postępowałbym tak, jakby mi nakazywało żywe uczucie, nie oderwane rozumowania.

Ale prawdziwem nieszczęściem analizujących i przeanalizowanych ludzi współczesnych jest to, że nie wierząc w rezultaty analizy, mają zarazem nieprzezwyćieżony nałóg badania wszystkiego, co w nich zachodzi. Tak jest i ze mną. Od pewnego czasu trapi mnie pytanie, jakim sposobem dzieje się, że ja, którego

istota jest pochłonięta przez uczucie, umiem być tak czujny, obmyślać tak wszystkie środki, mające mnie poprowadzić do celu, tak zdaję sobie z nich sprawę, jakbym to czynił na zimno, lub raczej jakby to czynił za mnie kto inny.

Oto, co mogę w tym względzie odpowiedzieć. Przedewszystkiem człowiek dzisiejszy zachowuje zawsze jakąś część duszy, której używa do obserwowania reszty. Prócz tego, cała ta zabiegliwość uczucia, pełna rozmysłu, obliczeń, nawet zasadzek, pozornie zimna, stoi właśnie w stosunku prostym do temperatury tegoż uczucia. Im ono jest gorętsze, tem silniej zmusza chłodny rozum do nateżonej służby. Bo, powtarzam jeszcze raz, że miłość źle sobie wyobrażają z zawiązanemi oczyma. Ona nie potłumia rozumu, tak dobrze, jak nie potłumia bicia serca lub oddychania — ona go tylko podbija. Rozum staje się wówczas pierwszym jej doradcą i narzędziem podboju; inaczej mówiąc, staje się Agrypą cezara Augusta. On trzyma wszystkie siły w rozbudzeniu, on prowadzi wojska, on odnosi zwycięstwa, on sadza swego władcę na tryumfalnym wozie, on wreszcie wznosi — nie Panteon, jak historyczny Agrypa — ale Mono-teon, w którym służy na kolanach jednemu

bóstwu cezara. W tym mikroskosmie, jakim jest człowiek, rola rozumu jest nawet większa, niż rola hetmana, on bowiem odbija do nieskończoności świadomość wszystkiego i siebie samego. Jak zbiór odpowiednio ustawionych zwierciadeł odbija do nieskończoności dany przedmiot.

1 Czerwca.

Wczoraj odebrałem wiadomość z Gasteinu. Mieszkanie dla pani Celiny i Anielki jest już najęte. Posłałem im zaraz tę wiadomość, wraz z całą paczką powieści George Sanda i Balzaca. Dziś jest niedziela, pierwszy dzień wyścigów. Ciotka przyjechała z Płoszowa i stoi u mnie. Oczywiście była na wyścigach i jest całkowicie nimi zajęta. Ale konie nasze: «Naughty-boy» i «Aurora», które już od dwóch dni przebywają, wraz z Webem i dżokejem Dżakiem Goose, w mojej stajni, biegają dopiero w następny czwartek, więc ten pierwszy dzień obchodził ciotkę tylko platonicznie. Natomiast trudno mi opisać, co się u nas wyrabia. Stajnie nasze zmieniły się w fortece. Ciotce się zdaje, że dżokeje innych hodowców drżą na samo wspomnienie «Naughty-boy'a» i że gotowi użyć wszelkich

środków, byle go uczynić niezdolnym do biegu lub osłabić, wskutek czego w każdym przekupniu pomarańcz lub katarzyniarzu widzi przebranego nieprzyjaciela, zakradającego się w złych zamiarach na nasze podwórze. Szwajcar w bramie i stróż domowy dostali najsurowsze polecenia, by zwracali uwagę na każdego wchodzącego. W stajni straż jeszcze pilniejsza. Trener Web, jako prawdziwy Anglik, zachowuje zimną krew, ale nieszczęśliwy Dżak Goose, który jest rodem z Burzan i którego nazwisko jest dosłownym przekładem z polskiego: Kuba Gąsior, traci zupełnie głowę; ciotka bowiem laje nieustannie i jego i dwóch innych stajennych, przybyłych również z Burzan dla pilnowania koni. Przesiadująca tak ciągle u «Naughty-boy'a», że ledwie ją widział i dopiero na odjezdnem powiedziała mi dobrą nowinę: pani Celina, która znów jest jakaś silniejsza, postanowiła, że Anielka koniecznie ma być na czwartkowych wyścigach. Sądzę, że pani Celina domyśliła się, iż ciotce będzie to przyjemnie, zresztą, ona doskonale może pozostać przez jeden dzień pod opieką panien służących i doktora. Anielka zaś, która siedzi jak zamurowana w Płoszowie, potrzebuje rzeczywiście jakiejś rozrywki. Dla mnie to ra-

dość wielka. Sama myśl, że ona będzie pod moim dachem, ma dla mnie dziwny urok. W tym domu poczęłam ją kochać, a może i jej serce uderzyło żywiej dla mnie po raz pierwszy także tu, po owym wieczorze, który ciotka dla mnie wydała. Wszystko będzie jej tutaj przypominało te chwile.

2 Czerwca.

Dobrze, że nie kazałem jeszcze przerabiać sał na muzeum. Przyszło mi do głowy prosić po wyścigach kilka miłych Anielce osób na obiad. Tym sposobem zatrzymam ją o parę godzin dłużej pod moim dachem — a przytem ona zrozumie, że to będzie obiad dla niej, na jej cześć.

3 Czerwca.

Zakupiłem morze kwiatów; kazałem ubrać nimi całe schody i dwie sale. Pokój Anielki został zupełnie taki, jakim był w czasie, gdy ona go zajmowała. Przypuszczam, że te panie przyjadą rano i że Anielka zechce się przebrać w nim na wyścigi; kazałem więc postawić tam duże zwierciadło i urządzić całą gotownię kobiecą. Anielka wszędzie spostrzeże dowody

mej troskliwości, pamięci i uczucia. Teraz dopiero, pisząc, spostrzegam się, o ile mi jest lepiej, gdy się czemśkolwiek zajmuję, gdy mnie jakieś zewnętrzne czynności wyrywają z błędnego koła refleksyi i rozmyślania nad samym sobą. Sądzę, że wbijanie w ścianę gwoździ, na których mają wisieć obrazy w przyszłym muzeum, byłoby więcej warte od tego wewnętrznego obwijania jednej myśli naokół drugiej. Czemu ja już nie mogę być człowiekiem prostym! Gdybym nim umiał być w swoim czasie, byłbym dziś jednym z najszcześliwszych ludzi na świecie.

4 Czerwca.

Byłem dziś z zaproszeniem u Śniatyńskich i u kilku innych osób. Śniatyński, zgodnie z mojem życzeniem, rozpuścił już na cztery strony świata wiadomość, że sprowadzam zbiory ojcowskie do Warszawy i urządzam dostępne dla publiczności muzeum. Jestem bohaterem dnia. Wszystkie dzienniki rozpisują się o tem, dając przy sposobności odpowiednią lekcję ludziom możliwym, «którzy trwonią czas i pieniądze za granicą» etc. Tak znam ich styl i sposób pisania, że przewidziałem z góry, co napiszą, po-

czawszy od treści, a skończywszy na takich frazesach, jak «noblesse oblige» i t. p. Ale wszystko to jest mi na rękę. Zebrałem całą paczkę gazet, by pokazać je ciotce i Anielce.

5 Czerwca.

Wyścigi przyspieszono o dzień z powodu jutrzejszego święta. Anielka i ciotka przyjechały dziś rano w towarzystwie pokojowej i całego stosu pudeł, zawierających wyścigowe tualety. Pierwszy rzut oka na Anielkę wzruszył mnie i przestraszył. Znalazłem, że zmizerniała bardzo; policzki jej pobladły, straciła swój dawny ciepły koloryt, zeszczupełniała i było w niej coś mglistego, co mi przypomniało postacie Puvis'a de Chavannes. Ciotka i matka jej nie widzą tego, bo są ciągle z nią razem, ale dla mnie, po kilku dniach niebytności w Płoszowie, różnica już jest wyraźna. Ogarnia mnie skrucza i serdeczna litość. Oczywiście, że przyczyną tego wszystkiego jest rozterka i walka wewnętrzna w jej sercu. Gdybyż ona chciała ją rozstrzygnąć, gdybyż chciała pójść za głosem tego serca, które jest moje, po sto razy moje i które przemawia za mną — skończyłby się jej niepokój, a zaczęło szczęście.

Ja zapadam coraz głębiej w moje piaski

chlonać. Zdaje mi się przecie, że znam każdy szczegół, każdy najdrobniejszy rys twarzy Anielki i że wyobrażam ją sobie, gdy jej nie widzę, jakby żywa stała przedemną, a jednak za każdym razem, ujrzawszy ją po kilku dniach rozstania, odkrywam w niej jakiś nowy urok i znajduję nowe upodobanie. Nie umiem nawet wypowiedzieć, do jakiego stopnia ona zadawała mi estetycznie, jak głęboko odczuwam, że to jest mój rodzaj, moja piękność, moja kobieta. To odczuwanie daje mi jakąś wpół mistyczną, wpół zbliżoną do przyrodniczej hipotezy wiarę, że natura przeznaczyła ją dla mnie. I teraz, gdym usłyszawszy turkot powozu na dziedzińcu, zbiegł na dół, by powitać te panie, doznałem znów owego wrażenia, którebym nazwał oddawaniem się w moc jej urokowi; znów rzeczywistość wydała mi się doskonalszą od obrazu, jaki nosilem w duszy.

Anielka ubrana była w lekki, podróżny płaszczyk z surowego jedwabiu; kapelusz jej okręcała długa, szara woalka, zawiązana à l'anglaise pod brodą i z tych szarych ramek uśmiechała się jej śliczna, droga twarz, zawsze podobniejsza raczej do twarzy dziewczynki, niż zameężnej kobiety. Przywitała mnie niezwykle wesoło

i serdecznie; widocznie ranna przejażdżka i nadzieja zabawy wprowadziła ją w dobre usposobienie; napelniło mnie to radością, bom pomyślał, że ją jednak cieszy mój widok, a Płoszów bezemnie wydaje jej się pusty i nudniejszy. Jako gościnny gospodarz, podałem jedno ramię ciotce, drugie Anielce, na co zresztą szerokość schodów pozwala, i poprowadziłem je na górę. Na widok wspaniale przybranych kwiatami schodów, ogarnęło je wielkie zdziwienie, ja zaś rzekłem:

— To jest moja niespodzianka...

Tu przycisnąłem nieco ramię Anielki, ale tak lekko, że mogło to ująć za ruch przypadkowy i mimowolny, następnie zwróciłem się do ciotki:

— Daje obiad dla uczczenia zwycięstwa rodziny Płoszowskich.

Ciotkę rozczulila bardzo moja intencya. Ach, gdyby wiedziała, jak mało mnie obchodził w tej chwili «Naughty-boy» i wszystkie zwycięstwa, jakie konie Płoszowskich mogły odnieść na turfach całej Europy! Anielka za to odgadła widocznie, co należy myśleć o moich intencjach, była jednak w tak ożywionem usposobieniu, że

spojrzawszy na mnie przelotnie, przygryzła w uśmiechu usta.

Ja zaś małym nie stracił głowy. Zdawało mi się, że widzę w Anielce odcień jakiejś wesolej kokieteryi, którego nie było w niej dotąd. Niepodobna, pomyślałem sobie, żeby ona nie miała całkiem miłości własnej, żeby jej to ani trochę nie pochlebiali, iż wszystko, co czynię, czynię dla niej i przez nią.

Tymczasem ciotka, zdjawszy płaszcz od kurzu, poszła oglądać «Naughty-boy'a» i «Aurorę», ja zaś podałem Anielce listę zaproszonych na obiad osób i rzekłem:

— Staralem się wybrać tylko miłych ci ludzi, ale jeśli jeszcze każesz kogo zaprosić, natychmiast wyślę zaproszenie, albo sam pojedę.

— To cioci pokaż — odpowiedziała Anielka — niech ciocia wybiera.

— Nie. Ciotka będzie siedziała na pierwszym miejscu i będziemy do niej przychodzili z życzeniami lub kondolencją, a rolę gospodyni w tym domu przeznaczyłem tobie.

Anielka zaczerwieniła się nieco i chcąc zwrócić rozmowę, rzekła:

— Mój Leonie, czy aby ten «Naughty-boy»

wygra, bo ciocia tak na to liczy i tak jej o to chodzi?

— Jam już wygrał, bo mam takiego gościa, jak to stworzenie, które oto siedzi przedemną.

— Ty sobie żartujesz, a ja doprawdy boję się.

— Ciotka, widzisz — odrzekłem poważniej — nawet w razie przegranej, będzie miała jedną wielką pociechę. Moje zbiory za jakie kilka tygodni będą już w Warszawie, a to było jej marzenie od lat kilkunastu. Jeszcze ojca namawiała na przeniesienie ich do kraju bardzo usilnie. Już wszystkie gazety rozpisują się o tem — i co za pochwały czytałem o sobie — to trudno wypowiedzieć.

A jej droga twarz rozjaśniła się w jednej chwili.

— Pokaż, przeczytaj! — rzekła.

Miałem ochotę całować ją po rękach za ten przeblysk radości. Był to dla mnie nowy dowód. Przecie, gdybym jej był zupełnie obojętny, nie cieszyłyby ją tak pochwały dla mnie.

— Nie — odrzekłem — przeczytam, jak ciotka wróci, a raczej poproszę ją, żeby sama przeczytała, ja zaś schowam się przez ten czas za ciebie, bo będę miał niemądrą minę, a prze-

dewszystkiem nie chcę, żebyś ty moją niemądrą minę widziała.

— Dlaczego masz mieć niemądrą minę?

— Dlatego, że wszystko to nie moja zasługa, tylko twoja. Te pochwały tobie się należą. Co-
bym dał za to, żebym mógł powiedzieć panom
dziennikarzom: «Jeśli to uważacie za tak wielką
rzecz, to jedźcie gremialnie do Płoszowa i tam
klękniecie u pewnych nóżek...»

— Leonie! Leonie! — przerwała Anielka.

— Cicho, małe nic-dobrego, bo i ja to zro-
bię i nie wstanę pierwiej, póki nie przyznasz,
że to twój wpływ.

Anielka sama nie wiedziała, co ma odpowie-
dzieć. Słowa moje były wprawdzie mową czło-
wieka zakochanego bez pamięci, ale ten ton
swobodny, żartobliwy i wesoły, wytwarzał pe-
wnego rodzaju nastrój, wobec którego tragiczne
przyjmowanie tego, com mówił, było wprost nie-
możliwe.

Ja zaś rad byłem z tego nowego sposobu, bo
widziałem, że za pomocą niego można dużo wy-
powiedzieć i dużo wyznań wcisnąć.

Nie chcąc go jednak ani nadużywać, ani
przeciągnąć, począłem w tej chwili mówić po-

ważniej o zmianach, jakie zamierzam wprowadzić w domu.

— Całe piętro przeznaczam na pomieszczenie zbiorów — rzekłem — z wyjątkiem tego jednego pokoju, w którym ty zaprzeszłej zimy mieszkałaś. Ten zostanie, jak był. Pozwoliłem go sobie tylko trochę dziś przyozdobić na twoje przyjęcie.

Tak mówiąc, poprowadziłem ją ku drzwiom. Anielka, stanąwszy w progu, nie mogła powstrzymać okrzyku:

— Ach! co za kwiaty!

Ja zaś powiedziałem zeicha:

— Tyś sama kwiat, najpiękniejszy w świecie...
Poczem dodałem poważnie:

— Ty mi przecie, Anielko, wierzysz, gdy ci mówię, że tu chcę kiedyś umrzeć.

Och! ile było szczerości w tem, com powiedział. Twarz Anielki zaszła jakby mgłą; radość jej zgasła. Widziałem, że ją słowa moje wzruszyły bardzo, jak wzrusza każdy prawdziwy krzyk serca. Przez jedno mgnienie oka, jej głowa, ramiona i piersi zadrgały, jakby jakaś siła, stanąwszy za nią, popchęła ją nagle ku mnie. Ale ona oparła się jeszcze tym razem. Chwilę stała

przedemną z oczyma nakrytemi przez powieki, wreszcie rzekła z jakąś smutną powagą.

— Pozwól mi być z tobą swobodną. Nie zasnucaj mnie.

— Dobrze, Anielko — rzekłem — układ zawarty, oto moja ręka!

I wyciągnąłem ku niej dłoń. Anielka oddała mi uścisk tak silnie, jakby nim chciała wypowiedzieć wszystko, czego zabroniła powiedzieć ustom. Nagrodził on mi też tysiącrotnie wszelkie słowa i upoił mnie tak, iż ledwie się na nogach nie zachwiał. Po raz pierwszy od czasu mego powrotu, uczulem wyraźnie, że oto obejmuję w posiadanie tę istotę, wraz z jej duszą i ciałem. Było to wrażenie szczęścia tak niezmierzonego, iż łączył się z niem jakiś strach. Otwierał się przedemną nowy, nieznany świat. Jestem od tej chwili przekonany, że opór jej, to tylko kwestya niedługiego czasu i mojej odwagi.

Ciotka wróciła ze stajen w różowem usposobieniu; żaden zamach na szacowne zdrowie «Naughty-boy'a» nie miał miejsca. Trener, Web, na wszystkie pytania ciotki, znajdował tylko jedną odpowiedź: «All right» — Dżak Goose pełen animuszu. Poszliśmy do okien, by widzieć,

jak przyszłego zwycięzcę będą wyprowadzali ze stajni, zbliżała się bowiem chwila w której miał wyruszyć na pole Mokotowskie i tam dreptać w kółko, czekając na swoją kolej. Jakoż po kilku minutach ujrzelśmy, jak dwaj stajenni wyprowadzili go na dziedziniec, ale oczy nasze nie bardzo mogły się nasycić pięknością jego kształtów, był bowiem jakby zaszyty w pokrowiec. Tylko przez otwory, powycinane w kapie, widać było jego wielkie, łagodne oczy, z pod dolnego obrębu zaś wysuwały się jego sprężyste nogi, które istotnie zdawały się być ze stali wykute. Za nim postępował Web, w końcu zaś nasz domorosły, mały Anglik, Dżak Goose, przybrany w nowy surdut, pokrywający kurtkę i w dżokejskie buty. Na drogę krzyknąłem mu przez otwarte okno:

— A nie daj się tam Kuba!

On zaś zdjął czapkę i ukazując nią na «Naughty-boy'a», odpowiedział wesolo, najczystszym, nie londyńskim, ale burzańskim akcentem:

— Bedom, prosę jaśnie hrabiego, widzieli, ale ino jego zad!

Zasiedliśmy do śniadania, które odbywało się pośpiesznie; ciotka jednak znalazła dość czasu, by przy czarnej kawie przeczytać, co mówią

dzienniki o sprowadzeniu zbiorów ojca do Warszawy. Dziwna rzecz, jak kobiety są wrażliwe na wszelką publiczną pochwałę dla bliskich im mężczyzn. Ciotka aż zakwitła z radości — i była wprost nieoszacowana, gdy przerywając co chwila czytanie, spoglądała po przez okulary na mnie z uwielbieniem, na Anielkę z bacznością — i od czasu do czasu mówiła dogmatycznym tonem:

— Nic nie przesadzili! Zawsze był taki!

Ja dziękowałem tylko Bogu, że nie było przy tem jakiego mężczyzny sceptyka; w takim razie naprawdę miałbym niemądrą minę.

Nadeszła godzina ubierania się pań. Na odchodnem ciotka, ułożywszy jak można najobjętniejszą twarz, rzekła.

— Musimy się spieszyć, bo obiecałam małej Zawilowskiej, że ją wezmę na wyścigi; miała jechać z ojcem, ale on parę dni temu miał atak pedogry.

To rzekłszy, wyszła; my z Anielką spojrzeliśmy po sobie; kąciki jej ust podniosły się w chytrym uśmiechu, a ja rzekłem:

— Anielu, nowe swaty!

Ona zaś przyłożyła palec do ust, niby ostrzegając mnie, że zagłośno mówię i znikła w swo-

im pokoju, ale po chwili śliczna jej główka znów wychyliła się przezedrzwi.

— Przypomniałam sobie, żeś nie zaprosił panny Hilst! — rzekła.

— A nie zaprosilem.

— Dlaczego?

— Bo ja ją kocham w ukryciu — odrzekłem, śmiejąc się.

— Nie: czemu jej nie zaprosiłeś?

— Jeśli chcesz, to jeszcze to uczynię.

— Jak ty wolisz — odpowiedziała, chowając się napowrót.

Ja zaś wolalem nie zapraszać panny Hilst.

W godzinę później ruszyliśmy w Aleje Belwederskie. Anielka była ubrana w kremową suknię, strojną koronkami. Tak nauczyłem się wypowiadać jej wszystko oczyma, że czytała w nich wyraźnie mój zachwyt; poznałem to z jej twarzy, nawpół rozpromienionej, nawpół zakłopotanej. Po drodze zatrzymaliśmy się przed willą państwa Zawilowskich, zaledwie jednak miałem czas zadzwonić, gdy drzwi otworzyły się i panna Helena, przybrana w szaro-srebrzystą suknię, stanęła, a raczej przebiegła koło mnie w całym swym majestacie, zaledwie kiwnąwszy mi głową. Jestto więcej brzydka, niż ładna blon-

dynka, o zimnych, blado-niebieskich oczach, twarzy bez uśmiechu i układzie nadzwyczaj ceremonialnym. Uchodzi ona za wzór dystynkcji, na coby się chętnie zgodził, gdyby dystynkcya oznaczała to samo, co sztywność. Obejście się jej ze mną jest równie zimne, jak jej oczy, a nawet nadto zimne, by mogło być szczere. Jestto poprostu metoda, obrachowana na podrażnienie mej miłości własnej — i obrachowana głupio, bo mnie nudzi, nie drażni i dzięki jej, zajmuję się panną Zawilowską tyle tylko, ile tego grzeczność wymaga.

Dziś jednak zajmowałem się nią nieco więcej, miała bowiem odegrać rolę ochronnego konduktora, to jest przyciągać ciekawość i odwracać przypuszczenia, jakieby widok Anielki, siedzącej ze mną w jednym powozie, mógł ludziom nasunąć. Niebawem ruszyliśmy dalej, ale zwolna, dzień był bowiem pogodny i mnóstwo osób jechało na wyścigi, tak, że nie można było dojrzeć końca powozów. Przed sobą i za sobą widziałem rzekę parasolek, co było naprawdę ładne, barwy ich bowiem grały bardzo silnie w słońcu, pod niemi zaś tworzyły się kolorowe cienie, z których wychylały się głowy kobiece o rysach delikatnych i wykończonych. Stosunkowo

dużo było twarzy ładnych, ale brakło im temperamentu; nie widziałem go nawet u tych pań ze świata finansowego które zresztą, jak wiele innych rzeczy, tak i temperament raczej udają, niż mają w rzeczywistości. Ale te otwarte powozy, tu i owdzie charakterystyczne zaprzęgi, przeważnie jasne toalety, mieniące się w powietrzu na tle zieloności drzew — to wreszcie nagromadzenie wykwintnych ludzi i wykwintnych koni, nadawało pochodowi wysoce ucywilizowany, a nie pozbawiony przytem małowniczności pozór. Cieszyło mnie to, że Anielkę ów ruch i tłok widocznie bawił i sprawiał jej przyjemność. Odpowiadając na moje uwagi, spoglądała na mnie z pewną wdzięcznością, jakbym to ja przygotował jej tę rozrywkę. Siedząc naprzeciw, mogłem na nią swobodnie patrzeć, częściej jednak zwracałem się do panny Zawilowskiej, od której stale szedł zamróz, jak od karafki «frapowanej» wody, i która poczęła mnie poprostu bawić, zdawało się bowiem, iż jeśli odpowiada na moje pytania i zgadza się na moje towarzystwo — czyni to tylko przez dobre wychowanie i wysoką towarzyską uprzejmość. Stałem się dla niej tembardziej nadskakujący, ale z pewnym odcieniem dobrego humoru, który

w końcu począł ją drażnić. Dojechaliśmy nareszcie na Mokotowskie pola. Dla powozu ciotki zachowano zwykle miejsce przy trybunie — i wnet różni moi znajomi z kartami na kapeluszach, przyszli powitać ją i powinszować dzielnej i obiecującej postawy «Naughty-boy'a.» Jeden z najznakomitszych hodowców powiedział ciotce, że koń jest wspaniały, ale może niedostatecznie trenowany, że jednak w nocy deszcz padał i turf jest miękki, więc tak silny rumak, jak «Naughty-boy», ma za sobą wszelkie dane. Zdawało mi się, że mówił to z ironią i trochę się zaniepokoiłem, klęska bowiem «Naughty boy'a» byłaby zepsuciem dnia ciotce i pośrednio mnie — albowiem jej zły humor zwarzyłby nam zabawę. Tymczasem poszedłem wzdłuż powozów, oglądając po drodze pole i wyszukując znajomych. Ludzi było pełno, trybuny wyglądały, jak jedna zbita ciemna masa, na której suknie kobiece tworzyły jaskrawe plamy. Całe szranki obwiedzione były grubym pierścieniem widzów. Wał miejski czernił się także od ciekawych. Po obu stronach trybuny ciągnęły się jakby dwa skrzydła, dwa nieskończone szeregi powozów, z których każdy, osobny wzięty, wyglądał jak kosz, napełniony kwiatami.

O jakie sto kroków od trybuny spostrzegłem w powozie zawadyacki nosek i różową twarz pani Sniatyńskiej. Gdym się do niej zbliżył dla powitania, powiedziała mi, że mąż jej poszedł szukać panny Hilst, poczem jednym tchem zadała mi następne pytania: jak się ma ciotka i pani Celina? czy Anielka jest na wyścigach? jakim sposobem te panie wyjadą do Gasteinu, skoro pani Celina nie może wstawać? czy «Naughty-boy» wygra, co będzie, jeśli przegra i ile osób będzie u mnie na obiedzie? Przez ten czas, stojąc przy jej powozie, zauważyłem, iż ma wyjątkową słodycz w wyrazie oczu i prześliczną nogę, ale chcąc odpowiedzieć na jej pytania równie hurtownie, jak były zadane, musiałbym chyba mieć, jak mówi Szekspirowska Rozalina, usta Gargantuy. Odpowiedziawszy piąte przez dziesiąte i poprosiwszy, by po wyścigach przyjechali oboje z mężem wprost do mnie, poszedłem także, śladem Śniatyńskiego, szukać Klary, sądziłem bowiem, że wypada mi zbliżyć się do powozu. Pokazało się, że stoi on niedaleko od ciotecznego. Klara wyglądała, jak pagórek, pokryty heliotropami. Znalazłem ją otoczoną przez artystów i melomanów i rozmawiającą z nimi wesoło. Na mój widok zasępiła

się nieco i przyjęła mnie z pewną oziębłością, ale taką, która czeka tylko na jakieś cieplejsze, przyjazne słowo, by zmienić się w wielką serdeczność. Ja pozostałem jednak chłodny; po kwadransie równie grzecznej, jak ceremonialnej rozmowy, poszedłem dalej i zamieniwszy w drodze po parę słów z innymi znajomymi, wróciłem do naszego powozu, albowiem dwie pierwsze gonitwy odbyły się przez ten czas i nadeszła kolej na «Naughty-boy'a.»

Spojrzałem na ciotkę: wyraz jej twarzy był uroczysty; widać jednak było, że usiłuje zachować zimną krew. Za to na twarzy Anielki odbił się wyraźny niepokój. Oczekiwaliśmy dość długo na ukazanie się koni, bo przy wadze marudzono jakoś niezwykle. Tymczasem nadbiegł Śniatyński, zdaleka już wymachując swemi długimi rękoma i pokazując bilety, zakupione w totalizatorze.

— Postawiłem miliony za «Naughty-boy'em» — zawołał — jeśli mnie zdradzi, obciążam hipotekę Płoszowa.

— Mam nadzieję — zaczęła z godnością ciotka — że pan...

Lecz nie skończyła, bo w tej chwili ponad ciemną masę ludzi zebranych w okolicach try-

buny, wykwitły różnobarwne kurtki dżokejskie. Wyprowadzano konie na tor. Jedne z nich, wydostawszy się na wolną przestrzeń, puszczały się natychmiast w cwał ku miejscu, skąd gonitwa miała nastąpić; inne szły wolnym spokojnym krokiem. Po dokonanym starcie, jeźdźcy, ruszywszy, przegalopowali koło nas zbitą gromadą i niezbyt szybko, bieg bowiem miał być podwójny i musieli oszczędzać siły koni. Ale już na drugim skręcie szereg ów rozciągnął się w łańcuch. Robiło to takie wrażenie, jakby wiatr rozwiał kupkę płatków kwiatowych wzdłuż po drodze. Na przodzie biegł dżokej ubrany całkiem biało, za nim niebieski z czapką i rękawami czerwonymi, za nim dwaj równo, jeden cały czerwony, drugi czerwony z żółtem — pomarańczowy zaś nasz Kuba zajmował przedostatnie miejsce, mając tuż za sobą jeźdźca, przybranego w barwę białą z błękitną. Porządek ten nie utrzymał się jednak długo. Gdy bieg doszedł do przeciwległego obrębu koła, w powozach uczynił się ruch; ciekawsze panie poczęły wstępować na poduszki powozów, by nie utracić żadnego epizodu gonitwy; za ich przykładem poszła i ciotka, która widocznie nie mogła już dłużej wysiedzieć.

Anielka odstąpiła swe miejsce pannie Zawilowskiej, która po krótkich ceremoniach stanęła obok ciotki, ja zaś umieściłem Anielkę na przednim siedzeniu, ponieważ jednak nie miała przed sobą oparcia, więc stanąwszy obok niej, podtrzymywałem ją za rękę. Wyznaję, że w tej chwili mniej myślałem o gonitwie, niż o tem, że ta delikatna, kochana ręka spoczywa w mojej i nie cofa się. Plecy ciotki zasłaniały mi nieco widok — lecz wspiąwszy się na palce, ogarniałem wzrokiem całe blonie i dżokejków, dochodzących do zawrotu na drugiej stronie blonia. Widziani zdaleka, byli podobni do jakichś jasno-kolorowych żuków, lecących przez powietrze. Bieg z tej odległości wydawał się powolnym, a rzuty przednich i zadnich nóg końskich miały w sobie coś mechanicznego. Cały ten mieniący się wąż, mimo pozornej powolności, zostawiał jednak za sobą szybko przestrzeń. Porządek jeźdźców był już znowu zmieniony. Na przodzie biegł zawsze biały dżokej, za nim czerwony, nasz jednak Kuba zajmował trzecie miejsce. Inni pozostali daleko i przestrzeń, dzieląca ich od przodowników, zwiększa się z każdą chwilą. Widocznie «Naughty-boy» nie należał do koni najgorszych. Na chwilę straciłem ich z oczu,

ale ujrzałem ich znów, gdy przebiegli blisko nas. Czerwony jeździec doganiał tuż tuż białego — ale Kuba był jeszcze bliżej od obydwóch. Wiedziałem teraz, że biały musi zostać, bo jego koń miał już boki tak mokre i świecące, jakby oblane wodą. Czerwony był bardzo groźny, pomyślałem jednak, że w najgorszym razie «Naughty-boy» weźmie drugą nagrodę i klęska nie będzie zupełną. Dodalo mi otuchy i to, że szedł on z taką flegmą, wyrzucał nogi tak spokojnie i miarowo, jakby odrabiał jakąś codzienną pracę. Zajęcie w widzach wzrastało z każdą chwilą.

— «Naughty-boy» przegrał? — spytała mnie cicho Anielka, widząc porządek, w jakim konie przebiegły koło trybuny.

— Nie, kochanie. Muszą jeszcze jeden krąg zrobić — odpowiedziałem, ściskając jej z lekką ręką.

A ona jej znów nie cofnęła. Prawda, że cała jej uwaga pochłonięta była przez gonitwę. W chwili, gdy konie ukazały się po za bokiem drogi, zasłoniętym dla nas przez trybunę, Kuba był już drugi; koń białego dżokeja wyczerpywał się tak, że i trzej pozostali w tyle jeźdźcy poczęli go doganiać. Widocznem już było dla

wszystkich, że walka rozstrzygnie się tylko między czerwonym a pomarańczowo-czarnym. Kuba zbliżył się jeszcze do czerwonego i tak, rozdzieleni przestrzenią pięciu lub sześciu koni, obiegli znaczną część pola. Nagle szmer na trybunach zapowiedział nam, że dzieje się coś niezwykłego. Spojrzałem: Kuba doganiał stanowczo swego przeciwnika. Szmary na trybunach zmieniły się w gwar. Anielkę tak dalece porwała zabawa, że sama teraz poczęła ścisnąć nerwowo moją rękę, pytając co chwila: «Co tam? co tam?» Jeźdźcy byli już z lewej strony pola. Czerwony znów, za pomocą kilku uderzeń spicrutą, wysunął się naprzód, lecz «Naughty-boy» sięgał go niemal nozdrzami. W szalonym pędzie wbiegli obaj na linię trybuny, na której znów straciliśmy ich początkowo z oczu. Walka za kilka sekund miała się rozstrzygnąć. Na trybunach zapadła chwilowa cisza, która w mgnieniu oka zmieniła się w okrzyki. Mnóstwo osób biegło pieszo ku sznurom, osłaniającym drogę i w tej chwili ujrzelśmy czerwone chrapy, łeb koński, z wyciągniętą jak struna szyją, nad nią zaś pomarańczowo-czarne barwy, niesione jakby wichrem. Dzwonek ozwał się na trybunie — zwycięstwo było po naszej stronie.

Czerwony dżokej został na odległość kilkunastu koni.

Muszę oddać ciotce sprawiedliwość, że zachowała zimną krew; na czole jej tylko ujrzałem kilka kropel potu, które poczęła wachlować chustką. Anielka była wzruszona, rozbawiona do najwyższego stopnia i szczęśliwa. Oboje poczęliśmy składać ciotce życzenia, a nawet i panna Zawilowska wypowiedziała kilka francuskich frazesów, jak gdyby wyjętych z rozmów pani Boquel. Wkrótce znajomi otoczyli nasz powóz i tryumf ciotki był zupełny.

Ja byłem także upojony temi uściśnieniami dłoni, które otrzymałem od Anielki. Próżno sobie mówiłem, że mogły być one nieświadome, bo znów przychodziło mi na myśl, że częstokroć opór kobiecy, gdy się ma przesilić, to przesila się zwykle w chwilach podniecenia i zapamiętania, czy to z powodu zabawy, czy pięknych widoków, czy jakichkolwiek innych okoliczności, odmiennych od pospolitych warunków życia. Przychodzi wtedy pewne rozkołysanie się nerwów, wobec którego utrata codziennej równowagi jest łatwa do zrozumienia. Wziąwszy w rachubę podobny właśnie stan Anielki, doszedłem do przekonania, że ona już przestaje

walczyć z ogarniającem ją uczuciem i postanowilem być stanowczym.

Przypuszczam, że w Płoszowie nie zabraknie sposobności. Jutro tam wracamy. Dzisiejszy mój obiad, rozmowy i zabawa odegrały rolę dalszych kropel narkotyku. Ona nawet nie przypuszcza, ile czeka nas oboje szczęścia — musi mi tylko oddać na to swoją duszę zupełnie, bez zastrzeżeń i granic.

Lubo ciotka ostrzegła panią Celinę, że może zostanie z Anielką do jutra w Warszawie, mieliśmy wracać jeszcze dziś, po moim obiedzie, tymczasem zaszedł wypadek, który nas powstrzymał. Obiad z następną po nim herbatą, przeciągnął się do dziesiątej, w chwili zaś, gdy ostatni goście wyjechali, dano znać, że «Naughty-boy» zachorował. Zrobił się wielki zamęt. Zanim posłano po weterynarza i zanim go znaleziono, była północ. Ciotka ani chciała myśleć o wyjeździe.

Anielka miała ochotę wracać, ale spostrzegła, że chwycę się lada pozorów, by ją odwieść do Płoszowa — ona zaś jeszcze się boi. Ciotka powiedziała jej, że wróciwszy tak późno, rozbudzi cały dom i matkę, a wreszcie rzekła:

— Leon nie ma mi za złe, że ja zawsze

uważam, iż jestem tu u siebie, więc i ty jesteś u mnie. Tak samo, gdybym mu oddała Płoszów, i samaby w nim mieszkała dalej i was nie puściła, póki Celina nie wyzdrowieje.

To ostatecznie skłoniło Anielkę do pozostania.

Teraz jest godzina trzecia w nocy. Widno już, ale na dziedzińcu i koło stajen migają do-
tąd latarki ludzi, chodzących koło «Naughty-
boy'a». Ciotka, gdyśmy się rozchodzili, mówiła
że jeszcze przez dzień zostaje w Warszawie.
Jam oświadczył, że zostawilem ważne papiery
w Płoszowie, pojedę więc po nie, a zarazem
odwiozę Anielkę. Będziemy sami i nie będę wa-
hał się dłużej. Wszystkie krew napływa mi do
serca na myśl, że może odwiozę tę ukochaną
istotę przytuloną do moich piersi i usłyszę jej
wyznanie, że mnie tak kocha, jak ja ją ko-
cham.

Chmurno i dżdżysto, ale dnieje coraz bar-
dziej. Zaledwie kilka godzin oddziela mnie od
tej chwili, w której zacznę nowe życie. Oczy-
wiście nie śpię i nie mógłbym zasnąć za nic
w świecie. Najmniejsze znużenie nie ciąży mi
na powiekach. Piszę i rozpamiętywam. W dłoni
czuję jeszcze ciepło jej ręki i drżenie jej pal-
ców, które się nie cofały z uścisku. Jam urobił

tę duszę, wychowałem ją, rozwinąłem i przygotowałem dla miłości; jestem, jak wódz, który wszystko przewidział, obmyślił, wyrachował, ale który nie śpi przed dniem, mającym jego los rozstrzygnąć.

Anielka za to śpi tam, po drugiej stronie domu — i wierzę, że nawet sen jej pracuje dla mnie; być może, iż widzi mnie we śnie i wyciąga ku mnie ręce. Mrowie przechodzi mnie, gdy myślę o tem.

W tem morzu zła, głupstw, niepewności i zwątpień, jakim jest istnienie, jedna rzecz jest warta życia, niewątpliwa, mocna jak śmierć — to miłość. Nic niema po za nią...

6 Czerwca.

Odwiozłem dziś Anielkę, a teraz zadaję sobie pytanie, czym nie zwaryowałem? Nie! nie przywiozłem jej w ramionach, nie słyszałem jej wyznań! Zostałem odepchnięty tak bez wahania, z takim krwawym oburzeniem wstydu, że zostało ze mnie nic! Co to jest? Czy ja nie mam rozumu, czy ona nie ma serca? Z czem ja walczę? o co się rozbilem? Dlaczego ona mnie odpycha? W głowie mej zrobił się taki chaos, że nie mogę myśleć, pisać, rozumować — tylko

powtarzam ciągle pytanie: o co ja się robijam?

7 Czerwca.

Popelnilem w czemś jakąś niezmierną pomyłkę, czegoś w tej kobiecie nie dostrzegłem i nie obrachowałem. Przez dwa dni starałem się zrozumieć to, co mnie spotkało, miałem jednak taki chaos w głowie, że nie mogłem myśleć. Teraz zbieram całą zinną krew i całą przytomność, by się rozpatrzeć w położeniu. Byłoby ono bardzo jasne, gdyby Anielki broniła miłość do męża; wówczas rozumiałbym ten obrażony wstępn i oburzenie, z jakim ta istota, tak łagodna i potulna, odtrąciła mnie od swych kolan. Ale tego dopuścić nie mogę. Tyle jeszcze mózgu zostało mi w głowie, by pamiętać, że widzieć rzeczy zbyt czarno jest takim samym błędem i głupstwem, jak widzieć je zbyt różowo. Skąd się miała wziąć w niej miłość dla Kromickiego? Obrachujmy wszystko jeszcze raz. Poszła za niego bez miłości; czas, który spędzili razem, obracał na podchodzenie jej zaufania; sprzedał jej rodzinny kąt, przez co przyczynił się do choroby jej matki. Nie mają dziecka. Zresztą dziecko nie uczy kobiety kochać

więcej męża, uczy ją tylko brać go więcej w rachubę, zabezpiecza go, inaczej mówiąc: zacieśnia związek rąk, nie serc. Anielka nie należy także do rzędu kobiet, w których miłość wybuchła nagle, jak płomień po ślubie, bo takie kobiety albo bardziej tęsknią za mężem, albo łatwiej biorą kochanka. Wypowiadałam to tak szorstko, że samemu sobie sprawiam ból, ale po co mam się oszczędzać? Ostatecznie jestem przekonany, że Anielka nie ma dla Kromickiego żadnego, zbliżonego nawet do miłości uczucia, a co więcej nie ma i szacunku; nie pozwala sobie tylko na pogardę — i oto stan jej duszy. Uważam to wszystko za dowiedzione raz na zawsze, inaczej byłbym ślepym.

Jeśli jej serce było w tej chwili, gdym powrócił: «tabulą rasą», to jednak musiałem coś na tej tablicy napisać, ja, którym to w innych warunkach nieraz potrafił, ja, któremu tem bardziej o to chodziło, niż kiedykolwiek, który poruszałem w niej uczucia przyjaźni, litości, wspomnień, nie omieszkując niczego, licząc się ze wszystkim i mając tę siłę, jaką daje prawdziwie uczucie. Biorę oto w obie ręce moją głowę i mówię sobie: Człowieku, ty przecie nie jesteś parafialnym lwem, przekonany, że za-

dną kobietą nie może być dla ciebie obojętna — czyś ty się nie łudził, że ona ciebie kocha, że serce jej należy w gruncie rzeczy do ciebie?

Co przemawia za tem, że to jest złudzenie?

Na pierwszy rzut oka, jej opór.

Lecz ja nie śmiałem nigdy przypuszczać, że ona nie będzie się opierała? Wyobrażam sobie oto jakąkolwiek kobietę zamężną, zakochaną bez pamięci w obcym człowieku — zadaję sobie pytanie, czy można przypuścić, żeby taka nawet kobieta nie okazała żadnego oporu, żeby nie walczyła sama ze sobą i z ukochanym mężczyzną aż do wyczerpania sił?

Opór nie wypływa z miłości, ale skoro te dwie siły mogą się mieścić obok siebie, jak dwa ptaki w gnieździe, więc się nie wyłączają wzajemnie.

Ja nietylko dlatego piszę ten pamiętnik, że stało się to już moją naturą i moją namiętnością, nietylko dlatego, że się w ten jedyny sposób wypowiadam, ale również i w tym celu, aby mózdz sobie zawsze wszystko uprzytomnić, na nowo ogarnąć myślą cały przebieg zdarzeń i zdać sobie z nich sprawę. I oto odczytuje teraz te stronnice, na których zapisałem moją i Anielki historję, od chwili mego powrotu do

Płoszowa; jest tam zapisane każde niemal jej spojrzenie, każda rozmowa, każdy uśmiech, każda łza, chwyczone każde drgnienie jej duszy. I nie! ja się nie łudzę, to nie jest analiza fałszywa! Były to słowa, łzy, spojrzenia i uśmiechy kobiety — może nieszczęśliwej — ale nie obojętnej.

Moje postępowanie musiało na nią oddziaływać. Nie mam katarakty na oczach: codzień przecie rozdiera mi się serce, gdy widzę, jak ona chudnie, mizernieje, jak twarz jej staje się coraz mniejszą, ręce coraz przeźroczystsze — i włosy powstają mi niemal z przerażenia na myśl, że ona zdrowiem opłaca tę walkę. Ale wszystko to są niezbita dowody. Jej serce i jej myśli należą do mnie. Ona właśnie dlatego jest równie nieszczęśliwa, jak ja — nieszczęśliwsza może.

Czytam, com przed chwilą zapisał, że nawet nie śmiałem przypuszczać, że ona nie będzie się opierała. Prawda, tak było wkrótce po moim powrocie do Płoszowa, ale ostatnim razem, wracając z Warszawy, przypuszczałem, że już się nie będzie opierała — i omyliłem się. Nie uczyniła mi żadnego ustępstwa, nie okazała żadnej litości, nie chciała słuchać tego, com mówił, jakbym mówił bluźnierstwa; widziałem w jej oczach iskry gniewu i rozżalenia, wydarła mi swoje

ręce, którem pokrywał pocałunkami, a słowa: «Ty mnie obrażasz!» — nie schodziły z jej ust. I energia jej pokonała moją, tem łatwiej, im mniej się jej wybuchu spodziewałem. Ach! Anielka zagroziła mi do tego stopnia, iż wysiadzie z powozu i pieszo pójdzie w deszcz do Płoszowa. Wyraz: «rozwód» sprawił na niej wrażenie rozpalonego żelaza. Nic, nic, nic nie wskórałem ani wybuchami uniesienia, ani zuchwalstwem, ani prośbą, ani miłością; wszystko było wzięte za złe, za obrazę, wszystko było odrzucone i podeptane. Dziś, gdy ją widzę, jak chodzi tu po pokojach, znowu łagodna, potulna, zdaje mi się, że tamto była jakaś inna kobieta. Nie mam co przed sobą ukrywać! Poniosłem klęskę tak zupełną, że gdybym miał siłę, gdybym miał jakąkolwiek inną rację do życia, powinienbym dziś wyjechać.

Bo przypuśćmy, że mnie kocha, co mi z tego, jeśli to uczucie nie zerwie nigdy tych więzów, które je krępują, nie przedostanie się nigdy na wierzch, nie wyrazi się żadnym czynem? Tak samo mogę sobie wyobrazić, że mnie kocha grecka Helena, Kleopatra, Beatrix lub Marya Stuart! Takie też to musi być uczucie, które niczego nie chce i nic nie nakazuje. Może być,

że to serce należy do mnie, ale to jest małe, niezdolne do czynu serce! Ona może pozuje sama przed sobą na wzniosłą duszę, poświęcającą na ołtarzu obowiązków uczucie — i wydaje się sobie przez to piękną. Jestto satysfakcja, warta przecie, by dla niej coś uczynić! Dobrze! Poświęcaj sobie mnie, ale jeśli myślisz, że dużo poświęcasz, poświęcając swoje uczucie i że nakarmisz niem obowiązki — to się mylisz!

Nie mogę, nie mogę jeszcze ani myśleć, ani pisać spokojnie!

8 Czerwca.

Kokietka, jestto lichwiarz; przyznaje mało, a żąda olbrzymich procentów. Dziś, gdy jestem spokojniejszy i gdy mogę jaśniej myśleć, muszę przyznać, że pod tym przynajmniej względem nie mam Anielce nic do zarzucenia. Ona nic mi nie przyznawała i niczego nie żądała. To, com ja brał w niej w Warszawie za odcień kokieteryi, to była tylko chwila pogody i wesołości. To ja wywołałem wszystko, co zaszło, ja sam popełniłem szereg omyłek i sam jestem wszystkiemu winien.

Wiedzieć coś i brać w rachubę, są to dwie

rzeczy różne. Możemy sobie doskonale zdawać sprawę z obcych nam czynników, działających w duszy danego człowieka, w postępowaniu z nim jednak bierzemy najczęściej tylko samych siebie za punkt wyjścia. Tak zdarzyło się i mnie. Ja wiedziałem, a przynajmniej miałem poczucie, że ja i Anielka jesteśmy dwiema istotami, tak przeciwnymi sobie, jakbyśmy pochodzili z dwóch różnych planet — ale nie umiałem o tem stale pamiętać; mimowoli obrachowywałem, że ona w danym razie tak postąpi, jak ja bym postąpił.

I mimo tego poczucia, że my jesteśmy dwie najniepodobniejsze pod słońcem istoty — dwa bieguny, jeszcze teraz zapisuję to, jakby z pewnem zdziwieniem, jeszcze trudno żyć mi się z tą myślą. A jednak to jest prawda. Ja tysiąc razy podobniejszy jestem do takiej Laury Davisowej, niż do takiej Anielki.

Teraz pojmuję, o com się rozbił.

O to, czego zanik czuję w sobie oddawna, o to, czego brak rozkielznał i wyswobodził wprawdzie moje myśli, ale wniósł zarazem we mnie zaród śmiertelnej choroby i stał się moją tragedją.

O katechizmową prostotę jej duszy.

Teraz zdaję sobie z tego sprawę wyraźnie — może jeszcze jednak nie dość szeroko, bo jestem człowiek tak powikłany, że straciłem zmysł prostoty... «Słyszę twój głos, ale cię nie widzę»... Wzrok mój duchowy cierpi na pewnego rodzaju daltonizm i nie odróżnia pewnych barw.

Mnie w głowie się nie mieści, jak można każdej zasady, choćby od wieków nie wiem jak, uświęconej, nie obejrzeć z obydwu stron, nie rozłożyć jej na części, cząsteczki, atomy, słowem, póty rozkładać, póki się nie rozsypie w proch i nie da się już złożyć z powrotem.

Anielec w głowie się nie mieści, jak można na zasadę, uznaną za dobrą i uświęconą zarówno przez religię, jak i przez ogół ludzi, patrzeć inaczej, niż jako na prawo obowiązujące.

Wszystko mi to jedno, czy to jest u niej świadome, czy instynktowne, wyrozumowane własnym umysłem, czy nabyte — dość, że to już dziś weszło w jej naturę.

Ja już dostałem jakby ostrzeżenie w tem, co mi powiedziała z powodu pani Koryckiej: «Wszystkiego można dowieść, ale gdy się źle postępuje, sumienie zawsze powie: «źle! źle! i niczem nie da się przekonać».

Nie przypisałem wówczas temu takiej wagi, jaką należało przypisać. W Anielce nie ma żadnych wahań się, żadnych zwątpień. Dusza jej odwiewa plewę od ziarna z taką dokładnością, że o zamieszaniu, mowy być nie może. Ona nie sili się na wyszukiwanie własnych norm, bierze je gotowe z religii i ogólnych moralnych pojęć, ale przejmuje się nimi tak silnie, że stają się one jej własnymi, bo wchodzą w jej krew.

Im to różniczkowanie zła i dobra jest prostsze, tem jest pewniejsze i bardziej nieublagane. W tym kodeksie etycznym okoliczności łagodzące nie istnieją. Ponieważ, według niego, mążatka powinna należeć do męża, więc ta, która się oddaje innemu, czyni źle. Niema tam rozpraw, uwzględnień, rozmyślań — jest tylko prawica dla sprawiedliwych, lewica dla grzesznych, nad nimi miłosierdzie Boże, ale między nimi — nic — żadnego środka.

Jestto kodeks *zaczynego Bartłomieja i uczciwej Magdy*, tak prosty, że podobni do mnie, przedstawiają go rozumieć. Nam się wydaje, że życie, że dusze ludzkie zbyt już są złożone, żeby się mogły w nim pomieścić. I rzeczywiście, może niepodobna nam się w nim pomieścić. Na nie-

szczęście. Nie wynaleźliśmy nic innego i dlatego bujamy, jak zablakane ptaki — w pustce i w trwodze.

Ale większość kobiet, a zwłaszcza większość kobiet u nas, uznaje jeszcze ten kodeks. Nawet te, które w życiu odstępują od jego przepisów, nie pozwalają sobie ani na chwilę wątpliwości o jego prawowitości i świętości. Gdzie on się zaczyna, tam kończą się rozumowania.

Poeci fałszywie sobie przedstawiają kobietę, jako zagadkę, jako żywego sfinksa. Sto razy większą zagadką, sto razy większym sfinksem, jest mężczyzna. Kobieta zdrowa, nie histeryczka, może być złą lub dobrą, silną lub słabą, ale jest od mężczyzny duchowo prostszą. Ją po wszystkie wieki i po wszystkie czasy zadawał-
nia jakieś «Dziesięcioro,» bez względu, czy się do tego «Dziesięciorga» stosuje, czy, przez ułomność natury, pomija jego przepisy.

Dusze kobiece są tak dogmatyczne, że zna-
łem kobiety, w których nawet ateizm przybie-
rał wszystkie cechy religii.

Jest rzeczą szczególną, że ów «kodeks uczei-
wej Magdy» nie wyłącza w kobietach ani prze-
nikliwej inteligencji, ani misterności myśli, ani
ich polotu.

Dusza kobieca ma w sobie coś z kolibra, który umie bujać swobodnie wśród gęstego krzewu i nie zawadzić o żadną gałązkę, nie potracić jednego liścia.

To się da zastosować przedewszystkiem do Anielki. Największa misterność uczuć i myśli łączy się w niej z największą prostotą moralnych pojęć. Jej «Dziesięcioro» jest takie same, jak «Dziesięcioro» Magdy — tylko, że u Magdy jest ono wyszyte na zgrzebnem płótnie, u Anielki na delikatnej, jak koronka, tkaninie.

Czemu ja o tem rozprawiam? Boć to przecie dla mnie nie jakaś kwestya oderwana, ale kwestya niemal życia; mówię o tem, bo mnie to boli i stanowi moje nieszczęście, bo czuję, że ja tego prostego «Dziesięciorga» nie prze mogę swoją zawikłaną i złożoną filozofią miłości. I jakże mam przemódz, gdy ja pierwszy nie wierzę bez zastrzeżeń w tę filozofię, a często nawet poprostu o niej wątpię, podczas gdy Anielka wierzy spokojnie i niewzruszenie w swoje przykazania.

Tylko takie usta, które już piły ze źródła zwątpień, można przekonać, że zabroniony pocałunek nie jest grzechem. Kobieta religijna

może być porwana przez miłość, jak drzewo przez huragan, ale jej nie uzna nigdy.

Czy ja kiedy zdolam porwać Anielkę? Może to głębokie, rozpaczliwe zniechęcenie, które mnie w tej chwili ogarnia, jest chwilowe, może jutro będę z większą nadzieją patrzył w przyszłość, dziś jednak wydaje mi się to prawie niepodobieństwem.

Napisałem sam kiedyś w tym pamiętniku, że w niektórych domach u nas wychowanie wszczepia kobietom skromność tak, jak ospę. Trzeba mi się i z tem liczyć, że owo prawidło, które mówi: «Żona ma należeć do męża,» a w które Anielka święcie wierzy, chronione jest w dodatku przez wstydlivość, tak w niej istotną, tak z nią zrosłą, tak przerobioną w jej naturę, że ja sto razy łatwiej mogę sobie wyobrazić tę Anielkę na marach, niż odsłaniającą przy mnie piersi.

I ja mogę się jeszcze ludzić, mogę od takiej kobiety czegoś oczekiwać? To jest przecie prosta bezmyślność!

Więc co mam zrobić? Wyjechać?

Nie wyjadę! — nie chcę i nie mogę!

Zostanę — a ponieważ moje uczucie jest bezmyślne, więc będę postępował bezmyślnie. Dość

systemów, obrachowywań, przewidywań. Niech będzie, co chce i jak chce! Tamta droga nie prowadzi do niczego.

9 Czerwca.

Ona nie jest szczęśliwsza odemnie. To, com widział dziś, przekonało mnie, że i w niej toczy się ciężka walka, do której siłę musi czerpać tylko w sobie. Myśli tak mi się płaczą, że się nie mogę uspokoić.

Po odjeździe pana Zawilowskiego, który był dziś w Płoszowie z córką, gdy ciotka poczęła z widoczną intencją podnosić przynioty panny Heleny, porwała mnie nagle złość; byłem zmęczony, niewyspany, nerwy miałem potargane, więc w chwili rozdrażnienia zawołałem:

— Dobrze! Jeśli chodzi więcej o moje małżeństwo, niż o moje szczęście, to mogę jutro oświadczyć się pannie Zawilowskiej, bo nareszcie i mnie jest wszystko jedno!

Widocznem było przecie, że mówię to z rozdrażnienia, nie z przekonania i że nigdybym tego, co mówię nie zrobił, Anielka jednak stała się nagle blada, jak papier. Podniósłszy się nagle z miejsca, bez usprawiedliwionego powodu, poczęła odwiązywać sznurki rolety, przytem ręce jej drżały, jak w febrze. Na szczęście, i ciotka

pewnie nigdy w życiu nie była tak zmieszana, więc nic nie dostrzegła. Coś mi odpowiedziała, ale nie wiem co, bo w tej chwili wszystko przestało dla mnie istnieć poza Anielką. Ja wprowadzie rozumowaniem dochodziłem do wniosków, że jestem czemś w jej sercu, ale rozumować a widzieć coś, to dwie rzeczy różne. Nie zapomnę do ostatniej chwili życia tej bladości i tych drżących rąk! Miałem teraz dowód niezbity, bo choćbym pewną część wrażenia przypisał temu, że odpowiedź moja spadła na nią tak niespodzianie, to i tak dosyć jeszcze zostaje!. Nagłej wiadomości, nie tylko o małżeństwie, ale nawet o śmierci istoty obojętnej, nie przyjmuje się bladością.

Myślałem przed paru dniami: Co mi z tego, że ona mnie kocha, jeśli to uczucie pozostanie nazawsze w niej zamknięte; a jednak obecnie, gdym się przekonał naocznie, że tak jest, wszystkie nadzieje moje zmartwychwstały odrazu, wszystkie zwątpienia znikły; miałem na nowo widzenie zwycięstwa, na nowo pewność, że musi przyjść czas, w którym jej uczucie stanie się od niej silniejsze, w którym ją ogarnę i zabiorę.

Niestety, prawie natychmiast przekonałem się, że to jest złudzenie. Ciotka, powiedziawszy

coś jeszcze, wyszła, może dlatego, żeby gdzie w kącie obetrzeć łzę żalu do mnie — ja zaś zbliżyłem się skwapliwie do Anielki i powiedziałem:

— Anielciu! za skarby świata nie ożeniłbym się z panną Zawilowską, ale wyrozumiej mnie. Nie dość mi zmartwień, jeszcze i z tej strony nie mam spokoju. Ty jednak wiesz najlepiej, że to się nigdy nie stanie.

— Owszem... cieszyłabym się, gdyby się to stało — rzekła z wysileniem.

— Nieprawda! widziałem żeś zbladła — powiedziałem!

— Pozwolisz, że odejdę...

— Anielko moja, ty mnie kochasz! Nie okłamuj siebie i mnie: ty mnie kochasz!

A jej usta znowu pobierały.

— Nie — odpowiedziała prędko — ale się boję, że cię znienawidzę.

I odeszła do matki. Ja wiem, że kobiecie, która toczy ze sobą walkę, musi się tak często wydawać; że miłość gorzka i zabroniona musi przybierać podobną barwę; a jednak słowa Anielki zdmuchnęły moją radość, jak świecę. Istnieje pełno w życiu takich rzeczy, zupełnie naturalnych, których poprostu nerwy, ni siły ludzkie, nie znoszą. Uderza mnie teraz jedna

prawda, zapoznawana dotąd przeze mnie i zapoznawana powszechnie, że miłość do cudzej żony, jeśli jest pozorną, jest wielką podłością, jeśli jest rzeczywistą, jest wielkiem nieszczęściem — tem większem, im kobieta jest więcej warta. Pali mnie ciekawość ogromnie gorzka, coby było w takim razie, gdybym Anielce powiedział tak: «Albo mi zarzucisz ręce na szyję i wyznasz, że mnie kochasz, albo strzelę sobie w łeb w twoich oczach!» Wiem, że byłoby to nikczemne i nigdybym się na podobny wyzysk i gwałt nie zdobył, nie!... bądź co bądź, zbyt na to jestem porządnym człowiekiem... Ale jednak nie mogę się powstrzymać od postawienia sobie pytania, coby w takim razie nastąpiło? I prawie pewny jestem, że Anielka możeby nie przeżyła swego żalu — a przytem i swojej pogardy — aleby nie uległa. Gdy o tem myślę, zarazem ją przeklinam i jeszcze bardziej uwielbiam, zarazem nienawidzę i jeszcze bardziej kocham. Trzeba sobie otwarcie powiedzieć: trafiło mi się wielkie nieszczęście. Co gorzej, że nie widzę na nie środka, bo zupełnie nie czuję sił do wyrwania się z tej obieży. Do porywu zmysłów, który ta kobieta budziła zawsze we mnie w najwyższym stopniu, dołączyło się już jakieś psie przywiązanie. Obejmuję ją myślą,

wzrokiem, patrzę i nie mogę się napatrzeć na jej oczy, włosy, usta, ramiona — czuję jednak zarazem, że to jest nie tylko najpożądańsza istota, ale już i najdroższa głowa w świecie. Żadna kobieta nie przywiązała mnie i tak podwójnie i tak bezwzględnie. Czasem ten wpływ jej wydaje mi się wprost niezrozumiały, czasem go sobie tłómaczę — i jak zwykle — tłómaczę dla siebie jak najgorzej.

Oto ja żyłem szybko i przeszedłem już swój zenit. Teraz idzie droga ku dołowi, skąd wieje chłód i mrok. Czuję wszelako, że w tej jedynej istocie odnalazłbym swoją młodość i bujność i ochotę do życia. Gdy ona dla mnie przepadnie, to naprawdę przepadnie i życie, a pozostanie tylko wegetacja, niesłychanie pośepna, jako przedsmak śmierci. Dlatego ja Anielkę Kocham i całą siłą instynktu zachowawczego, nie przez zmysły wyłącznie, nie wyłącznie duchem, lecz także przez trwogę nicości.

Anielka tego nie wie; ale przypuszczam, że ona ma dla mnie wielką litość, co wnoszę z tego, że ja, który postępuję z nią bezlitośnie, sprzedałbym duszę za to, żeby jej ulżyć. I jak nie mam mówić, że miłość do cudzej żony jest nie szczęściem, skoro ona prowadzi człowieka do tego na przykład, że musi dręczyć istotę, za któ-

rej spokój oddałby siebie samego. I tysiące takich błędnych kół na każdym kroku! Ostatecznie, my oboje jesteście ogromnie nieszczęśliwi. Ale ty, Anielko, masz przecie jakieś oparcie w życiu, masz swój dogmat — ja zaś jestem istotnie, jak łódź bez steru i bez wiosel.

Jestem jakiś niezdrów. Zle sypiam, a raczej nie sypiam wcale, i nie może inaczej być. Doprawdy, chciałbym zachorować, ale tak porządnie; przeleżeć przez jaki miesiąc bez świadomości, bez pamięci, wypocząć za wszystkie czasy. To byłyby moje wakacje. Chwastowski wczoraj mnie oglądał i filozofował nade mną; powiedział, że mam system nerwowy rasy już przeżytej, ale że odziedziczyłem jeszcze duży zasób sił mięsnych. Myślę, że rzeczywiście ma rację; gdyby nie to, tobym się był nie oparł moim nerwom. Kto wie, czy nie temu przypisać należy w części tę moją obecną wyłączność, bo przecie owe siły musiały znaleźć jakieś ujście, a że go nie znalazły ani w wiedzy, ani w czynie, więc popłynęły, jak potok, jednym łożyskiem: miłości do kobiety.

Tylko, dzięki nerwom: mętnie, burzliwie i krzywo! przede wszystkim krzywo!

Co ja przechodzę wrażeń dziennie! Przed wieczorem przyszło do mnie kochane ciotczy-

sko i poczęło mnie przeproszać za swoje pochwały dla panny Zawilowskiej. Ucałowałem jej obie ręce i nawzajem przeproszałem ją za moje rozdrażnienie — ona zaś mówiła:

Przyrzekam ci, że już o niej nie wspomnę. Prawda, mój Leonie, chciałabym z duszy serca, żebyś się ożenił, bo jesteś ostatni z rodziny, ale Pan Bóg wie najlepiej, czy mi nade wszystko nie chodzi o twoje szczęście — mój drogi, kochany chłopcze.

Ja uspokajałem ją, jakem umiał, w końcu zaś rzekłem:

— Cioteczka wie, że ja jestem trochę baba, nerwowa baba!

Lecz ciotka zaraz oburzyła się na mnie.

— Ty, baba? Każdy może pobłądzić, ale żeby wszyscy mieli tyle rozumu i charakteru, toby się na świecie inaczej działo!

I jak tu rozpraszać takie złudzenia? Czasem porywa mnie rozpacz, bo sobie mówię: co ja mam do roboty w takim domu i wśród takich kobiet, które wzięły w arendę anielstwo? Dla mnie już za późno nawracać się na ich wiarę, a ile ja im mogę zgotować zmartwień, zawodów i nieszczęść!

10 Czerwca.

Miałem dziś dwa listy: jeden od mego notariusza w Rzymie, drugi od Śniatyńskiego. Z Rzymu donoszą mi, że przeszkody, jakie stawia zwykle rząd włoski wywożeniu z kraju starożytnych zabytków i cennych przedmiotów sztuki, mogą być usunięte, a raczej dadzą się obejść. Zbiory ojca miały czysto prywatny charakter i nie były objęte żadną kontrolą państwową, zostaną zatem wysłane poprostu jako meble.

Trzeba mi teraz zająć się odpowiedniem urządzeniem domu w Warszawie, co uczynię z niechęcią, albowiem myśl przewiezienia tych zbiorów do kraju straciła już dla mnie wszelki urok. Co mnie to teraz obchodzi i na co się to zdało! Jeśli nie zaniecham zamiaru, to tylko dlatego, że sam tyle rozповідаłem o nim i że tyle z tego powodu pisano.

Wrócił mi się ten stan umysłu, który mnie tak trapił w czasie moich podróży, zaraz po zamążpójściu Anielki. Teraz znowu działam, patrzę i pojmuję nie inaczej, jak w związku z myślą o Anielce, nie mam zatem żadnych bezpośrednich wrażeń. Ideje w których na dnie nie odkrywam jej, wydają mi się zupełnie puste i bez znaczenia. Jest to uderzające, jako dowód, jak dalece człowiek może się zaprzepaścić. Czy-

tałem dziś zrana odczyt Bungego pod tytułem «Witalizm i mechanizm» i czytałem z wyjątkowem zajęciem; wykazuje on bowiem naukowo to, co było w moich myślach oddawna, ale miało formę raczej niejasnych poczuć, niż określonych przekonań. Tu wiedza przyznaje się do sceptycyzmu względem siebie samej i nadto stwierdza nie tylko swoją bezsilność, ale i pozytywne istnienie jakiegoś świata, który jest czemś więcej, niż materią i ruchem, i który się nie daje wytłómaczyć ni fizycznie, ni mechanicznie. To już mi jest wszystko jedno, czy ten świat będzie czemś naddanem względem materji, czy czemś poddanem. Czysta gra słów! Ja nie jestem uczonym, nie jestem obowiązany do ostrożności we wnioskach, więc rzucam się głową naprzód w te otwarte drzwi i niech sobie nauka sto razy mówi, że tam jest ciemno, ja czuję, że mi tam będzie widniej, niż z tej strony. Czytałem z chciwością prawie gorączkową i z ulgą wielką. Tylko zacofani głupcy nie zdają sobie sprawy, jak nas materjalizm gnębi i śmiertelnie nuży, jaka jest utajona bojaźń w umysłach, żeby wypadkiem jego nauka nie okazała się prawdą, jakie oczekiwanie nowej ewolucji naukowej i jaka radość jeńców, gdy się otworzy lada furtka, którą można uciec na

wolne powietrze. Cała rzecz, iż duchy już są tak przybite, że nie śmia ni oddychać, ni uwierzyć we własne szczęście. Alem ja śmiał i miałem takie uczucie, jakbym się wydostał z dusznej piwnicy. Może to także było chwilowe wrażenie, rozumiem bowiem, że neo-witalizm nie jest żadną epoką w nauce; może też jutro powrócę dobrowolnie do więzienia... Nie wiem!... Tymczasem było mi dobrze. Mówiłem sobie co chwila: jeśli tak jest, jeśli nawet drogą sceptycyzmu dochodzi się niewątpliwej pewności, że istnieje świat nadzmysłowy „*naigrawający się z wszelkiego mechanicznego tłumaczenia*“, leżący absolutnie po za sferą „*fizyko-chemicznych wyjaśnień*“ — to wszystko jest możliwe: wszelka wiara, wszelki dogmat, wszelki mistycyzm! Więc i wolno myśleć, że jak istnieje nieskończona przestrzeń, tak istnieje i nieskończony rozum, nieskończona dobroć; wolno się spodziewać, że jest jakaś wielka sutanna, ogarniająca wszechświat, do której można się przytulić — i jakaś opieka, pod którą kończy się zmęczenie. A jeśli tak, to dobrze! — to wiem przynajmniej dlaczego żyję i dlaczego cierpię! Co za niezmierna ulga!

Powtarzam raz jeszcze, że nie jestem obowiązany do ostrożnych i nieśmiałych wniosków, a poprzednio już napisałem, że nikt nie jest

bliższy mistycyzmu, jak sceptyk. Sprawdziłem to teraz na sobie, bom począł bujać, jak ptak, który więziony długo w klatce, wydostawszy się na swobodę, buja, rozkoszuje się i kąpie w przestrzeni. Widziałem nowe pola, pokryte nowem życiem. Nie wiem, czy to było na jakiejś innej planecie, czy gdzieś, hen! w przestrzeniach międzyplanetarnych, dość, że i to życie i te pola były zupełnie odmienne od naszych; światło tam było jasne i łagodne, w powietrzu chłód, pelen słodczy, głównie zaś różnica polegała na tem, że związek między duszą indywidualną a duszą ogólną był tam daleko bliższy, tak blizki, że niepodobna było rozeznąć, gdzie się kończy indywiduum a zaczyna się ogół. Czulem przytem, że właśnie na tej niejasności granicy polega szczęście tamtego życia, bo człowiek nie wyłącza się tam, nie przeciwstawia, ale istnieje w harmonii z otoczeniem, a tem samem żyje całą potęgą ogólnego życia.

Nie powiem, żeby to były widzenia; było to tylko przejście tego granicznego pasa, za którym kończą się ściśle rozumowania, a zaczynają się poczucia, będące jednak jeszcze niejako wnioskami z poprzednich premiss — tylko doprowadzonymi tak daleko, że prawie nieuchwytnymi, jak może być prawie nieuchwy-

tną ciągnięta do nieskończoności nitka złota. Zresztą ja nie umiałem jeszcze wcielić się całkowicie w to życie nowych pól, ani dokładnie stopić się, ani dostatecznie zatracić w nich siebie samego. Zachowałem do pewnego stopnia swoją odrębność; czegoś mi brakło i zdawało mi się, że czegoś szukam wokół siebie. Nagle uczulem, że szukam Anielki. Oczywiście: tylko jej i zawsze jej! Co mnie bez niej mogło obchodzić to odmienne życie? Znalazłem ją nakoniec i poczęliśmy się razem błąkać, jak cień Paola z cieniem Franceski di Rimini...

Zapisuję to dlatego, że widzę w tem dowód niemal przestraszający, jak dalece moja istota pochłonięta jest przez uczucie dla tej kobiety. Co u licha! jaki może być związek między Bungem i jego neo-witalizmem a Anielką? A jednak ja, nawet gdy myślę o takich rzeczach, dochodzę w końcu do niej. Naukę, sztukę, naturę, życie, sprowadzam teraz do tego jednego mianownika. Jestto oś, około której obraca się dla mnie świat.

Ma to swoją niesłychaną wagę, bo wobec tego, czy jest choć najmniesze podobieństwo, żebym kiedykolwiek poszedł za radą rozumu, która jeszcze powtarza mi od czasu do czasu słabym, przyduszonym głosem: wyjedź, uciekaj!

Wiem, że to się dobrze nie skończy, że to się nie może dobrze skończyć, ale skąd ja wezmę siłę, skąd woli, skąd energii, kiedy to wszystko mi zabrano? Tak samo mógłbym człowiekowi, pozbawionemu nóg, powtarzać: wstań i idź w świat. Na czym? A ja jeszcze dodam: dokąd? po co? Tu jest moje życie!

Czasem bierze mnie ochota dać do czytania ten pamiętnik Anielce, ale nie zrobię tego. Litość jej dla mnie możeby potem wzrosła, ale miłość musiałaby się zmniejszyć. Gdyby Anielka została moją, szukałaby we mnie oparcia, uspokojenia i niezachwianej wiary za dwoje, że to tak właśnie być powinno, że tak jest dobrze; tymczasem znalazłaby i co do tego nawet zwątpienie. Przypuszczam zresztą, że chociażby zrozumiała wszystko, co się we mnie działo i dzieje, wielu rzeczy nie mogłaby odczuć. My jesteśmy takie dwie różne istoty! Oto na przykład ja, nawet wówczas, kiedy popadam w mistycyzm, kiedy sobie mówię, iż wszystko jest możliwe, wyobrażam sobie życie zaświatowe, nie według ogólnych pojęć, a zatem — o ile te ogólne pojęcia można nazwać normalnemi — nienormalnie. Dlaczego? Jeśli wszystko jest możliwe, to tak samo jest możliwe piekło, czyściec i niebo, jak moje blade, a jasne pola! A przytem wizye

Danta są przecie większe i wspanialsze od moich. Więc dlaczego? Z dwóch powodów. Oto naprzód dlatego, że mój sceptycyzm, który zatrzyma się własnem zwątpieniem, jak skorpion własnym jadem, ma jednak dość siły, żeby wyłączyć z różnorodnych przypuszczeń pojęcie proste i ogólnie przyjęte — a powtóre?... Powtóre, że w tych dantejskich przegrodach nie umiem sobie wyobrazić siebie i Anielki razem... Takiego życia nie chcę...

Ale to wszystko, co piszę i myślę, załatwiam za pomocą jakiejś cząstki mojej myślącej istoty; reszta jest przy Anielce. W tej chwili widzę jeszcze światło, padające z jej pokoju na krzewy berberysu, rosnące pod oknem. Moja biedna, miewa także bezsenne noce! Widziałem, jak dziś zdrzemnęła się nad robotą. W wielkim fotelu wydawała mi się malutka i oddychała głęboko ze zmęczenia. Miałem dla niej takie uczucie, jakby to było moje dziecko.

11 Czerwea.

Przysłano mi nakoniec ową główkę Madonny Sassoferata. Oddałem ją Anielce przy ciotce i przy pani Celinie, jako rzecz należną i zapisaną. Nie mogła żadnym sposobem odmówić. Następnie sam przybijałem obraz w jej budu-

arku. Ładnie to tam wygląda. Ja nie kocham się w Madonnach Sassoferata, ale ta taka jest prosta i taka pogodna w swoich jasnych tonach! Lubię pomyśleć, że Anielka, ilekroć na nią spojrzy, musi sobie przypomnieć, że to ja jej dałem tę świętość, a dałem ją dlatego, że kocham. W ten sposób ta miłość, którą ona uważa za grzeszną, musi w jej myśli łączyć się z wyobrażeniem świętości. Dziecinna pociecha, ale kto nie ma żadnej, temu i taka dobra.

Miałem dziś jedną lepszą chwilę. Gdy obraz był już zawieszony, Anielka zbliżyła się do mnie, by mi podziękować. Ponieważ fotel, na którym siedziała pani Celina, był odsunięty dość daleko, więc w chwili, gdy Anielka cofała swoją rękę z mojej, zatrzymałem ją na sekundę i spytałem półgłosem:

— Czy ty mnie naprawdę, Anielko, nienawidzisz?

A ona potrząsnęła główką, jakby ze smutkiem:

— Oj, nie! — odrzekła krótko.

Ile się mieściło w tej krótkiej odpowiedzi!

To się tak mówi, że jeśli uczucie kobiety kochanej niema nigdy wydobyć się na zewnątrz, to wszystko jedno, czy ona kocha. Nie! nie wszystko jedno! Niech mam choć to; nie

oddalbym tego za nic! O! to dopiero nie miałbym z czego żyć!

12 Czerwca.

Jestem w Warszawie na skutek listu Sniatyńskiego, który odebrałem jeszcze onegdaj, a w którym wzywał mnie, bym przyjechał na obiad pożegnalny do Klary. Na obiad nie pojechałem; odbył on się wczoraj, ale pożegnałem ją dziś na dworcu kolejowym. Właśnie stamtąd wracam. Pocziwa dusza odjeżdżała niezawodnie z żalem do mnie i z uczuciem doznanego zawodu, ale jak mnie tylko ujrzała, przebaczyła mi wszystko i pożegnaliśmy się najserdeczniej. Ja także czułem, że mi jej będzie brakło, że stanie się jeszcze większa pustka koło mnie. Na moich mistycznych polach nie będzie pożegnań. To dzisiejsze było prawdziwie smutne, bo w dodatku wieczór był chmurny, dżdżysty, ślota potrwą zapewne parę dni. Mimo tego, mnóstwo osób odprowadzało Klarę. Jej «sleeping» tak był zarzucony wieńcami i kwiatami, jak grobowiec. Musi to wszystko usunąć, bo inaczej się udusi. Klara, w tej chwili odjazdu, nie liczyła się już wcale z tem, co ludzie mogą sobie pomyśleć, i — o ile w takich okolicznościach było to możliwe — zajmowała się wyłącznie mną. Wsze-

dłem do jej przedziału i rozmawialiśmy, jak dwoje przyjaciół, nie zważając na obecność ani starej i wiecznie milczącej krewnej Klary, ani innych osób, które też pousuwały się w końcu dyskretnie na korytarzyk.

Trzymałem obie ręce Klary, a ona patrzyła na mnie swemi pocziwemi, niebieskimi oczyma, mówiąc przytem wzruszonym głosem:

— Panu jednemu powiem szczerze, że nikąd nie było mi tak żal wyjeżdżać... Przy tej krętaninie, w chwili odjazdu, niema nawet na to czasu, żeby coś wypowiedzieć — ale jak mi żal!... We Frankfurcie widuję dużo i ludzi uczonych i artystów, tylko, że... sama nie wiem... jest jakaś różnica... wy jesteście jakby delikatniejsze instrumenta. A już o panu niema co i mówić!

— Pani pozwoli pisywać do siebie?

— I ja będę pisywała, a pana chciałam o to prosić. Niby mam swoją muzykę, ale teraz mi to już nie zawsze wystarcza. Myślę, że i panu będzie to czasem potrzebne, bo pan może mieć wielu przyjaciół ale tak oddanej, tak bardzo życzliwej przyjaciółki, pewnie pan niema. Jestem tak niemądra, że mnie wszystko wzrusza, a tu zaraz trzeba jechać.

— Oboje ciągle kręcimy się po świecie: pani,

jako artystka, ja, jako cygan, więc to nie jest rozstanie, to tylko: do widzenia!

— Do widzenia! do widzenia jak najprędzej! Pan także jest artystą! Można nie grać, nie pisać, nie malować, a w duszy być artystą. Ja to od pierwszej chwili poznania pana dostrzegłam — i to także, że pan niby szczęśliwy, a w gruncie rzeczy może być ogromnie smutny. Niech pan pamięta, że jest jedna Niemka, która jest dla pana, jak siostra.

Podniosłem jej rękę do ust, ona zaś, sądząc, że już chcę wyjść, rzekła spiesźnie:

— Jeszcze jest czas, dopiero po drugim dzwonku.

Ja zaś rzeczywiście miałem ochotę już ją pożegnać. Ale do czego ja doszedłem z moimi nerwami! Oto krewna Klary ubrana była z powodu deszczu w płaszcz z gumowej tafty, niesłychanie szeleszczący za każdym jej ruchem — i szelest ten, a raczej świst gumy, doprowadzał mnie poprostu do rozpacz. Zresztą i tak zostawało już zaledwie parę minut. Usunąłem się na koniec, gdy wbiegła pani Śniatyńska.

— Hilst, we Frankfurcie! — zawołała za mną Klara — z domu odeślą mi list, gdziekolwiek będę.

Po chwili znalazłem się na peronie, pod

oknem wagonu, wśród gwaru żegnających Klarę osób, pomieszanego z syczeniem pary, gwałtownym oddechem lokomotywy i nawoływaniem służby kolejowej. Okno «sleepinga» obsunęło się na dół i raz jeszcze ujrzałem tę pocziwą, przyjazną twarz.

— Gdzie pan spędzi lato? — spytała Klara.

— Nie wiem; napiszę pani — odpowiedziałem.

W tej chwili oddech maszyny stał się szybszy, rozległ się ostatni gwizd i pociąg ruszył. Pożegnaliśmy Klarę okrzykiem, ona posyłała nam rękoma pożegnania od ust, aż наконец znikła w oddaleniu i pomroce.

— Bardzo panu będzie tęskno? — pytała mnie nagle pani Sniatyńska.

— Bardzo! — odpowiedziałem i skłoniwszy się, poszedłem do domu.

Rzeczywiście miałem takie uczucie, jak gdyby odjechała osoba, która w danym razie mogła mi pomóc. Byłem niesłychanie rozdrażniony. Może przyczynił się do tego ten ponury wieczór, pełen dżdżu i mgły, tak gęstej, że wszystkie latarnie wyglądały zdaleka, jak tęczowe koła. Ostatnia iskierka nadziei zgasła we mnie. Pesymizm nie tylko był we mnie, ale zdawał się ogarniać świat cały, jak atmosfera, ciężać

na rzeczach, ludziach, przenikać we wszelkie kształty i wszelkie istoty.

Niosłem w sobie do domu ucisk i ogromny niepokój, jakby trwogę przed jakimś nieznanem i nieokreślonym niebezpieczeństwem. Zbudziła się we mnie na chwilę szalona nostalgia za słońcem i pogodą, za krajami, w których niema takich deszczów, ciemności i mgieł. Zdało mi się, że jeśli ucieknę tam, gdzie będzie bardzo widno, to samo światło zdoła czegoś niedopuszczyć i od czegoś mnie obronić. Cała moja zdolność myślenia streściła się w jednym wyrazie, który powtarzałem, jak echo: «wyjechać! wyjechać!» Nagle zdjął mnie strach na przypomnienie, że wyjechawszy, zostawię tu Anielkę samą i wydam ją na owe nieokreślone niebezpieczeństwa, przed którymi chcę zbiedz. Wiem, że to złudzenie, że jej mój wyjazd wyszedłby na dobre, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że byłoby to z mej strony jakieś tchórzostwo i jakaś nikczemność... Jestto we mnie silniejsze od wszelkich rozumowań... Zresztą: wyjechać, to puste słowo. Mogę je sobie powtarzać, mogę odczuwać, ale gdyby przyszło zmienić je w czyn — okazałoby się, że to jest czyn najmniej możliwy ze wszystkich, jakie leżą w mej mocy. Włożyłem taki ogrom nerwów, takie mnóstwo

życia w to uczucie, że łatwiejbył się już mógł dziś porozrywać na kawałki, niż od niego oderwać.

Posiadam zdolność kontrolowania moich myśli i świadomość siebie w tak wysokim stopniu, iż wydaje mi się zupełnie niepodobnem przypuszczenie, abym mógł dostać pomieszania zmysłów. Nie umiem sobie nawet tego wyobrazić—chwilami czuję jednak, że moje nerwy nie dałyby się już o wiele więcej wyciągnąć.

Szkoda Klary. Widywałem ją w ostatnich czasach rzadko, ale wołałem myśleć, że ona jest niedaleko — teraz Anielka do reszty mnie zabierze, bo oddam jej i te władze, któremi się lubi spokojnie, któremi się odczuwa przyjaźń.

Wróciwszy do domu, zastałem młodego Chwastowskiego; przyjechał wieczorem na naradę z bratem księgarzem. Urządzają jakieś przedsiębiorstwo rozprzedaży elementarnych książek. Oni wiecznie coś robią, wiecznie czemś się zajmują i przez to mają ogromnie pełne życie. Doszedłem już do tego, żem się ucieszył jego widokiem, zupełnie tak, jak dziecko, które, bojąc się strachów, rade widzi, że ktoś wchodzi do pokoju. Jego czerstwość duchowa pokrzepia mnie. Mówił, że pani Celina jest coraz lepiej i że za jaki tydzień będzie mogła wyjechać do Gasteinu. O to! to! Byle zmienić miejsce. Będę

popychał tę sprawę ze wszystkich sił. Nan. i ciotkę, żeby razem pojechała. Ona to zrobiła dla mnie, a w takim razie nikt się nie dziwi, że i ja pojedę. Przynajmniej czegoś chcę i chcę bardzo! Ile to będzie sposobności do opiekowania się Anielką! Będziem jeszcze bliżej siebie niż w Płoszowie. Czuję trochę ulgi, bo zresztą dziś był okropny dzień, a nie mnie tak gnębi, jak niepogoda. Słyszę jeszcze, jak de dzwoni po rynnach — ale w przerwach między chmurami widać już trochę gwiazd.

12 Czerwca.

Kromicki dziś przyjechał...

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Anthony G. Luwandon

Handwritten text: *Handwritten*

Anthony G. Lewandowski

